

Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



Stąd do Ameryki

Władysław Zawistowski

Stąd do Ameryki

i inne utwory dramatyczne

słowo/obraz terytoria

Ilustracja na okładce / Wojciech Kołyszko
Redakcja / Stanisław Danecki
Korekta / Aleksandra Grygo
Projekt graficzny i typograficzny / Stanisław Salij
Skład / Piotr Górski
Druk i oprawa / P. W. Mirex Leszek Chmielewski, Mirotki 69;
tel./fax (058) 582 46 92

© Copyright by Władysław Zawistowski, Gdańsk 1999
© Copyright for this edition by wydawnictwo słowo/obraz terytoria,
Gdańsk 1999

wydawnictwo słowo/obraz terytoria
80-244 Gdańsk, ul. Grunwaldzka 74/3
tel.: (058) 341 44 13, tel./fax: (058) 345 47 07
e-mail: slowo-obraz@terytoria.com.pl
www.slowo-obraz.terytoria.com.pl

ISBN 83-87316-83-0

Podróż do krańca mapy

Sztuka sceniczna w 12 obrazach

OSOBY

Uczestnicy ekspedycji

MISTRZ VANITUS, filozof
PROFESOR GEOGRAFII
GENERAŁ BRANDENBURSKI
DOKTOR STOMAK, lekarz
OJCIEC OWSIANY, kapelan
WŁADYSŁAW IGNACY PERSKI, poeta
PIETREK LIPA, służący Vanitusa
KAZIMIERZ WYPIONTEK, służący Profesora
KAROL, służący Doktora
SIERŻANT KANT, ordynans Generała

Osoby spotkane po drodze

MŁYNARZ
PAROBEK
BABA I
BABA II
BABA III
CYKLISTA
STARZEC ŚLEPY
TUBYLEC
HERSZT SERWACY
PUCEK
WALISZEWSKI
KOBIETA WIELKA
KOBIETA MNIEJSZA
DZIEWCZYNA
STRAŻNIK GRANIC
GŁOS DYKTATORA
Dzieci – dziewczyny

Obraz 1

Wilki

Ciemność, wiatr, dalekie wycie wilków. Ciemność powoli się rozjaśnia, wstaje świt. Początkowo scena pusta, bowiem wydarzenia poprzedzające podniesienie kurtyny rozegrały się poza jej ramą.
GŁOSY PRZEZ WIATR Ratunku! Ratunku! Kto woła ratunku? Trzymać namiot! W imię Cesarza, zaklinam! Gdzie moje rękopisy?

Wbiega z latarnią w ręku Pietrek.

PIETREK Tutaaaj! Hej, tutaj!

Wbiegają Kazimierz, Karol i Sierżant Kant.

KAZIMIERZ Co się stało?

KAROL Na pewno wilcy.

KANT Ha... wilcy. Żeby tak mieć fuzję, to...

PIETREK Hola, a gdzie konie?

KAROL A muły?

KANT Właśnie! Gdzie muły nasze?

KAZIMIERZ Słów nie ma... wilcy porznęli. O, tu jeden zewłok leży.

KAROL Trza mości panów zbudzić.

PIETREK Eee... już się obudzili. Szkoda, że tak późno.

Rzeczywiście, za kulisami słychać odgłosy szamotaniny i przekleństwa. Po chwili w rozchełstany mundurze wbiega Generał z szablą w dłoni. Słudzy zginają się w głębokim ukłonie.

GENERAŁ Tuście mi, psiewiary. Zbóje uciekli, a wy tu sejmujecie.

KANT Panie generale, melduję, że to nie byli zbóje, tylko wilcy.

GENERAŁ Tym lepiej, zapolowałbym z ochotą. Siodłajcie gniadego.

KANT Kiedy to, panie generale, wilcy konie porznęli.

Wchodzą podtrzymując się nawzajem Profesor, Doktor, Perski i Ojciec Owsiany.

GENERAL Śłyszeliście, panowie, nowinę straszną – wilcy konie porznęli!

PERSKI No tak – armia nie upilnowała!

PROFESOR Spokój panowie! A pan, generale, niech odda fuzję sierżantowi. Rzeczywiście, ktoś musi nas bronić. I przypominam, że jesteśmy ekspedycją...

GENERAL *(do służby)* Baczość!

PROFESOR *(kończy)* ...Jego Wysokości Cesarza... I nie przystoi nam sporów wszczynać, zwłaszcza przy służbie.

PERSKI Tak, trzeba odesłać służbę. Walery, Walery! Gdzież on się podział?

GENERAL Sierżancie, natychmiast wyfasujcie fuzję i udajcie się na wartę.

Kant wychodzi. Pietrek pochyla się i szepcze coś do ucha Owsianemu.

DOKTOR Karolu, skocz no po sole trzeźwiące i... zażyj je sobie.

Karol wychodzi. Owsiany nieśmiało sygnalizuje, że chce coś powiedzieć.

PROFESOR Kazimierzu, pomóżcie no Karolowi, sam nie da rady. *(Karol wychodzi; do Owsianego)* Ojciec chciał coś powiedzieć?

OWSIANY Tak, zauważyłem...

PROFESOR *(do Pietrka)* A ty co tu sterczysz?

Pietrek wychodzi.

OWSIANY No właśnie, nie tylko Walery zniknął. Nie ma również mistrza Vanitusa.

GENERAL Paradne! To naszego mędrka też wilki spożyły?

PERSKI *(oburzony)* No, no, nie tak brutalnie. Jednak to był myśliciel. Napiszę tren na jego cześć.

PROFESOR Musimy go szukać, może jeszcze żyje.

DOKTOR Niech armia szuka. Nie będę się z wilkami znosił.

GENERAL Ale jak szukać, kiedy koni nie ma?

DOKTOR Wychodzi na to, że koń jest ważniejszy od generała!
GENERAŁ Coooo? Zaraz go będziecie mieli!

Generał wybiega.

PERSKI Już pewno po nim. Niemiły to koniec dla filozofa.

DOKTOR A dla konia to nie?

PERSKI Co mi tu pan z koniem wyjeżdża, gdy ja o sonecie myślę.

DOKTOR Ciekaw jestem, czy pan daleko ujedzie na sonecie?

PERSKI Też! Prostacki koncept.

DOKTOR A tak! Koni nie ma, a droga daleka.

PROFESOR Droga daleka, ale bez filozofa chyba będziemy zwracać.

PERSKI Jakże, profesorze, przecież cel taki wzniosły?

PROFESOR Wzniosły, ale niejasny. To nie ja wymyśliłem tę wyprawę, choć Jego Cesarska Wysokość mianował mnie jej kierownikiem. Idea wyszła od Vanitusa, a gdy jego brakuje, znika też idea. Nie ma więc czego potwierdzać lub obalać i można wracać. Sam los pomaga wiedzy ściślej.

PERSKI Precz z wiedzą ściśłą, niech żyje poetyczność tej idei. Do trzeciej do krańca mapy, tam gdzie się kończy znana ziemia i... i...

PROFESOR Ładnie pan deklamujesz, panie Perski, i wszyscy się po tobie jako poecie słusznie tego spodziewamy, ale pozwól, że w sprawach przyziemnych decydować będą ludzie zgoła praktyczniejszego umysłu.

Wbiegają zdyszani Kazimierz, Kant i Generał.

GENERAŁ Mości panowie, zdrada! Wilcy Walerego zagryźli! Tam leży nieszczęsny.

PERSKI (*z egzaltacją*) Ach! Mój biedny sługo, co zginąłeś u boku pana swego do ostatniej chwili mu wierny! Poświęcę ci wiersz, a może nawet mszę zamówię. (*do Owsianego*) Słyszałeś, ojcze? Módl się za tego nieszczęśnika!

PROFESOR Więc są już i ofiary tej przeklętej wyprawy! (*do Kazimierza*) Czy Walery pochowany?

KAZIMIERZ Już Pietrek z Karolem dół kopią...

PROFESOR (*do Owsianego*) Na co ojciec czekasz, idź z ostatnią posługą.

Owsiany odchodzi, za nim Perski, Kazimierz, Kant.

PROFESOR Skoro wreszcie zostaliśmy sami, zastanówmy się co dalej.

VANITUS (*wchodząc*) A mnie panowie do rozmowy nie zaprosicie?

DOKTOR i GENERAL (zaskoczeni) Paaan?

VANITUS Wracam właśnie ze ściśle naukowej wycieczki. Znalazłem dalsze potwierdzenia swych przypuszczeń!

DOKTOR A on ciągle swoje.

PROFESOR I cóż pan takiego znalazł?

VANITUS Coś bardzo ciekawego, panowie – wilki!

GENERAL Przecież wilki to... wilki.

VANITUS Owszem, bardzo błyskotliwie pan to sformułował. Ale czy pan słyszał, generale, by na terenie Cesarstwa występowały te drapieżniki? O ile mi wiadomo wytępiono je dokładnie ze sto lat temu. Czyż nie mam racji? Co na ten temat mówi geografia?

PROFESOR Nooo... w zasadzie tak.

GENERAL Ależ panowie – rzeczywiście! Teraz sobie przypominam, że nikt od lat na łowach nie spotkał wilka.

VANITUS A tymczasem my spotkaliśmy całe stado, co potwierdza moją tezę. Skoro zbliżając się coraz bardziej do krańca mapy odkrywamy nowe formy bytu, znaczyć to może, że istnieje coś również poza granicami mapy, *ergo*: poza Cesarstwem. Poznać to! Dowiedzieć się, co jest poza mapą! Oto idea warta stu takich wypraw i życia nie jednego sługi, a stu nawet – generałów. Naprzód, panowie.

DOKTOR (*wzdycha*) Niestety, piechotą...

GENERAL Tak jest, doktorze! Ale armia jest przygotowana. (*gwizdże głośno, wchodzą pozostali uczestnicy wyprawy*) Zemonstrujemy panom praktyczny pokaz musztry. Ooo, armia umie maszerować, zapewniam. Baaaaczność!

Niemy pokaz musztry w wykonaniu Generała i służących.

GENERAL (*komenderuje*) Raz i dwa, lewa, prawa, słoma-siano... baranie! I raz, i raz, i w mieeejsu zwrot!

PROFESOR (*do Vanitusy*) Na razie jest pan góra. Trudno, ruszamy.

Dalszy ciąg musztry.

GENERAL No, gotowe, choć rekrut tępy.

Ustawiają się w szeregu, który im dalej, tym bardziej jest nierówny; wychodzą w prawą kulisę, na czele marszowym krokiem sierżant Kant, za nim sprężyste pozostali służący, buńczuczny General, wytrwały Vanitus, zrezygnowany Profesor, stoicki Doktor, pokorny Ojciec Owsiany, rozegzaltowany Perski; ci ostatni gubią krok, potykają się, idą niepewnie, stopniowo znikają w kulisie.

PERSKI Ja, który przywykłem dosiadać Pegaza... piechotą. To zgroza, to skandal!

Wychodzi.

Obraz 2

Intrygi i galopady

Podróżnicy wędrują od lewej do prawej, wolno. Zwarta początkowo kolumna rozrzedziła się znacznie, tak więc oglądamy kolejno małe grupki idące osobno. Jako pierwszy wkracza na scenę sierżant Kant, marszowym krokiem w postawie defiladowej, tupie strasznie, niknie w prawej kulisie. Po chwili z lewej wpadają zdyszani: Kazimierz, Karol i Pietrek. Przysiadają na środku sceny, przysiadają obok bagaży.

PIETREK Sierżancie, hej, sierżancie!

KAZIMIERZ A to się Kant odsadził!

KAROL Ale i my panów zgubiliśmy.

KAZIMIERZ Można wreszcie odpocząć.

PIETREK Sierżant, wracaj!

Na scenę wkracza, nadal marszowym krokiem, Kant.

KANT Nie było rozkazu wracać.

KAROL Siadaj, sierżant, lepiej i poszukaj jakiej butelki.

KANT *(maszeruje w miejscu)* Rozkaz był maszerować.

KAZIMIERZ Maszeruj, jeśliś głupi, ale odpocząć przecież możesz.

KANT To mogę.

Zostaje maszerując w miejscu. Pozostali pojadają, popijają, palą.

KAROL Ja to sobie myślę, że mój doktorek ma rację – niepotrzebna nam ta łązega i nic z niej dobrego nie będzie.

KAZIMIERZ A to niby czemu?

PIETREK At – ja tam słuchać nie mogę takiego gadania. Wielką rzecz robimy. Mój pan miał ideję, a cesarz kazał ją sprawdzić.

KAROL Też mi idea! Dotrzeć do krańca mapy! To tak, jakby iść dalej niż dach sięga. Do rynny dojdiesz – i szuus na ziemię.

PIETREK Ot, nie kłapalibyście po próżnicy. Nie po to od dwóch lat wędrujemy, by teraz o celu wątpić.

KAZIMIERZ Kłóci się między sobą nasza władzuchna, ale wola cesarska... (*Kant zastyga w pozycji „baczność”*) nad nimi i nad nami sędzią. Co sterczysz jak tyka? Rozkaz był?

KANT Nie było, ale...

KAZIMIERZ Jak nie było, to maaarsz!

Kant maszeruje, śmiech.

KAROL Pora i nam w drogę, chyba generała słyszę.

Zwijają się szybko, nikną po prawej. Na scenie wchodzi rześko maszerujący Vanitus i General usiłujący zachować pozory energii. General przytupuje i pokrzykuje „raz, dwa”. Na środku sceny sapie, przystaje, robi dwa, trzy przysiady.

GENERAL Uuuuf, zmęczyłem się, lata już nie te. A na dodatek ta fuzja... Trzeba ją było oddać sierżantowi. Swoją drogą przyzna pan, mistrzu, że ta podróż robi się bez sensu. Dwa lata za nami, ofiary śmiertelne, a końca jak nie widać, tak nie widać.

VANITUS Drogą generale, spójrzmy na całą sprawę z militarnego punktu widzenia. (*pauza*) Uważa się powszechnie, że granica mapy jest tożsama z granicą Cesarstwa, a – jak wiadomo – poza Cesarstwem niczego nie ma. Nie powinno więc istnieć nic również za granicą mapy. Ale mapa powstała tak dawno temu, że nie wiadomo kto i na jakiej podstawie ją sporządził. Cóż będzie, jeśli się okaże, że istnieje coś poza Cesarstwem?

GENERAL No, jak to? Wszyscy wiedzą, że poza mapą nie ma nic!

VANITUS Tak pan sądzi? Ale niech pan zauważy, że w tych dawnych czasach, kiedy stworzono mapę, powstało również wojsko, które ma pan zaszczyt reprezentować. Prawda?

GENERAL Nooo... Prawda. Wojsko było zawsze.

VANITUS A po co? Skoro nie było niczego poza Cesarstwem? Przed kim miała bronić armia i kogo atakować? No, niechże sam pan powie, generale, kiedy to ostatni raz toczyła się wojna?

GENERAL Eeee, tak... rzeczywiście, no – zdarzają się czasem jakieś zamieszki w odległych prowincjach.

VANITUS Ależ dla ich uśmierzenia wystarczy batalion zandarmerii. A skoro armia istnieje od zawsze i rozwija się tak

wspaniale, znaczyć to musi, że kiedyś jednak mieliśmy jakiegoś wroga!

GENERAL (zakłopotany) No niby tak!

VANITUS Niech pan tylko pomyśli, jaka to wspaniała okazja – wykrzyć wroga! Co za szansa na awanse, orderzy i dalszy, dynamiczny rozwój.

GENERAL A niech cię licho, filozofie, gracko żeś to obmyślił. Niechże cię uściskam. (*całuje z dubeltówki Vanitusa*) Inny duch we mnie wstępuje i aż mi się chce biec naprzód. Już mi nadojadły te ciągle polowania, musztry i strzelanie do celu.

VANITUS Coś mi się zdaje, że profesor z doktorem już nas doganiają. Idźmy, nie mam ochoty rozmawiać z nimi.

GENERAL I ja, i ja. Przekonany już jestem bez reszty i pana stronę od dziś brał będę.

Wychodzą; wchodzi Profesor z Doktorem, zatrzymują się.

PROFESOR Zatrzymałem się umyślnie na chwilę, czekając aż ci dwaj się zabiorą. Niech pan siada, doktorze.

DOKTOR Może bym i usiadł, ale coś mi się zdaje, że to mała-ryczna ziemia.

PROFESOR O, nie – możesz być pan spokojny. Wiem z map i z podręczników, że w tej okolicy grunt jest suchy.

DOKTOR (*siada na starannie rozłożonej kraciastej chusteczce do nosa*) Już miałem nadzieję, że nam się filozof gdzieś zapodzieje.

PROFESOR On jest niezniszczalny – jak wszyscy maniacy.

DOKTOR Że jest niebezpiecznym maniakiem, nie ulega dla mnie wątpliwości. Ale jak to się stało, że pan, profesorze, objął kierownictwo wyprawy, w której sens nie wierzy?

PROFESOR Widzi pan, doktorze, kiedy pojawił się ten groźny maniak, nikt w Cesarskim Towarzystwie Nauk nie potraktował go poważnie. Ale cóż – dotarł na dwór i uzyskał decyzję, na którą nie mieliśmy wpływu, nie pozostawało więc nam nic innego jak wziąć sprawę w swoje ręce. Towarzystwo poparło energicznie projekt wyprawy...

DOKTOR Chyba pierwszej w dziejach Cesarstwa?

PROFESOR Tak, gdyż wszystko jest już zbadane i odkryte, a Towarzystwo stoi tylko na straży wiedzy ścisłej, która jest opoką Cesar-

stwa. Nie wierzę w sens tej wyprawy i właśnie dlatego musiałem stanąć na jej czele. Gdy już dotrzemy do celu – czyli nigdzie – gdyż poza granicami Cesarstwa z całą pewnością po prostu nic nie istnieje – wtedy samą swoją obecnością uwierzytelnię upadek tej absurdalnej idei, która w istocie zagraża podstawom bytu Cesarstwa. DOKTOR A gdyby się nawet okazało, że rzeczywiście coś istnieje poza tą granicą? Jakiś step, góry czy morze. Cóż z tego? Najwyżej przyłączymy te ziemie do Cesarstwa. I koniec. Ważna jest władza, której my jesteśmy reprezentantami. I nigdy żadna granica nie będzie nami rządzić. Na tym polega Cesarstwo.

PROFESOR Oby miał pan rację, doktorze. Zbierajmy się. Inaczej Vanitus znów się na dzień drogi odsadzi.

Wychodzą. Po chwili z lewej pojawiają się Perski i Ojciec Owsiany. Poeta ledwo idzie. Na środku sceny przysiada, dyszy ciężko. Owsiany bez śladu zmęczenia przysiada skromnie obok. Perski monologuje bez wytchnienia.

PERSKI (*zbolalym głosem*) Miała być sławy pełna droga z przygodami, które ja mógłbym poetyckim słowem opiewać! I co... ładne mi przygody! Poetą jestem, a nie Pegazem, żeby po werstepach cwałować. Tyle mojego, com z rękopisów ocalił. Ech, zapomną epoki o was wszystkich, a moje diaria tej podróży dzieci w szkołach czytać będą... No i co ojciec nic nie mówisz? Język ojcu odjęło?

OWSIANY Godniejsze człowieka – na własnych nogach wędrować. Bardziej po ludzku.

PERSKI Po ludzku, po ludzku, ja tam bym wolał po końsku. Ciekawym – czegoś to ojciec spodziewasz się znaleźć u kresu drogi?

OWSIANY Nie moja to rzecz własne pragnienia i nadzieje w sercu nosić. Ku duchowej posłudze do wyprawy mnie przyłączono.

PERSKI Duchowa posługa ważna rzecz, ale to cóż... tu ojciec psalm dziękczynny odśpiewasz, tam pogrzeb odprawisz i tyle. Nie może to być, że innych ambicji w tobie nie ma.

OWSIANY *Apage, apage satanas...*

PERSKI A, tuś mi bratku! Mów mi ojciec zaraz, po coś w drogę ruszył? Może źle ci było w stolicy siedzieć i bąki zbijać?

OWSIANY Źle.

PERSKI No i masz kłopot. Wszystkim było dobrze – a jemu źle. Może łaska cesarska nie świeciła równie jasno wam, klechom, jak i nam artystom?

OWSIANY Świeciła...

PERSKI Więc co...

OWSIANY Ale kościół nasz nie boski był, jeno... (*pauza*) jeno cesarski.

PERSKI (*mentorskim tonem*) A wiesz ty, że przeciw dwu panom naraz bluźnisz? (*Owsiany milczy*) Że grzech ciężki na kark sobie bierzesz? (*Owsiany milczy*) Cicho – sza! Nic się ojciec nie bój, ja ciebie nie zdradzę. Ale między nami mówiąc, mam, widzisz ojciec, niejake podejrzania, czy ten służący profesora, Kazimierz... rozumiesz... no, czy nie dla bezpieczeństwa nam przydany? (*Owsiany milczy*) Rozumiesz ojciec?

Owsiany wzrusza ramionami, Perski tłumaczy mu coś na ucho.

OWSIANY Ja nie kary ziemskiej się boję.

PERSKI Daj ojciec spokój. Na zmartwienia z karą boską masz jeszcze czas.

OWSIANY Zawsze jest czas sposobny, by o Bogu myśleć.

PERSKI To po co żeś ojciec na wyprawę ruszał? Nie lepiej było w klasztoru o życiu wiecznym medytować?

OWSIANY (*żarliwie*) Może u kresu tej wyprawy znajdę Boga, którego w ludziach i świątyniach nie znajduję.

PERSKI (*po dłuższej pauzie*) Pysznyś, ojcze.

Wychodzą. Z drugiej strony kolejno pojawiają się wszyscy uczestnicy ekspedycji, przemierzają scenę i znikają. Ta cyrkulacja powtarza się dwukrotnie. Za pierwszym razem wszyscy wloką się zmęczeni, powłócząc nogami i ciągnąc za sobą po ziemi bagaże. Przechodzą kolejno: Sierżant Kant, Pietrek, Kazimierz, Karol, General, Vanitus, Profesor, Doktor, Owsiany, Perski. Drugie przejście jest bardziej energiczne, może dlatego że zostały rozdane nowe role: Kant niesie na plecach Generała, który dźga go w boki ostrogami, Kazimierz niesie Profesora, malutki Karol wielkiego Doktora, Pietrek – Vanitusa, a barczysty Owsiany, bez oznak zmęczenia – wyczerpanego Perskiego.

Obraz 3

Utarczki

Świta. Wchodzą Pietrek z Kazimierzem, ustawiają prosty krzyż.

PIETREK Dobry był człowiek z tego Karola. Szkoda go, taką śmiercią zginąć...

KAZIMIERZ Śmierć jak śmierć, każdemu jakaś pisana. Prawda, że go pan doktor na śmierć zajeździł, ale przecież potem osobiście mu krew puszczał.

PIETREK Słaba to jednak pociecha.

KAZIMIERZ Ale zawsze przecież – wyróżnienie.

Marszowym krokiem wchodzi Kant, kładzie pod krzyżem wieniec.

KANT Oj to, to... Można powiedzieć, że na placu boju padł. Generał tak się przejął, że mi fuzję oddał.

Wchodzą pozostali, krótka ceremonia pogrzebowa – Owsiany modli się cicho, wszyscy zachowują skupienie.

PROFESOR *(na stronie do Doktora)* Nie żał mi tego hultaja, ale jednak trochę pan przesadził, doktorze.

DOKTOR Skąd mogłem wiedzieć, że tak szybko szlag go trafi.

PROFESOR Dalej jednak pójdziemy pieszo. Służba może się zbuntować. *(do Owsianego)* Kończ ojczy, pora nam w drogę.

Wychodzą, za nimi służba.

GENERAL Ha, ofiary śmiertelne – tegom nie przewidział! Ale cel nasz jest wart wszystkich ofiar. *(do Perskiego)* A pan, panie Perski, nie podzielasz mego entuzjazmu. Czyżbyś już na stronę tych zasuszonych mumii ciągnął?

PERSKI Nigdzie nie ciągnę i nikogo popierać nie myślę. Sam ruszyłem w tę wyprawę i jedynym powodem było me umiłowanie postępu. Poezja zawsze kroczy w awangardzie epoki, czyż nie mam racji, nasz drogi filozofie?

VANITUS Nie wiem, czy akurat nasza wyprawa przetrze drogi wiodące ku postępowi. A może wkraczamy w świat barbarzyństwa, grzechu i ciemnoty?

GENERAL Też prawda! Przecież w stolicy każdy umiera spokojnie, czasem nawet planowo. A tu masz – dwa trupy w dwa dni i to bez sensownej przyczyny.

VANITUS Skutki naszych odkryć mogą być nieobliczalne.

PERSKI O skutki się nie martwię, ważne są odkrycia same w sobie. Bowiem wszystko co pochodzi z myśli ludzkiej, musi się obrócić na korzyść człowieka. Tak i nasza wyprawa.

VANITUS Chciałbym podzielać pańską wiarę, ale muszę niestety pozostać przy swojej.

GENERAL Pora w drogę, panowie.

Wychodzą.

Obraz 4

Tygrys

Wchodzą Profesor i Doktor.

PROFESOR No, teraz my zyskaliśmy pewną przewagę.

DOKTOR Ale czy nie jest to trochę niebezpieczne, profesorze, tak zapuszczać się samopas w nieznane okolice?

PROFESOR Niech się pan nie boi, doktorze, znam te tereny z map. To bardzo spokojne strony. Niepokoi mnie natomiast co innego. Czuję, że Vanitus rozpoczął kontrnatarcie i już tylko my dwaj liczymy się do jego przeciwników.

DOKTOR Jak to? A generał? A Perski?

PROFESOR Furda Perski, nie biorę go poważnie, bo raz, że poeta, dwa entuzjasta, a takich się konsekwencja nie trzyma. Naprawdę martwi mnie generał.

DOKTOR Przecież we wszystkim słucha pana. A inna – że to bufon.

PROFESOR Bufon, nie bufon, ale zawsze generał. Zapowiedział mi, że zaraz po dojściu do granicy założy po drugiej stronie garnizon i rozpocznie mobilizację.

DOKTOR Et, głupstwa.

PROFESOR Ale wynika z tego, że i generał uwierzył w tę drugą stronę. *(ciszej)* Przyznam, doktorze, o czym może pan nie wiesz, że Kazimierz, mój służący, jest w istocie przydanym nam do pomocy zaufanym pracownikiem Ministerium Wewnętrznych Potrzeb.

DOKTOR Więc to on o wszystkim pana informuje?

PROFESOR Dotąd – tak. Ale i jemu powoli przestaję ufać. Stąd mój plan. Schowajmy się obaj w tych oto gęstych krzakach i posłuchajmy o czym będą mówić przechodzący.

DOKTOR My – w krzakach? Pan – profesorze? I ja? W krzakach? Przecież to nieprzyzwoite!

PROFESOR Trudno, doktorze, trudno, przypominam, że jesteśmy na służbie Cesarza.

Profesor wskazuje kępę krzaków. Doktor wchodzi w nią sztywno, ze wstrętem, za nim Profesor. Po chwili spomiędzy gałęzi wylania się trąbka na długim ramieniu, która porusza się miarowo w ślad za przechodzącymi. Po kolei przeciągają pozostali uczestnicy wyprawy. Są w niezłych humorach i – wbrew nadziejom Profesora – toczą dość niefrasobliwe (a na pewno – prawomyślne) rozmowy. Wszyscy wędrują od lewej do prawej. Jako pierwsi – General i Perski.

PERSKI (*kontynuując wcześniej rozpoczętą rozmowę*) Co też pan powie, generale... Więc ona, taka znana aktorka, też?

GENERAL Ha, ha, a jakże! Wy literaci nie doceniacie armii. Oho, pamiętam, ile to razy w sztabie... aktoreczki już się rozbiegają w garderobie, a my każemy, panie, wannę, tego, napełnić szampanem i, panie, kąpiele. I figle. I zakłady. Na przykład – kto dłużej wytrzyma pod wodą, to jest – pod szampanem – bez powietrza...

PERSKI Eeee... też mi perwersja.

GENERAL Albo pamiętam kiedyś...

Wychodzą; wchodzi Vanitus i Owsiany.

OWSIANY Kocham tę ziemię i naturę, i wszystkie jej stworzenia miłuję... ale...

VANITUS Śmiało, śmiało...

OWSIANY Ale czuję, że ja sam jestem tu obcy, zbędny i przypadkowy, a moja miłość jest uczuciem dziecka. Nie wiem czemu kocham, czemu miłuję. Treści, sedna mi brak.

VANITUS Mów dalej, ojcie, słucham... i może pomóc bym umiał.

Wychodzą; wchodzi Kant, Kazimierz i Pietrek.

KAZIMIERZ A może wolałbyś w domu siedzieć i baki zbijać, niż w służbie Cesarza wędrować, co szelmo?

PIETREK Eee, gdzie ta. W domu nudno, to raz, a dwa, że służba cesarska – zaszczytna to rzecz.

KANT Iiii – pewnie. Ot, choćby teraz – znowu mi pan generał fuzję oddał. A w stolicy – tyle bym się broni napatrzył, co w muzeum.

Wychodzą; Profesor i Doktor wylaniają się częściowo zza krzaków.

DOKTOR Na nic się pospolitowaliśmy. O niczym groźnym nie mówili.

PROFESOR Musimy być czujni, doktorze. Ale, uwaga, ktoś się tu zbliża.

Chowają się, wbiega Kazimierz.

KAZIMIERZ Haaa... ktoś się tu schował, widziałem dobrze. *(wyciąga rewolwer)* Wychodzić w imię Cesarza! *(Profesor i Doktor wychodzą)* Aaaa.... proszę bardzo, profesor i – kogo ja widzę – pan doktor. Stać spokojnie!

DOKTOR *(słabo)* Na pomoc!

KAZIMIERZ Może pan wołać do woli – dowody spisku są i tak oczywiste. A zaraz znajdziemy następne.

Kazimierz wchodzi w krzaki; wbiega Kant.

KANT Kto wołał pomocy?

PROFESOR *(z reflekssem)* Tam, tam! Tygrys! Strzelaj!

Kant automatycznie składa się i strzela, słychać krzyk i łomot padającego ciała. Wbiegają pozostali uczestnicy wyprawy. Oslupiały Kant pokazuje na zarośla – General śmiało w nie wkracza.

DOKTOR *(na stronie)* Ładna historia!

PROFESOR *(cicho)* Nic na to nie poradzę. Może to i lepiej, że się go pozbyłem.

DOKTOR W ten sposób pozostaniemy bez służby.

PROFESOR Ale zawsze to lepiej, że ofiary są tylko spośród służby, prawda?

GENERAŁ *(z zarośli)* Na Boga, toż to nie tygrys, to Kazimierz!

PIETREK Doktora! Doktora!

Doktor zachowuje niewzruszony spokój.

VANITUS Nic mu już doktor nie pomoże – skonał.

KANT Cóż ja, nieszczęsny, uczyniłem!

VANITUS *(dociekliwie)* To panów napadł tygrys?

PROFESOR Coś zaszeleściło w krzakach i myśleliśmy...

VANITUS Ale czy panowie go widzieli?

DOKTOR No, niestety nie.

VANITUS Szkoda. Tygrysy wyginęły parę setek lat temu. Gdyby się jakiś zachował, byłby to kolejny dowód na rzecz mojej tezy.

GENERAL (do Pietrka i Kanta) Pochować tego nieszczęśnika. *Pietrek, Kant i Owsiany wychodzą niosąc Kazimierza.*

GENERAL Nic z tego nie rozumiem! Tygrysa nie było, tak?

VANITUS Niestety! A panowie skąd właściwie tutaj? Sądziłem, że jesteście w przodzie.

PROFESOR Musieliśmy coś zbadać w tych zaroślach, więc zostaliśmy.

GENERAL Ale skąd tu się wziął Kazimierz? Nic z tego nie rozumiem.

PROFESOR Nie pan tu jest od rozumienia, generale. I proszę zaniechać dalszych próżnych dyskusji na temat tego nieszczęśliwego wypadku.

PERSKI Jak tak dalej pójdzie – zostaniemy bez służby. I co wtedy?

GENERAL Od dziś będę strzegł Kanta jak oka w głowie. A przede wszystkim zabiorę mu fuzję. Gotów nas wszystkich pokaleczyć.

VANITUS (*cicho do Perskiego*) Oni na pewno coś przed nami ukrywają. Jestem przekonany, że tam jednak był tygrys.

PERSKI Że coś ukrywają, to pewna, mistrzu. Ale wątpię, czy tygrysa właśnie. Ci dwaj coś grubszego knują.

Wychodzą.

Obraz 5

Przestrogi Młynarza

Znużeni uczestnicy wyprawy wloką się wolno, noga za nogą. Wtem z przeciwka wytacza się na scenę wysoko wyladowany tobołami wóz o drewnianych kołach, ciągnięty za dyszel przez Parobka. Na wozie drzemią, okutani po uszy w podniszczone łachy : Młynarz, trzy Baby, Dzieci. Obie grupy gwałtownie przystają. Parobek dyszy ciężko, Młynarz budzi się i wyciąga spod tobołów ogromny karabin maszynowy.

MŁYNARZ Stać! Kto jesteście!

GENERAŁ (*wysuwa się do przodu*) Jesteśmy wyprawą naukową ze stolicy. W imię Cesarza – złóżcie broń.

MŁYNARZ (*powoli opuszcza karabin*) My spokojni ludzie, panie, tutejsi. Do stolicy uciekamy.

PROFESOR I cóż to zmusiło was do ucieczki?

BABA I Krzywda i nieszczęście, panie! Bo to mój chłop jest młynarz. Znaczy się – był...

MŁYNARZ Cichaj, babo... Byłem młynarzem, panowie. Młyn miałem, krówek parę i morgów kilka przykupiłem. Ale od lat paru jakby się dobrodziejstwa niebios od nas odwróciły. Najsamwpierw rzeki wylały, groble mi przerwało i koło poniszczyło, potem susza przysła, a i zarazy na bydło... A toż kontrybucyje, podatki na wyprawy naukowe i umocnienia graniczne.

BABA II A chto tam, panoczku, u nas o jakiesik granicach sły-szał? My lądowe ludzie, spokojne!

MŁYNARZ Cichaj, babo, powiadam... A zatem – po siedmiu latach takowych klęsk i chorób, głód tak wielki na nas przyszed, że ludziska ziemię i domostwa porzucili. Czego woda nie

zabrała, to słońce wypaliło, a resztę szarańcza zjadła albo znowuż myszów plaga ekstraordynaryjna. A za temi nieszczęściami inne, już z duszy ludzkiej zrodzone. Bo to i napaści, panie, i rabunki, a gwałty i rozboje. Nikt w całej okolicy spokojności nie zaznał. Spakowałem tedy dobytek na wóz, a parobka do wozu zaprząłem, (*przy tych słowach Młynarza wyczerpany Parobek wali się na kolana*) bo to konie już mi dawno padły, i do stolicy po szczęście wędrujem.

Ojciec Owsiany przyklęka przy Parobku, ociera mu pot z czoła, poi wodą.

VANITUS Straszne rzeczy opowiadasz, młynarzu. Więc wkraczamy w opustoszałe ziemie?

MŁYNARZ Jak okiem sięgnąć, panie, nic jeno głód a susza, a zaraza alibo rozboje, a także gwałty niesłychane, korupcja i wszelakie rozpasanie. Nie jedźcie tam, panowie. (*do Owsianego*) Zostawcie go, panie, on mocny i pociągnie jeszcze, a rzecz insza, że psiawiara nijakiego starania niewart!

PROFESOR (*wzburzony*) Od wielu lat nie słyszałem o takich klęskach i rozprzężeniu w naszym szczęśliwym państwie. Nie mogę temu chłopu wierzyć.

MŁYNARZ Jak chceta, panie... Ale jeśli drogi nie zaniechacie, radzę wam trochę oręża nowego przybrać. U nas to już strzelby na tuziny sprzedają, a znowuż kulami na mendle handlują. Tanio i ja oddam!

Młynarz zsiada z wozu i wyciąga spod tobołów karabiny, rakietniki, pancersfausty, noktowizory – pozornie nowoczesne, ale przypominające uzbrojenie z I wojny światowej.

GENERAL (*ze wstrętem*) A zabierzcie to żelastwo! Nigdy czymś takim nie wojowałem i nie mam nawet ochoty próbować. U nas (*klepie się po boku*) szabla a koń dobry – to grunt.

MŁYNARZ (*ładując broń z powrotem na wóz*) To może dziewczkę weźmiecie? (*gestem spędza Babę III z wozu*) Tanio oddam, za żyta korzec, bo jest popsowana.

BABA II A bo to wiecie, łaskawy panie – kto-to by nie przeciągał wpodłe młyna, każdy jeden zgwałcić musiał. A to ułani byli, a to znów saperzy, abo ekolodzy, co z suszą walczyli.

MŁYNARZ Ten mi się łachudra... (*trąca końcem biczka Parobka*) jak łaski jej dopraszał, ale mu nie dam, bo by się i za sto lat nie odsłużył. Zresztą my szybko jedziem, to i nie czas na amory w takiej ekspedycji. Ale dziewczka jeszcze zdatna jest i w drodze wam się nada...

Młynarz zadziera kieckę Baby III wysoko w górę. Baba pod spodem jest naga; śmieje się głupkowato. Młynarz strzela z biczka, Baba pręży się, potem zachęcająco rusza biodrami.

OWSIANY Nie, nie! Nie róbcie tego, człowieku. Ulitujcie się nad nią, bo jest nieszczęśliwa.

MŁYNARZ Iii... una twarda jest, niejedno jeszcze strzyma. To jak, znakiem tego – kupujecie? (*nikt nie reaguje*) No, nie, to nie... pora nam w drogę...

Młynarz wpędza Babę III na wóz, sam też gramoli się na górę.

PROFESOR Cóż, my chyba też ruszymy, choć zmartwiły i przeraziły mnie te wieści.

DOKTOR (*zimno*) To prostak, panowie. Nie wierzyłbym w ani jedno jego słowo.

Młynarz wyciąga bat, smaga nim po plecach Parobka.

MŁYNARZ Nie chceta dobrego słowa słuchać, to nie. No... czas nam w drogę, czas. Wioo...

Udręczony Parobek z trudem powstaje z kolan, chwije się. Młynarz strzela z bata. Parobek wolno odwraca twarz w jego stronę.

MŁYNARZ A ty mi się za dziewczką, ni za jadłem nie oglądaj. Pamiętaj, kto pan, a kto sługa, i kto komu uważanie winien! Nooo!

Ekspedycja rusza w stronę kulisy, wszyscy znikają po kolei ze sceny. Wóz Młynarza powoli, skrzypiąc, zjeżdża w przeciwnym kierunku.

Obraz 6

Cyklista

W jakiś czas później. Narada wszystkich uczestników wyprawy. Siedzą półkolistnie wokół Profesora, który przemawia zwrócony półtylem do widowni. Pietrek i Kant znudzeni stoją z boku.

PROFESOR Panowie! Już troje służby przypłaciło życiem lekomyślność projektodawcy tej ekspedycji. Tymczasem celu nie widać. Tubylców też, poza tym młynarzem głupkowskim i plugawym. Z prowiantem krucho. Przed nami kraj spustoszony, bezludny, wymarły... Pytam, panowie: czy macie przekonanie o wielkości celu, ku któremu zmierzamy? Czy może powinniśmy zawrócić?

VANITUS (*energicznie*) Nasza wyprawa okazała się trudniejsza, niż się spodziewaliśmy. Ale to sama rzeczywistość i nieodgadnione żywioły zdają się przeczyć mądrości profesorskich map. A skoro tak – to czy powinniśmy pozostać przy rzeczywistości, czy przy mapie?

DOKTOR Ależ to są teorie wywrotowe!

Zaczyna się niekontrolowana kłótnia. Kant i Pietrek przestają jej słuchać. Z najwyższym zainteresowaniem i tajonym zdumieniem spoglądają w stronę przebytej dotąd drogi, wysuwają się na pierwszy plan, robią z dłoni daszek, wypatrują. Powodem ich zaskoczenia i zdumienia jest posłaniec-cyklista, który zbliża się na staromodnym rowerze. Tymczasem kłótnia nie ustaje. Pietrek i Kant śledzą uważnie rowerzystę i komentują jego pojawienie się. Ich kwestie padają symultanicznie do kwestii naradzających się.

PIETREK Chorooba!

KANT Ty też to widzisz?

PERSKI Te teorie nie są wywrotowe, lecz postępowe, doktorze.

DOKTOR Więc pan, literat, też bierze stronę tego podejrzanego filozofa?

PERSKI Osoba pana Vanitusa nie ma tu nic do rzeczy. Wyruszyłem w drogę z własnej woli i chęci.

PIETREK Nooo, widzę!

KANT Co to jest?

OWSIANY (*słabo*) *Pax vobiscum*, panowie.

GENERAŁ Dziwię się panu, doktorze. Był rozkaz? Był. To trzeba wykonać.

PIETREK Człowiek na kołach.

KANT Tyle to i ja widzę.

PROFESOR Ale jakim kosztem, generale, jakim kosztem?

GENERAŁ Nie ma takiej ofiary, której bym nie poniósł dla chwały Cesarstwa.

PROFESOR Wiem, wiem, generale, ale nie o ślepe ofiary winno nam chodzić.

KANT Ty, a może strzelić?

PIETREK O, ale – już raz strzelałeś.

GENERAŁ (*obraża się*) Ślepe ofiary? Wzrok mam w porządku!

OWSIANY Pokój, panowie.

PROFESOR Niechże choć ojciec się nie wtrąca. Odbieram ojcu głos.

KANT Ty, boisz się?

PIETREK Jasne.

PERSKI To co, może i mnie pan głos odbierze?

PROFESOR Jak trzeba będzie, to odbiorę.

PERSKI Nic to nie da! Choćby mi pan język wyrwał, pozostaną moje wiersze i pieśni.

KANT Trzeba by panów zawiadomić.

PIETREK To biegnij do generała.

DOKTOR Ależ panie Perski, nikt z nas w pański geniusz nie wątpi, ale tu spokoju trzeba.

PERSKI Spokoju wam się zachciewa? Wariata ze mnie będziecie robić? Co? Myślicie, że nie wiem, co o was myśleć? Banda nieuków. Ciekaw jestem, czy ten konował przeczytał choć jeden wiersz w życiu! I on mi od geniuszy wymyśla! O, nieee...

KANT Jakżeś taki mądry, to leć do filozofa.

PIETREK Ja nie pójdę.

KANT Ja też nie.

DOKTOR O, ty pisarczyku nędzny, ja ci...

PERSKI Spokój, teraz ja mówię! Znam ja was. Książek nie czytacie, do teatru nie chodzicie, muzykę tylko z kabaretu znacie i wy mi tu o postępie, wy tu ze mną...

PIETREK A ten ciągle jedzie.

KANT Coraz bliżej jest.

PERSKI Więcej nie powiem ani słowa.

DOKTOR I bardzo dobrze!

PIETREK Trzeba jednak panów zawiadomić.

KANT Kiedy tak krzyczą, że aż przystąpić strach.

VANITUS A może byśmy skończyli tę brudną połajankę?

DOKTOR Dość obelg.

GENERAL To pańska wina.

DOKTOR Dość tego!

KANT Wiesz co, leć do ojczulka, on posłucha.

PIETREK Ale ty ze mną.

GENERAL Tak jest, dość tego.

KANT No to chodźmy.

PROFESOR Przestańcie wreszcie, panowie.

PIETREK Tak jest, chodźmy.

Nie ruszają się z miejsca.

PERSKI To pan niech przestanie.

KANT Ale ty pierwszy.

PROFESOR W imieniu Cesarza...

VANITUS Ja też w imieniu Cesarza...

PIETREK Nie, ty pierwszy.

PROFESOR Pan nie ma prawa.

KANT To chodźmy razem.

Podchodzą do Owsianego, klarują mu coś cicho.

VANITUS A pan je sobie uzurpuje.

Owsiany próbuje coś powiedzieć.

PROFESOR (*wściekły*) Ojciec tu czego, przecież kazałem ojcu milczeć.

Ojciec Owsiany, zawstydzony, wskazuje ręką przerażonych służących, po czym wyciąga ją w stronę lewej kulisy. Wszyscy spoglądają w tę stronę. W tym momencie z kulisy wypada zmęczony Cyklista. Hamuje, zsiada z roweru. Zwarta dotąd grupa rozsypuje się, zdumienie, okrzyki przerażenia. General wyrywa sierżantowi strzelbę.

PROFESOR Co to jest?

CYKLISTA Melduje się posłaniec ze stolicy. Czy mam zaszczyt mówić z kierownikiem ekspedycji do krańca mapy?

PROFESOR Jestem we własnej osobie. Ale cóż to za dziwny twór?

CYKLISTA (*z dumą*) Widać zaraz, że panowie od dawna w drodze. To najnowszy wynalazek naszych inżynierów. Ułatwia każdą podróż i znacznie ją przyśpiesza, a przy tym żadnej stawy nie potrzebuje. (*demonstruje rower*) Te oto deseczki stopami naciskając, uzyskuje się siłę, która przeniesiona na koła, wielki im pośpiech nadaje. Koła kręcą się, a bicykl sam podróżnego niesie.

PERSKI (*zafascynowany*) Bi-cykl! Ha, jaka wspaniała nazwa. Jako żywo, godna poematu. Panowie – oto ucieleśnienie postępu, oto idea żywa, wynalazek tak wspaniały, że dotąd w wyobraźni sennej nawet nie powstał.

PROFESOR Wynalazek owszem – ciekawy, ale przecież nie po to ślano za nami gońca, by nam nowinki prezentował. Cóż w stolicy, jak zdrowie Najjaśniejszego Pana?

CYKLISTA Nie wymawiaj przy mnie słów niegodnych prawowiernego obywatela! Rok już minął od wielkiej rewolucji, która zniosła Cesarstwo i ustanowiła Republikę. Były Cesarz, o którego tak nieostrożnie zapytujesz, abdykował i zmarł zaraz potem ku chwale ludu, który jest sędzią, panem i najwyższą wartością państwa. Precz z Cesarstwem, niech żyje Republika!

PERSKI (*słabo*) Niech żyje!

CYKLISTA Chyba tylko waszym zdumieniem mogę tłumaczyć brak wymaganego okrzyku, bo w każdych innych okolicznościach milczenie wasze uznać bym musiał za zdradę stanu. A więc: niech żyje Republika!

PERSKI i GENERAŁ (*mocniej*) Niech żyje!

CYKLISTA No, coś to jeszcze słabo wychodzi.

WSZYSCY Niech żyje!

PERSKI Ja bo zawsze byłem w duszy re... publikaninem. Wieść ta gorącą radością mnie przepelnia.

GENERAŁ Tak, tak – mnie też.

PERSKI Stary Cesarz był kuternoga... powiedzmy sobie szczerze, nic nie czytał i za nic miał sztukę.

PROFESOR Naukę też! Nic z wiedzy ścisłej rozumieć nie był zdolny.

DOKTOR Lekarzy od łóżka pędził. Za jedyne lekarstwo miał koniak i termofor.

PERSKI Co za radosna nowina!

GENERAŁ A Cesarzowa była wesoła kobitka, wiem coś o tym, he-he...!

VANITUS Infant nawet czytać dobrze nie umiał.

Wreszcie śmiech wygasa. Wszyscy nagle zażenowani przyglądają się sobie spode łba. Posłaniec cały czas milczy.

PROFESOR No tak, ale nasz gość pewnie i inne nowiny przywiózł. Pozwól, panie...

CYKLISTA Obywatelu...

PROFESOR Eee... tak, obywatelu, czy Cesa... to jest chciałem powiedzieć...

CYKLISTA U steru nawy państwowej stoi teraz Prezydent, który pamięta o wyprawie i nakazuje ją kontynuować ku chwale Republiki. Skład ekspedycji pozostaje bez zmian. Odwołuje się tylko... (*wyciąga kartkę, czyta*) porucznika Kazimierza Wypiontka.

PROFESOR Nie żyje, niestety.

CYKLISTA No to ma chłop szczęście, w stolicy czekałby go stryczek. Poza tym: Prezydent prosi profesora o dalsze dowodzenie wyprawą, generał Brandenburski otrzymuje awans na generała-majora, a obywatela Vanitusa wybrano zaocznie na członka Ludowej Akademii Nauk. Obywatele, wasza misja ma wagę państwową: granicę trzeba odnaleźć, przekroczyć i również poza nią zasiać ziarno naszej wielkiej idei!

PERSKI Niech żyje postępek!

PROFESOR (*bez entuzjazmu*) Tak jest, niech żyje. A teraz proszę obywatela i was, panowie, do namiotu na ucztę. To jest – chciałem powiedzieć – na posiłek. Służba zajmie się rumakiem, to jest – bi... cyklem o... bywatela posłańca.

CYKLISTA (*brutalnie*) Oczyśćcie go z błota i naoliwcie koła. A ruszać się żywo, szelmy, bo dostaniecie po karku!

Wychodzą wszyscy poza Pietrkiem i Kantem.

PIETREK A to ci cudaczna maszyna.

KANT Iiii tam, maszyna. A słyszałeś, co ten gadał?

PIETREK Co miałem nie słyszeć?

KANT To znaczy, że nie ma już Cesarstwa?

PIETREK Ano nie.

KANT Ale znaczy się... co to jest ta Republika?

PIETREK Po mojemu, różnicy żadnej nie ma. Ino nazwa inksza. I zamiast Cesarza jest ten no... Perezydent.

KANT Ale bo to, wiesz, ten od maszyny gadał... znaczy się – co też to jest ten lud?

PIETREK (*mądrzy się*) Lud to, widzisz... panowie! Te wszystkie profesory, generały, filozofy i inksze grafy. To oni są lud. Rozumiesz?

KANT Znaczy się – armia będzie dalej?

PIETREK Jasne, a czemu ma nie być?

KANT Bo myślałem, że jak nie ma Cesarza, to nie będzie i armii.

PIETREK Będzie, będzie, tyle, że ludowa. Sam przecież słyszałeś, że twój pan awans dostał. Tylko patrzeć, a i ty szarżę złapiesz.

KANT (*z nadzieją*) Myślisz?

PIETREK A czemu nie? Dyc służysz wiernie ludowi?

KANT Służę!

Kończą czyścić rower, gdy z prawej wchodzi Perski, dopijając czerwone wino. Ociera usta koronkową chusteczką.

PERSKI Robota skończona?

PIETREK Kończymy, panie.

PERSKI Ale ostrożnie pracować, z szacunkiem. Bicykl to wielka rzecz. Taki przedmiot jest jak najwspanialszy poemat. (*de-*

klamuje z uniesieniem) W jego szlachetnych kształtach, w klasycznych liniach o płynności kobiecego ciała, ucieleśnia się myśl ludzka. Pietrek, zerknijcie no dyskretnie, co panowie robią. (*Pietrek wychodzi*) A teraz ja, czciciel postępu, dosiędę tego mechanicznego Pegaza!

Perski wręcza Kantowi pusty kieliszek, gładzi pieszczotliwie ramę roweru.

PIETREK (*wracając*) Panowie jak i przedtem... eee... uczują. PERSKI Świetnie! Usuńcie się z drogi i podziwiajcie, jak dosiada swego wierzchowca nowoczesny argonauta. (*Perski wsiada na rower, szamocze się z nim, pada. Ponawia próbę, tym razem z sukcesem – łapie równowagę i zaczyna niewprawnie kręcić piruety upojony swą sprawnością i odwagą*) A teraz – uwaga! Ruszam w wielką podróż! Żegnajcie, znajdziecie mnie między bogami!

Wyjeżdża w lewo.

PIETREK i KANT Ostrożnie, panie, tam przepaść!!! Stójcie! *Słysząc głośny krzyk i przeraźliwy łomot blach. Z prawej wypadają pozostali uczestnicy wyprawy i Cyklista z widelcami w dłoniach, chusteczkami za kołnierzykami. General czka.*

PROFESOR Co się znowu stało?

PIETREK Tam, tam, pan Perski na bicyklu!

GENERAŁ Wpadł w przepaść, nieszczęsny.

PROFESOR Liny, dajcie liny!

VANITUS Złożył swe życie na ołtarzu postępu.

Pietrek i Kant unoszą ciało Perskiego. General dźwiga połamanego rower.

PROFESOR (*do Vanitusa*) Powędrujemy, oczywiście, dalej, ale za wszystkie te ofiary odpowiedzialny będzie pan.

DOKTOR (*surowo*) I cykliści.

Przerwa

Obraz 7

Starzec Ślepy

W jakiś czas później. Podróżnicy są wymęczeni, bladzi, zarośnięci. Ubrania i bagaże poszarpane, wyblakłe. Widać, że podróż dała się im we znaki. Idą pod silny wiatr, więc wolno; krzyczą, by się nawzajem usłyszeć. Jako pierwsi General i Vanitus.

GENERAL *(ciężko dysząc)* Dokąd idziemy? Po co? *(Vanitus milczy)* Tu tylko dziki step, wiatr i zawieja. Ludzi od dawna nie widziałem. Cesarstwa już nie ma, a Republika to tylko abstrakcja, jakże więc szukać granic?

VANITUS Tę granicę niesiemy w sobie i musimy ją przejść.
Wychodzą, wchodzi Owsiany, sam.

OWSIANY Dmij wietrze, grzmij burzo, smagajcie mnie gałęzie deszczu. Trzeba mi trudu, co utwierdzi mnie i ustanowi.

Wychodzi; wchodzi, utykając i podtrzymując się wzajemnie, Profesor i Doktor.

DOKTOR Profesorze, po co brniemy ulegle w ten absurd, który nas wszystkich zabije? Pora wracać.

PROFESOR Powrót też byłby klęską, to byłaby śmierć za życia. Widzisz, doktorze, chyba rację ma ten zwariowany Vanitus – strach, który w nas jest, to strach przed postępem.

DOKTOR *(kostycznie)* To zdrowy strach przed zmianą na gorsze.

PROFESOR Tego nie wiemy. Vanitusa popycha bezinteresowna żądza poznania i jej pozostaje wierny.

DOKTOR Zginiemy!

PROFESOR Ale może przedtem poznamy prawdę!

DOKTOR Prawda pana Vanitusa nic mnie nie obchodzi.

Wbiega Pietrek, wiatr cichnie.

PIETREK Panie, panie, wszyscy zawrócili z drogi, wracają tu! A z nimi jakiś człowiek dziwny.

GENERAL (wbiegając) Profesorze, nareszcie jakiś tubylec! Wchodzą Owsiany i Vanitus, podtrzymując Starca Ślepego. Jest to wielkiego wzrostu mężczyzna, siwowłosy i siwobrody, z kosturem w dłoni i bielmem na oczach.

STARZEC ŚLEPY Pokój wam, szlachetni!

VANITUS Witaj starcze! Czy jesteś mieszkańcem tych dzikich stron?

STARZEC ŚLEPY Pochodzę z daleka, z okolic ludnych i bogatych, gdzie teraz zaraza śmierć okrutną szerzy. Z całej osady jam jeden przy życiu pozostał i porzuciwszy ojcowiznę w głąb kraju śpieszę. Uciekajcie i wy, szlachetni panowie! Nikogo zaraz nie omija i nikt się jej mocy oprzeć nie zdoła.

DOKTOR (ciekawie) Mów, starcze, co to za choroba?

STARZEC ŚLEPY Jedni ją zowią grzeszną gorączką, inni znów pomilostką nazywają. Leci jak wiatr od miasta do wsi, oddechem gorącym i zgniłym twarze omiata, nie ucieknie przed nią ni ptak, ni zwierz. Ludzie nią dotknięci rzucają się na siebie wzajem i parzą jak zwierzęta w rui, a ona na ich ciałach wrzody otwiera straszne, słabość i gorączki sprowadza, moce wszelkie ciała grzesznemu odbiera, aż człek zmieniony w szkielet grzechoczący w mogiłę się osuwa. Wszyscy, wszyscy idą na zatracenie.

VANITUS Straszliwe rzeczy opowiadasz, czcigodny starcze.

DOKTOR (autorytatywnie) Tym razem mogę pana uspokoić. Ten starzec plecie duby smalone. Rozum mu się pomieszał, ale nie z choroby, a ze starości. Poświadczam całą wiedzą swoją i autorytetem nowoczesnej medycyny, że choroba, o której mówi ten starzec, od dawna już, zwyciężona przez potęgę wiedzy, nie istnieje.

STARZEC ŚLEPY Nikt z całej wioski nie pozostał żywy. Ja sam tylko! Wiekiem i kalectwem swym zabezpieczony, nie dałem się rui owej wszetecznej ponieść, jako iż niewinność swą od dziecięcości konserwuję. Ale strzeżcie się, szlachetni przybysze – i was to opętanie czeka!

PROFESOR Co sądzicie o tym, panowie? Ja gotów jestem za-
wierzyć autorytetowi doktora.

VANITUS Tak... oczywiście... pójdziemy dalej.

DOKTOR Nie słuchajcie tych bredni, panowie.

Wychodzą wszyscy poza Starcem Ślepym. Vanitus zawraca.

VANITUS Powiedz mi starcze, wszak żyłeś daleko stąd, w po-
bliżu granic – co jest po drugiej stronie?

STARZEC ŚLEPY Daleko stąd pasalem owce, u samych krań-
ców dawnego Cesarstwa, ale nie wiem co zowiesz granicą.

VANITUS Jakże to?

STARZEC ŚLEPY Nic nie wiem synu, nie widziałem niczego.
Od urodzenia jestem ślepy.

VANITUS Przekleństwo na moją głowę! Życz mi szczęścia,
starcze.

Wychodzi.

STARZEC ŚLEPY (*za nim*) Przekleństwo ściga wszystkich, któ-
rzy zmierzają w stronę granic.

Obraz 8

Banda Serwacego

Obozowisko; Pietrek i Kant.

PIETREK Tak tedy i pan doktor się pomylił. A taki uczony był z niego człowiek.

KANT Cud prawdziwy, żeśmy z życiem z tej zarazy uszli.

PIETREK Ale doktor już się nie wylize.

KANT Przyjdzie i do tego, że wszyscy pomrzemy.

OWSIANY (*wchodząc*) Każdemu jego pora pisana. Doktor Stomak zasnął snem wiecznym. Pomódlmy się za niego.

Owsiany klęka samotnie; wchodzi pozostali.

GENERAL Suchy był z doktora człowiek, ponury, ale jednak, ot – w sercu żal, choć nie przystoi wojskowej osobie... I kto by to pomyślał, iż od ślepca tym jadłem się zarazi. A ponoć ów starzec niewinność konserwował?

PROFESOR A cóż mam powiedzieć ja, który straciłem jedyne-
go przyjaciela? Choć może nie mam racji? Wszyscy stajecie mi
się bliscy...

VANITUS I ja uraz w sercu nie chowam.

PROFESOR Daleko gdzieś wielki świat, stolica gwarem tętni,
ale nie dla nas już codzienne radości. Pójdziemy dalej, przyja-
ciele.

Wszyscy milkną, zamyśleni. Wchodzi Tubylec, ciągnąc wypchany wózek.

TUBYLEC Hej ludzie, kto wy? (*nikt nie odpowiada*) Hej ludzie,
ogłuchliście?

VANITUS Kto tu, kto tu?

TUBYLEC Ja tutejszy jestem. A wy? Czy nie z bandy Serwacego
czasem?

PROFESOR Jesteśmy naukową ekspedycją Prezydenta Republiki, dobry człowieku.

TUBYLEC No, dobrych ludzi to już chyba niewielu zostało... Ale o jakim prezydencie mówisz? O jakiej republice? To o niczym nie wiecie, nieszczęśni?

VANITUS Jakie znów wieści ty nam ogłosisz?

TUBYLEC Nie ma już Republiki, nie ma Prezydenta. Parlament obalony, ministrowie w więzieniach. Krajem rządzi Dyktator, we wszystkich prowincjach śledztwa, pogromy i egzekucje. Nikt nie wie, czy głowę z pożogi wyniesie!

VANITUS To już nas nie dotyczy, jesteśmy poza granicą wydarzeń.

TUBYLEC Szkoda, bo bezpieczniej razem wędrować w poszukiwaniu stron spokojniejszych. Zapamiętajcie chociaż jedno: strzeżcie się zbójcy Serwacego, który ze swą bandą po okolicy chadza. Właśnie przed nim uciekam.

PROFESOR Jednej rzeczy nie mogę pojąć. Jak to możliwe, że wiesz o rzeczach, jakie się zdarzyły w stolicy, wcześniej od nas, którzy prosto z niej idziemy?

TUBYLEC Widać od razu, panowie, żeście od dawna w podróży i z dala od większych osad. Już parę lat mija odkąd w powszednim użyciu jest ten oto (*wyciąga radio tranzystorowe*) prosty wynalazek, który głos na odległość przenosi. Już nawet dzieci po miastach nim się bawią.

Włącza radjko, z którego słychać fragment jakiegoś przemówienia.

GŁOS DYKTATORA Tak więc odpowiemy naszym przeciwnikom z wiadomych kręgów, iż poglądy ich i czyny są głęboko niesłuszne. Jedyną bowiem gwarancją szczęścia i pomyślności ogółu może być władza nasza i państwo nasze, w którym każdy prawomyślny człowiek swe miejsce znajdzie... A teraz... (*Dyktator zmienia ton, mówi jak wytrawny didżej*) nasza złota dziesiątka! Z dedykacją dla Mirki z Zambrowa od kolegi z woja w Ustce – najnowszy przebój... (*głos ginie w fali gwałtownej muzyki disco-polo*)

TUBYLEC (*wyłącza tranzystor*) Czas na mnie... Pamiętajcie, strzeżcie się Serwacego!

Tubylec wychodzi.

GENERAL Ciekawe, kim jest ten Dyktator? Znałem całą stołeczną elitę i nikogo bym nie podejrzewał – za cesarskich czasów – o takie ambicje.

PROFESOR Drogi generale, zdaje się, że w stolicy tak wiele się zmieniło, iż nie jesteśmy w stanie zrozumieć tego, co się tam dzieje.

VANITUS Zastanówmy się więc, co dalej.

GENERAL Ja się zajmę obroną przed rozbójnikami, choć mam najmniejszą armię świata. Sierżancie! Oddajcie mi fuzję. Będziemy szli zwartą grupą: Kant pierwszy, ja ostatni. Nie rozdzielamy się, rozumiano?

PIETREK Już za późno.

Otaczają ich Serwacy, Pucek i Waliszewski.

SERWACY (*triumfalnie*) Tak jest, panowie, jesteście otoczeni.

GENERAL Będziemy się bronić do ostatniej kropli krwi.

SERWACY (*grzecznie*) Aaa, tak? To ładnie. Ale przedtem możemy chyba porozmawiać?

PUCEK i WALISZEWSKI Hahahaha!

SERWACY Jeśli się nie mylę, mam do czynienia ze sławną ekspedycją do krańca mapy?

PROFESOR To prawda, ale skąd wy możecie o tym wiedzieć?

SERWACY Ależ – przemawia przez pana zbyttnia skromność. Czy nie wiecie, że nadaje się o was programy w telewizji i że uczą o was dzieci w szkole? To znaczy – uczono, jako że od dawna żadne szkoły nie pracują... Panowie milczycie? Sam jestem zainteresowany celem i losem całej wyprawy. Ja, absolwent geografii byłego Uniwersytetu Prowincji Dalszych. Eeech, kto wie, gdyby nie te ciągłe przewroty... A oto moi kompani: Pucek miał znaczące sukcesy sportowe, a Waliszewski był działaczem organizacji młodzieżowych, gdzieś tak za Trzeciej Republiki, a może w czasach Drugiej Restauracji? (*lekceważąco*) Kto to wszystko spamięta?... Waluś, ukłoń się, pało. I słuchawki zdejmij!

Waliszewski kłania się niezgrabnie, ściągając z uszu słuchawki walkmana.

VANITUS Bardzo... nam miło.

SERWACY Nam też, a jakże. Mistrz Vanitus, jeśli się nie mylę? Notabene – do dziś noszę w portfelu pana portret wycięty w latach gimnazjalnych z „Kuriera Cesarskiego”. Chce pan zobaczyć? (*gmera w kieszeniach, wyciąga z nich kolejno jakieś papiery, wycinki, strzykawkę jednorazową, płytę CD, dyskietkę komputerową; nagle traci zainteresowanie, wyrzuca to wszystko na ziemię*) Gdyby pan wiedział, drogi nauczycielu, ile panu zawdzięczamy: ja i cały ruch, któremu przewodzę. Głośno było przed laty o pańskiej koncepcji i nieobliczalnym kaprysie staruszka Cesarza, który posłał was w drogę. A gdy pękły stare i zużyte kanony moralne, gdy nastał ogólny zamęt i chaos, jakąż filozofia musiała zatriumfować? Skoro zapanował absurd, szukaliśmy myśli absurdalnej. Kiedy wszystkie wartości zostały podane w wątpliwość, uciekliśmy się do ojca współczesnego relatywizmu. Nie jesteśmy przydrożnymi rabusiami, drogi mistrzu Vanitusie, nie mamy też nic wspólnego ze zbiorami Dyktatora. Nie wierzymy w żaden porządek społeczny i uważamy, że jedynym wyjściem jest zbiorowe samobójstwo. A więc to samo, ku czemu zmierza wasza wyprawa. Popieramy i wspomagamy wszystkich samobójców – my, wolni anarchiści-terrorysty!!!

PUCEK i WALISZEWSKI Wspomożemy!

SERWACY Nie chcemy waszych pieniędzy!

PUCEK Ani waszych kosztowności!

WALISZEWSKI Ani kobiet, ani innych rozkoszy!

PUCEK Chcemy umrzeć!

WALISZEWSKI Ale po was!

SERWACY (*półgębkiem*) No właśnie, kolejność jest nie bez znaczenia...

PUCEK Nie przed wami!

SERWACY A zatem, jak widzicie – musicie zginąć.

Rozbójnicy rzucają się na podróżników, wyrzucają strzelbę Generalowi, wiążą pozostałych.

SERWACY (*słodko, w tonie mimochodem udzielanego wyjaśnienia*) Zabijamy wszystkich z równą starannością, ale was unice-

stwimy szczególnie dokładnie. Idea mistrza Vanitusa, tak mi bliska, jest równocześnie szczególnie niebezpieczna. Cóż by się bowiem stało, gdybyśmy odkryli, że poza granicami istnieje inne, szczęśliwe w swej niewinności, społeczeństwo? Zgubilibyście je, łudząc mirażem cywilizowanego życia. Dlatego należy was zniszczyć. Potem... zobaczymy. Waluś, bombę! (*u stóp związanych zakładników Serwacy kładzie okrągłą bombę z zapalonym lontem*) A więc żegnajcie, panowie. (*Rozbójnicy wycofują się powoli*) Bomba wybuchnie, gdy doliczę do dziesięciu. Raz! Dwa! Trzy! Cztery!

GENERAL Niecee, nicee, niedoczekanie wasze!

SERWACY Pięć, sześć, siedem, osiem...

General rozrywa więzy, chwytą bombę i biegnie w stronę rozbójników.

SERWACY Dziewięć! Dziesięć! Mamooo! Niecee!

Serwacy ucieka w stronę kulisy, za nim Pucek i Waliszewski, za nimi General. Znikają ze sceny. Bardzo głośny huk, chmura dymu.

Obraz 9

Szaleństwo sierżanta Kanta

*Profesor, Vanitus, Ojciec Owsiany na biwaku – obdarci i osma-
leni. Żałośnie małe ognisko, jeszcze mniejszy kociołek strawy.*

OWSIANY Zginął jak prawdziwy męczennik.

VANITUS Kto by pomyślał, że szlachetne poświęcenie genera-
ła, które nam wszystkim ocaliło życie, będzie miało tak zdu-
miewające konsekwencje.

*Wchodzi Kant w mundurze generalskim ozdobionym orderami,
musztruje osłupiałego Pietrka.*

KANT Słoma-siano! Lewa, prawa, i raz, i dwa, i trzy!

VANITUS Cóż jednak począć z tym szalonym sierżantem?

PROFESOR Uznał się za naczelnego dowódcę armii i postano-
wił dokonać powszechnej mobilizacji. Pierwszą jego ofiarą stał
się właśnie Pietrek, któremu wręczył kartę powołania do pie-
choty morskiej.

OWSIANY Tak, to szaleństwo, niebezpieczne szaleństwo!

KANT Lewa, lewa. Spooooocznij! *(do Profesora)* Jako naj-
wyższy rangą wojskowy po śmierci generała Brandenburskie-
go, przejąłem komendę nad siłami zbrojnymi wyprawy. Swoją
osobą i staraniem gwarantuję bezpieczeństwo nieszczęsnemu
ludowi. Szeregowiec Lipa, pochylcie się. *(na grzbiecie Pietrka
stempluje plik kartek)* Oto prawomocne powołania do służby
pomocniczej i specjalnej. Szeregowiec Owsiany – skierowanie
do służby duszpasterskiej, szeregowy Vanitus – do saperów,
profesor obejmie baon balonowy. Proszę się udać do wyzna-
czonych jednostek. Ja zajmę się kwatermistrzostwem.

Kant zaczyna ostemplowywać całe wyposażenie wyprawy.

VANITUS Co robimy?

PROFESOR Obawiam się, że trzeba go potraktować poważnie, bo gotów nam wyrządzić krzywdę.

OWSIANY Zgódźmy się, bracia, odegrać wyznaczone nam role. Jego dni są i tak już policzone.

KANT Baaaczność! Porządek i organizacja są podstawą dyscypliny, bez której nigdy nie osiągniemy zamierzonego celu. (*stawia stemple na czołach członków „armii”*) Nie będę dłużej tolerował chaosu, który ogarnął nasze państwo. Nie pozwolę na anarchię i bałagan. Dlatego zdecydowałem się wziąć ster rządów w swoje ręce i zostać naczelnikiem państwa. Niebo gwałdziste nade mną, prawo moralne we mnie! Szeregowy Lipa! PIETREK Tak jest!

KANT Mianuję was pułkownikiem i rozkazuję objąć dowództwo nad resztą. Odmaszerować! Kapelan Owsiany do mnie! (*wszyscy poza Owsianym odchodzą*) Ojciec, jako osoba duchowna, może mi wiele pomóc. Czuję, że autorytet nowej władzy jest jeszcze ciągle niepewny, a zadanie uporządkowania społeczeństwa nie może się powieść bez entuzjastycznego udziału wszystkich zmobilizowanych. OWSIANY Cóż ja tu mogę pomóc?

KANT Duchowieństwo szło zawsze ręką w rękę z władzą świecką! Tylko wspólnie możemy zdusić hydrę anarchii.

OWSIANY (*wzdycha*) Co boskie Bogu, co cesarskie Cesarzowi...

KANT No właśnie... właśnie! (*do siebie*) A może to dobry pomysł? Może trzeba się koronować? Owsianego podniósłbym do godności biskupa i razem objęlibyśmy rząd dusz.

OWSIANY Błóżnisz, bracie. Trzeba ci pomocy i wsparcia.

KANT A więc ojciec się zgadzasz?

OWSIANY Błóżnisz, powtarzam. Jesteś samotny i zagubiony, bo wszyscy zagubiliśmy ścieżki swoje.

KANT Jak to wszyscy? Co zgubiliśmy?... To trzeba wyjaśnić! Każdy powinien wiedzieć, jaka marszruta jest mu wyznaczona!!

OWSIANY Ja ci pomogę znaleźć drogę twoją.

KANT Co ojciec plecie? Znam swoje miejsce i powinności swoje. Wiem wszystko, co trzeba, klecho.

OWSIANY Wyższy porządek, który nad nami wszystkimi panuje, nakazuje nam...

KANT (*przerywa mu*) Porządek? Ha... Tak jest, ja tu zaraz zrobię porządek. Najwyższa na to pora. Ustawię! Policzę! Rozrzucę! Zniszczę! Zbuduję!

OWSIANY Nie naszym jest prawem porządek ustanawiać, tylko mu podlegać z ufnością i wiarą. Wszyscy jesteśmy sierotami na tym padole. W braterstwie z nami, we wspólnym wytrwałym dążeniu do prawdy szukaj pociechy.

KANT Nie mogę przecież się z wami bratać, jeśli mam wam rozkazywać.

OWSIANY Ten, kto w wyższy porządek wierzy, nie może własnego ustanawiać.

KANT Więc jakże to? O prawo walcząc, bezprawie rodzę? O, moja biedna głowo! Trzymać się muszę tego, co raz się w niej poczęło. Baaaaczność! Spocznij! Padnij! Powstań! (*Owsiany posłusznie wykonuje polecenia*) Naprzód marsz! O, ja nieszczęsny, nieszczęsny...

Kant wybiega; po chwili słychać strzał; wchodzi pozostali.

PROFESOR (*do Owsianego*) Kant nie żyje.

VANITUS Najpierw ogłosił powszechną demobilizację, a potem postawił sam siebie przed sądem polowym pod zarzutem zdrady stanu, skazał na śmierć i rozstrzelał, zanim zdążyliśmy cokolwiek zrobić.

PROFESOR No tak, klasyczne rozdwojenie jaźni.

OWSIANY To ja winien jestem jego śmierci.

PROFESOR Nie obciążaj swego sumienia tym nieszczęśnikiem, ojczu. Dzielimy twą winę – bo i tak musielibyśmy go opuścić. Czy pospieszysz z nami dalej?

OWSIANY Niczego bardziej nie pragnę.

VANITUS A ty, Pietrek, nie boisz się wędrować z nami?

PIETREK Bać to się boję, panie, ale...

VANITUS Mów śmiało.

PIETREK Ale przecież myślę, że z drogi do domu wrócę.

VANITUS A masz ty do czego wracać?

PIETREK A co nie mam mieć, panie. Matula pewnie mnie czeka, nieboga, sąsiedzi z wioski, sołtys, stryjny mąż...

VANITUS Mów, mów...

PIETREK Tedy wróć do siebie, matka kapuśniaku zgotuje, podjem sobie dobrze i do gospody pójde, z chłopami pogadać. A potem...dziewuchę sobie jakąś weźme gracką – to razem będziemy na ojcowym gospodarzyć.

VANITUS Dziewuchę, powiadasz, weźmiesz, gospodarzyć będziesz... No, niechaj ci się darzy...

Wychodzą.

Obraz 10

U Kobiety Wielkiej

Burza, błysk piorunów wydobywa z ciemności zarys górskiej ścieżki.
PROFESOR (*krzyczy*) Dotąd prześladowały nas drapieżniki i źli ludzie, teraz sama natura zdaje się zwierzać swe siły przeciwko nam!

VANITUS Musimy wytrwać. Nie chcę umierać przed swym celem.

Burza cichnie, rozjaśnia się, podróżnicy wchodzą na piękną łąkę, gdzie przy zastawionym stole pólsiedzą, pólleżą kuszące, prawie nagie kobiety.

KOBIETA WIELKA Witajcie, mili przybysze.

Owsiany odwraca się.

KOBIETA MNIEJSZA Ojczy, boisz się?

DZIEWCZYNA Nie podobamy się wam?

PIETREK (*głupkowato*) Co by tam nie... he, he...

VANITUS Pani, gdzie jesteście?

KOBIETA WIELKA U mnie.

VANITUS Kim jesteście?

KOBIETA WIELKA Jestem kobietą. (*do Owsianego*) A ty? Cemu milczysz ze wzrokiem wbitym w ziemię?

OWSIANY (*odwraca się w jej stronę gwałtownie*) Czekałem na inny kres mej drogi, ale widzę, że zło nas nie odstępuje i w starych formach się ucieleśnia.

KOBIETA WIELKA Ledwie nas ujrzałeś, pyszny klecho, a już wszystko wiesz o nas?

OWSIANY Kobiety są fałszywą obietnicą raj. Są więc złem.

KOBIETA MNIEJSZA A wy? Czy jesteście inni? Nie my stworzyłyśmy świat i nie my jesteśmy zań odpowiedzialne.

OWSIANY Mylisz się. Choć go nie stworzyliśmy – jesteśmy odpowiedzialni!

KOBIETA WIELKA Och... może wy! (*zmieniając temat*) Moja siostra zaznała wiele złego, zanim znalazła ratunek u nas, na łonie natury, którą czcimy. Może i was potrafimy uzdrowić? Odłożmy zatem spory na później. Ufam, że nie wszyscy trwacie w nie-nawiści do kobiet – proszę więc, byście przyjęli gościnę u nas.

Wszyscy – również Owsiany – siadają wokół stołu.

KOBIETA WIELKA Na tej łące wśród dzikich gór, z dala od świata próbujemy żyć w pokoju i miłości, kochając siebie nawzajem i wszystkich ludzi dobrej woli. Palimy tu wonne zioła i pijemy napoje przynoszące ulgę i radość. Czcimy też pamięć wspomnianego już tylko przez nielicznych mistrza, który otworzył nam oczy na prawdę o świecie i był zwiastunem nowej ery.

OWSIANY (z mocą) *Deus absconditus est* – Bóg jest nieznan, ale to on jest prawdą. A kto jest waszym złotym cielcem?

KOBIETA WIELKA Niech imię jego pozostanie nieznanie – to wyznanie wiary, które nas łączy.

VANITUS Cóż to za wiara? Wędrujemy z daleka i od tak dawna, że i my jesteśmy już z innego świata i nie wszystko pojmujemy.

KOBIETA WIELKA Nie chcę nic o was wiedzieć. Wiedza niesie niepokój. Porzućcie wiedzę, z którą tu przyszliście, gdyż to tu, gdzie jesteśmy, zaczyna i kończy się świat. Tu jest wasz start i wasza meta. Innego świata nie znajdziecie.

VANITUS Ja wierzę w istnienie świata poza granicami mojej skóry.

KOBIETA WIELKA Ta wiara cię zgubi.

KOBIETA MNIEJSZA Świata nie ma. Jesteś ty i ja jestem, i jest nad nami skrawek złowrogiego nieba. Wszystko inne jest złudą. *W czasie tego dialogu na boku rozgrywa się między Pietrkiem a Dziewczyną pantomimiczna, zmysłowa gra pełna pokus i obietnic.*

KOBIETA WIELKA (*do Vanitusa*) A my jesteśmy realne, my nie jesteśmy snem.

KOBIETA MNIEJSZA (*do Owsianego*) Dotknij mego czoła, dotknij moich piersi, podnieś palec do ust.

KOBIETA WIELKA (*do Vanitusa*) Nie ma niczego poza nami.

KOBIETA MNIEJSZA (*do Owsianego*) Nie ma niczego poza tobą.

VANITUS Jest granica, którą niosę w sobie...

KOBIETA MNIEJSZA Skoro nie ma świata, nie mogą istnieć granice.

VANITUS (*rozwijając wielką mapę Cesarstwa*) Jestem mężczyzną – wybrałem u początku mej drogi i temu wyborowi pozostanę wierny.

KOBIETA WIELKA Nie rozumiem o czym mówisz. Twój wybór, z którego jesteś tak dumny, dokonał się poza tobą. Wybrali twoi przodkowie, prorocy, kapłani i władcy.

VANITUS Wędrujemy właśnie dlatego, że zwątpiliśmy, jak i wy. Ale nie ustajemy w poszukiwaniach, a pójść waszym śladem – to umrzeć za życia.

KOBIETA WIELKA Odejdź więc.

VANITUS Jesteś zgubiona.

KOBIETA WIELKA Jestem wieczna.

KOBIETA MNIEJSZA (*do Owsianego*) Zostańcie z nami. Zapomnimy o wszystkim. Skończy się dla nas czas i przeżywać będziemy zawsze i bez końca ten sam rytm, tę samą frazę, jeden oddech i jeden spazm, aż – umrzemy.

KOBIETA WIELKA Zabroniłam wspominać o śmierci.

KOBIETA MNIEJSZA (*z nagłą histerią*) Ale ja nie chcę żyć!

KOBIETA WIELKA Pamiętaj, że wypełnił się już czas, a świat jest bardzo stary. Umarli bogowie i prawodawcy, umarli prorocy i cesarze. Z całego świata została tylko ta wieczna łąka i my, które także jesteśmy wieczne. Zabić nas może tylko nasza pamięć, gdyż oddaje nas naszej złej przeszłości. Tylko ten, kto stracił pamięć, może jeszcze żyć.

OWSIANY Mówisz, jakbyś to ty była Bogiem. Obiecujesz miłość bez imienia i życie bez grzechu. Ale nie jesteś Bogiem, więc cóż możesz dać? Tylko chwilę zapomnienia. Czyż nie rozumiesz, że tylko dzięki pamięci jesteśmy ludźmi i godnymi dziećmi Boga, z jego woli przedłużającymi łańcuch istnień?...

KOBIETA WIELKA (*przerywa mu*) Znam tę śpiewkę! Wiele razy ją słyszałam. Wy, mężczyźni, lubicie siebie widzieć w roli wy-

znawców bogów po to tylko, by mieć wytłumaczenie, gdy nas porzucacie. A przecież to Bóg nakazał mężczyznom pozostać z żonami, przy nich orać i obsiewać rolę, z nimi płodzić i karmić dzieci. A wy? Też kogoś porzuciliście, by gonić za mrzonkami.

OWSIANY (*skruszony*) Nie odrzucajcie pamięci o grzechu.

KOBIETA WIELKA To ty grzeszysz – pychę! Grzechem jest wasza wyprawa i wasza ambicja. Tylko my możemy was zbawić.

OWSIANY (*niepewnie*) Bluźnisz, niewiasto...

PROFESOR Ojcz, nie trać sił na przyfrontowe walki. Kobiety są zbyt słabe, by nam zagrozić.

Kobieta Wielka przyciąga Owsianego do siebie.

PIETREK (*odrywając się od Dziewczyny*) O, ale to się narodziła! A widział kto woła, co by sam głowę w jarzmo tkął? *Dziewczyna ponownie przyciąga Pietrka do siebie.*

PROFESOR Jestem za stary, by pragnąć jeszcze czegokolwiek. Nie pragnę już nawet zmartwychwstania.

VANITUS A mnie nęci tylko droga deptana w nieustannym pochodzie. Dziś, gdy nie ma już Cesarstwa, mogę przyznać, że moje zwątpienie było buntem przeciwko jego formom. Wiedziałem, że przekroczyć granice Cesarstwa – to nadwątlić jego gmach.

PROFESOR (*rozwijając mapę*) Runęło Cesarstwo, ale granica pozostała na swym dawnym miejscu! Nie zmieniła się mapa i nie zmieniła się przestrzeń, w której jesteśmy zamknięci.

VANITUS Tak, ale przedtem znaliśmy tylko mapę, a o świecie nie wiedzieliśmy nic.

PROFESOR Nadal niewiele wiemy, bo – obawiam się – nie zmieniła się tylko nasza stara mapa.

VANITUS Dotknął pan sedna: jeśli świat się nie zmienił a mapa nie kłamie – wkrótce dotrzemy. Jeśli niepewna jest choćby jedna z tych wartości – będziemy się błąkać w nieskończoność.

PROFESOR I nigdy nie dowiemy się, czy zapis mapy kiedykolwiek był prawdziwy.

PIETREK (*wyzwalając się z objęć Dziewczyny*) Panie, panie... ta dziewczyna mi wyznała, że to jest sekta czcicieli Serwacego, tego samego zbója, którego pan generał zabił. Uciekajmy!

VANITUS (*do klęczącego Owsianego*) Ojcze, opamiętaj się. Ruszamy!

OWSIANY Nie. Moje miejsce jest tutaj. One potrzebują mojej pomocy bardziej niż ktokolwiek inny i bardziej nawet niż ja – wiary. Będę im służył.

PROFESOR Chyba już nic nie jest w stanie mnie zdziwić.

Patrzą na Owsianego leżącego krzyżem wśród Kobiet.

VANITUS Ojciec jest już dla nas stracony.

PROFESOR Dobrze, że zostawiamy go przy życiu.

PIETREK Iiii, co to za życie.

Wychodzą.

Obraz 11

Strażnik Granic

Podróżnicy idą od lewej do prawej pod wiatr i deszcz. Wolno, z trudem. Nikną po prawej, by po chwili pojawić się znów z lewej. Śnieg gęstnieje, zmienia się w zadymkę. I znów pojawiają się po lewej, nikną po prawej, brnąc po kolana w gęstniejących zaspach. Kiedy pojawiają się z lewej po raz czwarty – śnieg niknie, idą szybciej, pewniej. I znów znikają po prawej. Scena rozjaśnia się jaskrawym, imitującym słońce światłem. Gdy podróżnicy pojawiają się po raz piąty w lewej kulisie, są rozebrani prawie do naga, wyraźnie cierpią od upału. Idą wolno, jakby kroczyli przez bezbrzeżną pustynię. Za kolejnym nawrotem kroczący na końcu Pietrek przystaje, podnosi do ust butelkę, wypróżnia ją do dna, wyrzuca. Kiedy raz jeszcze pojawiają się po lewej, Pietrek dostrzega butelkę, zatrzymuje się.

PIETREK Panie, panie, myśmy już tu byli; niedawno wyrzuciłem tę butelkę.

PROFESOR Rzeczywiście, wiatr zasypuje ślady naszych stóp, ale ten przedmiot nie kłamie. Kręcimy się w kółko.

VANITUS To pańska mapa kłamie, profesorze.

PROFESOR Wierzę, że mapa jest dobra. To my jesteśmy niedoskonali.

PIETREK To nie wina mapy, panie. To od zmęczenia tak się we łbie ćmi, że nijak na drogę uważać.

PROFESOR Musimy rozłożyć obóz i odpocząć. Tym bardziej, że upał wciąż się potęguje.

VANITUS Pańska mapa kłamie! Według niej w miejscu, gdzie się znajdujemy, nie ma żadnej pustyni. Pod tą szerokością geograficzną nie powinien również padać śnieg.

PROFESOR Wszystko co mówi mapa, jak i wszystko, co uważamy za wiedzę, jest w pewien sposób względne. A zbuntowanym niedowiarkom nic się nie oprze. Dlatego zadaniem myśliciela jest dokonać wyboru jednej prawdy i obstawać przy niej aż do końca.

VANITUS A więc świadomie kłamał pan i podawał za prawdę to, co było tylko niepewnym sądem?

PROFESOR Tak, ale czy widział pan te wilki i tygrysy, które były pana argumentami? Nie! A więc ich wartość dowodowa jest tak samo niepewna jak moja wiedza.

VANITUS Ale pan jednak obstaje przy swoim.

PROFESOR Moje wątłe ciało można rozgnieść równie łatwo jak odwłok gąsienicy. Ale nie można mnie już pozbawić poglądów. To jedyny dorobek mego życia i nigdy się go nie wyrzeknę.

VANITUS A jeśli okaże się, że to ja miałem rację?

PROFESOR Wie pan, ta kreska narysowana na mapie wyobraża nie tylko granice państwa. To również obwód zaklętego koła, które narysowali wokół siebie ludzie, wyznaczając sobie granice nieprzekraczalne. Łatwiej im z nimi było, bezpieczniej. Pan i panu podobni, i wasza niewiara, spowodowała, że wszyscy zaczęliśmy się czuć nieswojo w tym kole, w którego magię i świętość przestaliśmy wierzyć. Społeczeństwo spalało się i rozpadało od środka, przekraczając te granice, które dotąd niosło w sobie, granice moralności i wiary. Ale nikt nie śmiał się porwać na tę najodleglejszą i najbardziej abstrakcyjną. Tylko pan... Ale nie wiem, czy warto było.

VANITUS Nie jestem fanatykiem i nie zaślepia mnie cel. Ja też jestem wierny sobie. Tylko tyle.

PROFESOR Zatem wciąż pan wierzy w to „coś” pod drugiej stronie? W nową, obiecaną ziemię, gdzie będzie można żyć lepiej i inaczej.

VANITUS Chciałem, by ludzie mogli zacząć wszystko od nowa.

PROFESOR Jak Kobieta Wielka?

VANITUS Oczywiście, że nie. Ona odbyła infantylną wędrówkę wstecz. Biologia nie jest moją nadzieją – ona jak hydra obezwładnia człowieka i czyni go małym. A to nas obu nie intere-

suje. I nie jest przypadkiem, że zostało nas tylko dwóch i jeden z nas musi wygrać.

PROFESOR I co? I to on właśnie stanie się tym człowiekiem, z którego głowy wyrośnie nowe społeczeństwo? Ha, ha... żeby stać się ojcem społeczeństwa, mistrzu, trzeba się posługiwać zupełnie innym instrumentem. Mój jest już, niestety, niezdatny. A i pana... Trudno mi uwierzyć!

VANITUS Po co ten sarkazm, profesorze?

PROFESOR A zatem, co pan spodziewa się tam znaleźć – po drugiej stronie?

VANITUS Ba! Kiedyś wiedziałem dokładnie, czego szukam i... co chciałbym znaleźć. Ale już nie marzę. Myślę, że po drugiej stronie będzie... druga strona, a ja rozejrzę się – i pójdę dalej.

PROFESOR Życzę panu tego i z własnego karku gotów jestem zrobić most między owymi stronami.

PIETREK Ale przecież zgubiliśmy drogę, panie.

PROFESOR (*rozwijając mapę*) Nigdy jej nie znaleźliśmy, ale ja wierzę mapie. Musimy pójść prosto, a potem w lewo. To już niedaleko.

PIETREK Panie, panie, ktoś tu idzie.

Wchodzi Strażnik Granic, bardzo niepokazny człowiek w spłowiałym mundurze, o przeciętnej, banalnej twarzy.

PROFESOR Kim jesteś?

STRAŻNIK GRANIC Jestem strażnikiem granic, panie.

VANITUS Strażnik granic?...

STRAŻNIK GRANIC Urząd, który sprawuję, ustanowiono tak dawno, że nikt już nie pamięta, kiedy to się zaczęło.

VANITUS I cóż należy do twoich obowiązków?

STRAŻNIK GRANIC Moi przodkowie dobrze znali swe obowiązki, ale z czasem zagubiliśmy pamięć o nich. Dziś wiemy już tylko tyle, że winniśmy mieszkać obok granicy i przekazywać z ojca na syna urząd. Nic więcej.

PROFESOR I ty wytrwałeś aż do dzisiaj, człowieku? Mimo że Cesarstwo upadło już tak dawno? I Republika? I Dyktatura?

STRAŻNIK GRANIC Zginęła również Komuna, a nawet Anarchia. Wiele lat temu wybuchła wielka wojna i prawie wszyscy

ludzie zginęli. Inni odeszli, albo chowają się w górach i ruinach miast.

PROFESOR Więc czemu wciąż tkwisz tutaj, strażniku granic?

STRAŻNIK GRANIC Odejdę stąd, panie, choć nie mam syna, któremu mógłbym przekazać swe zadanie. Jestem ostatni. Ale przedtem chcę wykonać ostatnie polecenie, jakie otrzymałem – czekam na przybycie ekspedycji naukowej, by wskazać jej drogę do samej granicy.

PROFESOR Doczekałeś się. My jesteśmy tą ekspedycją.

STRAŻNIK GRANIC Dzięki ci, panie, bo straciłem już nadzieję, że kiedykolwiek stąd odejdę.

PROFESOR Możesz to zrobić nawet w tej chwili. Zwalniam cię z funkcji, którą pełniłeś.

VANITUS Chwileczkę! Powiedz mi strażniku, co jest po drugiej stronie granicy?

STRAŻNIK GRANIC Nie wiem tego, panie. Nigdy nie odważyłem się zbliżyć do samej granicy i zawsze zamykałem oczy, przechodząc obok niej. Tak samo postępował mój ojciec i mój dziad, i wszyscy, którzy docierali w te strony. Nie wiem nawet dlaczego tak robiliśmy, ale nigdy nie potrafiłem przezwyciężyć lęku. Podobno dziad mego dziada spojrział kiedyś na drugą stronę i zawładnął nim strach tak potężny, iż kazał przysiąc swym synom, że nigdy nie powtórzą jego grzechu.

VANITUS Dziękuję ci, strażniku, możesz odejść.

Strażnik Granic oddala się.

PIETREK Panie, dobry panie, a może spytamy tego człowieka o drogę. Nie będziemy błąkać się wśród rozpadlin.

PROFESOR Widzę, że nie ufasz mej mapie, pacholku...

STRAŻNIK GRANIC (*zatrzymując się*) Musicie pójść prosto, a potem w prawo. Ale nie skręcajcie w lewo, bo tam mylna ścieżka prowadzi w przepaść.

PROFESOR Możesz odejść.

Strażnik Granic wychodzi.

PROFESOR Moja mapa mówi co innego. (*milczenie*) Powinniśmy skręcić w lewo. (*milczenie*) Wierzę mej mapie...

PIETREK Ten człowiek... jest tutejszy, panie.

PROFESOR Milcz! Nie żądam, byście mi towarzyszyli. Pójdę sam i w ten sposób przetrę szlak.

Stoi chwilę, po czym wolno odchodzi.

VANITUS Profesorze! (*Profesor zatrzymuje się; pauza*) Żegnaj, profesorze!

PROFESOR I ty żegnaj... mistrzu.

Profesor odchodzi; po chwili słychać głośny rumor kamiennej lawiny.

Obraz 12

U kresu

Widziana od dołu pionowa krawędź prostopadłościanu, którego boki giną w ciemnościach; akcja rozgrywa się na szczycie prostopadłościanu. Głośny wiatr niosący suche liście.

GŁOS PIETRKA To tutaj, panie, to tutaj!!

GŁOS VANITUSA Zatrzymaj się! Chcę pierwszy stanąć u celu!
Na szczycie prostopadłościanu pojawia się sylwetka Vanitusa, po chwili Pietrka.

PIETREK Panie, udało się, zwyciężyliśmy. (*Vanitus milczy*) Nie cieszysz się, mój panie?

VANITUS Spójrz tam... Spójrz i ty, daleko... Może to radość zasnuwa mi oczy mgłą...

PIETREK Patrzę, panie...

VANITUS I co?

PIETREK Nic, panie... Tam niczego nie ma.

VANITUS Patrz dobrze, wsłuchuj się... Prowadź wolno wzrok od miejsca, gdzie kończą się twoje podeszwy. Co widzisz?

PIETREK Nic... panie...

VANITUS Niczego nie widzisz? Oprzyj swój wzrok na czymkolwiek, inaczej ziemia ucieknie ci spod stóp i upadniesz.

Pietrek chwije się, pada na kolana na samym skraju.

PIETREK Nie mogę na niczym oprzeć wzroku. Panie, mój dobry panie, chyba nie jestem ślepy?

VANITUS Więc patrz w dół. Patrz uważnie. Może dojrzyysz choć dno tej pustki... o które roztrzaskam sobie łeb.

PIETREK Panie, ja się boję... (*Vanitus milczy*) Panie mój, gdzie się obrócić, co począć? (*łka*)

VANITUS Nie płacz, mój chłopcze. Nie bój się. Odejdiesz stąd drogą, którą znasz. Zawrócisz. Będziesz żył.

PIETREK Nie chcę sam odchodzić, panie.

VANITUS Odejdź. Jeszcze jest czas.

PIETREK Nie mogę cię tu zostawić na pastwę wichrów i szalonych myśli.

VANITUS *(po pauzie, sam do siebie)* I oto zawiodło mnie największe moje marzenie. Wierzyłem, że mój cel będzie jak wypisany ręką stwórcy na nieboskłoniu, a zobaczyłem przed sobą bezdenną czeluść, tak nieprzeniknioną i ciemną jak otchłanie piekielne – znak kary wymierzonej przez stwórcę, który nie chce odsłonić przede mną swych tajemnic. Temu marzeniu oddałem całą swą wiedzę, wszystkie myśli i uczucia, i miłość jaką miałem dla ludzi, i nienawiść, która mnie spotkała. Żyłem tylko tym niewyobrażalnym krańcem, ku któremu biegła na równi moja myśl i moje ciało. I dane mi było to nieskończone wędrowanie, w którym przeistaczałem się, jak ślepa larwa przeistacza się w motyla. Aż – jak ulotny motyl – bezbronny i bezimienny stoję przed przegrodą, której nie przekroczę... Ta ciemność jest najstraszniejszym wyrokiem, jaki wydać mógł na mnie czas. Jestem sam. Sam wobec pustki. I jestem niewolnikiem, bo niewolą jest niemożność poznania. Jestem nędzarzem. *(pauza)* Ale nie, niczego nie żałuję i nie chcę już pamiętać. *(jakby budził się ze snu)* Co to? Kto tu?

PIETREK To tylko ja, panie.

VANITUS Ty?... Myślałem, że już odszedłeś.

PIETREK Nie chcę cię zostawić samego. Tu wiatr, przepaście, wilki.

VANITUS Mój wilk już mnie pożarł i strawił. *(Pietrek milczy)* Nie rozumiesz? Nie. Dobra z ciebie dusza, mój chłopcze. Odejdź w pokoju. Na pewno znajdziesz drogę. Ja muszę tu zostać.

PIETREK Panie!

VANITUS Ja muszę tu pozostać.

PIETREK Jakże mi iść samemu, panie, jakże samemu...

Vanitus zarzuca na głowę kaptur, otula się szczelnie płaszczem.

GŁOS DZIEWCZYNY Pieeetrek!!! *(Pietrek odwraca się zaskoczony)* Miły mój! Pieeetrek!

Pietrek robi krok do przodu, na krawędzi pojawia się Dziewczyna.

DZIEWCZYNA Pietrek... to ja.

PIETREK Skąd się tu wzięłaś?

DZIEWCZYNA Przyszłam... przyszłam za tobą.

PIETREK A one? Puściły cię?

DZIEWCZYNA Uciekłam im. Biegłam przez góry, upadłam wiele razy. Nic nie jadłam i nie piłam. Za tobą tak. Już myślałam, że cię nie odnajdę. (*Pietrek milczy*) Czy nie cieszysz się wcale?

PIETREK Trzeba ci było zostać tam, skąd przyszłaś.

DZIEWCZYNA Pietrek, ja chcę zostać z tobą. Dla ciebie przeszłam przez te straszne góry.

PIETREK Nic ci nie jestem winien. Czegóż chcesz ode mnie?

DZIEWCZYNA Inaczej mówiłeś do mnie tam, w dolinie. (*pauza*) Oszukałeś mnie!!! (*prosząco*) Słuchaj, pójdziemy tam, gdzie są ludzie. Gdzie można się jeszcze cieszyć...

PIETREK (*wskazując Vanitusa*) Widzisz... to jest mój pan. (*Dziewczyna milczy*) Nie mam ci nic do ofiarowania.

DZIEWCZYNA Pietrek, nie zostawiaj mnie, błagam cię. (*Pietrek milczy*) Miły mój, tu można tylko umrzeć. Nie umieraj razem z nim, żyj ze mną.

PIETREK I cóż będziemy robić razem?

DZIEWCZYNA Będę ci wierną żoną, urodzę piękne dzieci. Będziemy razem pracować, razem się cieszyć.

PIETREK Nie chcę takiego życia!

Pietrek odwraca się od niej, robi krok w stronę Vanitusa.

DZIEWCZYNA Pieetrek!!

PIETREK Panie! (*Vanitus milczy*) Panie, panie mój!

Vanitus milczy, Pietrek wraca do dziewczyny.

DZIEWCZYNA Mój ty, mój jedyny... mój najmilszy. Czy wiesz, że noszę twoje dziecko w łonie? Nasze małe, prawdziwe dziecko! Obejmuje go, próbuje prowadzić, Pietrek wyrywa się w stronę Vanitusa.

PIETREK Panie, panie! Przecież nie mogliśmy tak długo iść na próżno... (*Vanitus milczy*) Panie mój...

DZIEWCZYNA Pietrek, Pietrek! Ja... ciebie kocham!

Pietrek odwraca się, idzie do niej.

PIETREK (*nieprzytomnie*) Więc mówisz, że pójdziemy razem? Będziesz mi żoną, a ja będę twoim mężem?

DZIEWCZYNA (*żarliwie*) Tak!

PIETREK Urodzisz mi dziecko, a ja zbuduję dom i posadzę przed nim drzewo?

DZIEWCZYNA (*coraz śmielej*) Tak!

PIETREK Będziemy pracowali i cieszyli się ze swej pracy?

DZIEWCZYNA Tak!

PIETREK Będę cię kochał i ty nie przestaniesz mnie kochać?

DZIEWCZYNA Tak!

Pietrek odwraca się w stronę Vanitusa.

PIETREK Żegnaj, panie!

Pietrek i Dziewczyna odchodzą objęci, wpatrzeni w siebie. Wieje coraz silniejszy wiatr, powietrze gęstnieje od przelatujących suchych liści. Nagły poryw zrywa płaszcz z ramion Vanitusa. Płaszcz odlatuje wydęty jak żagiel. W miejscu, gdzie spoczął Vanitus, siedzi nagi, wyszczerzony szkielet. Ciemność i coraz silniejszy wiatr...

(1980–1996)

Wysocki

Dramat w dwóch aktach

OSOBY

PIOTR WYSOCKI – major wojsk polskich, twórca Sprzysiężenia Podchorążych i dowódca insurekcji 29 XI 1830 roku, Sybirak. Lat 66, wysoki, barczysty, siwe, gęste włosy, twarz ogorzała, poorana zmarszczkami

STEFAN BOBROWSKI – członek Centralnego Komitetu Narodowego, kierującego przebiegiem powstania styczniowego. Lat 23, średni wzrost, brunet. Mały wąsik, twarz wyrazista, bardzo silna krótkowzroczność

AGATON GILLER – członek CKN, 32 lata, Sybirak, wzrost średni, blondyn, rysy niezbyt regularne

HRABINA JÓZEFA KARSKA – około 50 lat, właścicielka majątków ziemskich

TOMASZ LICIŃSKI – około 55 lat, ziemianin, były współuczestnik Sprzysiężenia Podchorążych

JULIA TABACZYŃSKA – gospodyni Wysockiego, niemłoda

ANDRZEJ TABACZYŃSKI – jej mąż

ŻANDARM ROSYJSKI

Dwóch innych żandarmów

Akcja sztuki rozgrywa się w dniach 10 i 14 kwietnia 1863 roku w majątku Wysockiego zwanym „wójtostwem”, nabytym dla niego przez okolicznych ziemian wkrótce po jego powrocie z zesłania w 1857 roku. Majątek położony jest na skraju rodzinnego miasta Wysockiego – Warki nad Pilicą.

Akt 1

Scena przedstawia centralną, przechodnią izbę dworku, zwaną nieco przesadnie salonem. W głębi, pośrodku, drzwi do ganku-sionki. Po prawej (patrząc od strony widowni) od drzwi okno, pod nim półki z książkami. Z ganku w lewo niewidoczne wejście do kuchni i drugiej części mieszkania zajmowanej przez małżeństwo Tabaczyńskich, prowadzących skromne gospodarstwo Wysockiego. W lewym rogu salonu – piec, obok biurko zasłane papierami i twarde drewniane krzesło. Nad biurkiem wisi stara szlachecka szabla – karabela. Po prawej – drzwi do sypialni gospodarza, obok nich – wiszący na ścianie ołtarzyk Matki Boskiej Częstochowskiej.

Na środku pokoju stoi podniszczony stół, wokół niego trzy, cztery krzesła. Skromny, wytarty dywan na drewnianej posadzce. Drzwi w głębi (skrzypiące przy każdym poruszeniu) uchylone, widać – w drugim planie – sień i drzwi wejściowe z podwórze. Słychać turkot powozu i parskanie konia.

GŁOS TABACZYŃSKIEJ (z kuchni) Andrzej! Andrzej! Ktoś przyjechał. Idź zobacz!

GŁOS TABACZYŃSKIEGO To pani hrabina! Biegnę pomóc. Tabaczyński pojawia się w sieni, otwiera drzwi wejściowe, wybiega.

GŁOS TABACZYŃSKIEJ Jej tu jeszcze brakowało! Tabaczyńska pokazuje się w sieni, kłania się kobiecie, która właśnie wchodzi do środka; za nią z pledem i sakwojażem drepcze Tabaczyński.

TABACZYŃSKA (przymilnie) Aaaa, to pani hrabina rozporządza... Andrzej, skocz no do powozu po bagaże...

TABACZYŃSKI Kiedy nie ma więcej...

TABACZYŃSKA To pani hrabina tylko na krótko? (wygląda oknem) I powóz czeka?

Hrabina Karska rozgląda się nieco nieprzytomnie po wnętrzu salonu, jakby nie słyszała monologu gospodyni. Wolnym ruchem zdejmuje pelerynę, podaje ją Andrzejowi. Robi parę kroków w stronę proscenium.

KARSKA (*przytomniejąc*) A gdzie pan pułkownik*? W domu? TABACZYŃSKA W domu, oczywiście, w domu. Gdzież by miał być o tej porze. (*pochyla się konfidencjonalnie nad Karską*) I dobrze, że w domu siedzi. Ci z Kalwarii... no, wie pani hrabina... z posterunku żandarmerii – co kilka dni o niego pytają. Bo u nas wciąż spokojnie i daj tak Boże dalej.

TABACZYŃSKI (*wsuwając się do salonu*) Pan pułkownik śpi jeszcze, ale zaraz zbudzę.

Staje przed drzwiami sypialni, puka kilkakrotnie, w końcu wchodzi do środka. Karska przysiada na krześle.

KARSKA Jeszcze śpi... w południe?

TABACZYŃSKA Pan pułkownik długo w noc siedzi, codziennie. Pisze, czyta...

KARSKA (*przerywa jej*) Listy dostaje?

TABACZYŃSKA Czemu nie, dostaje, ale rzadko, bo to przecie...

KARSKA Słucham, niech Tabaczyńska mówi dalej.

TABACZYŃSKA Abo to pani hrabina nie wie sama? Z nikim się pan widywać nie chce, do dworów nie jeździ – tyle co z księdzem proboszczem w karty pogra. Ile to już deputacji naodprawiał...

KARSKA (*przerywa jej*) Ciągle sam?

TABACZYŃSKA No, jakże sam? Przecież my się troszczymy we wszystkim...

KARSKA (*wstając z krzesła*) Znam ja tę waszą troskę! Zimno tu jak w psiarni, w piecu nie napalone...

TABACZYŃSKA Już kwiecień, łaskawa pani, a i palić nie ma czym.

KARSKA (*ciągnie, przechadzając się*) ... kurzu pełno wszędzie, bałagan...

* Wysockiego wszyscy tytułują pułkownikiem, ale w istocie najwyższą rangą, jakiej się dosłużył, był stopień majora, choć w ostatnich dniach powstania listopadowego dowodził samodzielnie pułkiem. Władze carskie nie uznają i tego stopnia jako nadanego przez insurekcję. Jest więc oficjalnie Wysocki, jak w 1830 roku, tylko porucznikiem.

TABACZYŃSKA Pan pułkownik ruszać papierów nie pozwala.

KARSKA Niech mi się Tabaczyńska nie tłumaczy, przed Bogiem będziecie się tłumaczyć z jego krzywdy.

TABACZYŃSKA (*zła*) Pan pułkownik nijakiej krzywdy nie ma. Żyje jak chce, a że niewiele chce, to już jego sprawa.

TABACZYŃSKI (*wychodząc z sypialni*) Pan pułkownik już wstał i zaraz wyjdzie.

KARSKA Dziękuję. (*do Tabaczyńskiej*) Wam też dziękuję, idźcie robić śniadanie.

TABACZYŃSKA (*hardo*) Iiii, kiedy pan pułkownik jak wstanie, to nic nie je. Dopiero w obiad.

Karska milczy. Tabaczyńska wzrusza ramionami i wychodzi, za nią wysuwa się mąż, zamykając za sobą drzwi. Chwila ciszy. Wchodzi Wysocki; ubrany w długi sukienny surdut, nieco wyszarżały, wojskowego kroju. Wysokie buty, koszula bez kołnierzyka, włosy w nieładzie. Sprawia wrażenie zaskoczonego.

WYSOCKI (*wzruszony*) Józefa, Józefina, moja... Tak się cieszę! Myślałem, że to... (*urywa*)

KARSKA (*wyciąga do niego rękę, chłodno*) Spodziewałaś się kogoś?

WYSOCKI (*całując jej dłoń ceremonialnie*) Ależ nie o to chodzi. Jestem zaskoczony, bo... prawdę mówiąc, nie spodziewałem się już ciebie więcej zobaczyć.

KARSKA A jednak mnie widzisz, Piotrze. Jednak... musiałam przyjechać.

WYSOCKI (*zmieszany*) Ależ, cieszę się bardzo... sam nie wiem, co powiedzieć. Siadaj proszę... (*rękawem ściera kurz ze stołu, krząta się po izbie*) Często myślę o tobie... o nas i o naszych pięknych dniach.

Wchodzi Tabaczyński z naręczem drewna, zaczyna palić w piecu.

KARSKA Te dni skończyły się i minęły, dawno, dawno temu. *Urywa dostrzegając, że Wysocki jej nie słucha. Coś zajęło jego uwagę. Kilka sekund ciszy.*

WYSOCKI (*przytomniejąc*) Wybacz moje roztargnienie... Za długo spałem. Ależ... przecież muszę cię ugościć. Obiad jem później, więc napijmy się teraz czegoś. (*do Tabaczyńskiego, przyzywając*)

Andrzej, Andrzej! *(do Karskiej)* Herbatą cię nie potraktuję, choć wy ją tak chętnie w Warszawie pijecie, bo ja jej nie używam. To moskiewski napój. Piwa też ci przecież nie podam, choć to z niego Warka najslawniejsza. Ale hrabinie nie wypada...

KARSKA Nie żartuj!

WYSOCKI *(do Tabaczyńskiego)* Skocz, Andrzej, do traktierni w rynku i przynieś dwie butelki madery. Tylko duchem.

Tabaczyński daje gestem znak, że nie ma pieniędzy.

WYSOCKI A to, a... zawsze to samo.

Sięga do kieszeni surduta, potem do następnych, bezskutecznie.

KARSKA *(otwierając torebkę)* Ja chętnie...

WYSOCKI *(stanowczo)* Nie, nie, nie trzeba... *(szuka między papierami na biurku, znajduje niewielki zwitek banknotów, jeden wręcza Andrzejowi, a przy okazji chowa niezręcznie do szuflady jakieś papiery. Z ironicznym dystansem)* Jakoś sobie radzę. I choć to na stare lata za zasługę sobie poczytać mogę, że nikomu ciężarem nie jestem!

KARSKA *(spokojnie, ale uroczyście)* Zasług masz więcej. I wszyscy o nich pamiętają. Ale czy nie pora wreszcie odmienić coś w twoim życiu?

WYSOCKI I cóż ja mógłbym odmienić?

KARSKA Przede wszystkim wyjechać stąd.

WYSOCKI *(cierpko)* Wyjechać? Stąd? A dokąd niby, kiedy zandarm co trzy dni w garnek mi zagłada...

KARSKA Choćby za granicę, do Paryża.

WYSOCKI Kiedy ja nieciekawym żadnych Paryżów. O, do Warszawy to bym pojechał, ale sama wiesz, że tego mi imperator nie raczył pozwolić. *(dalej z ironią)* Boją się jeszcze starego Wysockiego policmajstry i namiestniki!

KARSKA Skoro się boją, to sam najlepiej widzisz, że pamiętają.

WYSOCKI Kto? Kto pamięta? Czynownik i szpicel, i wojskowy gubernator! To nie naród... A naród zapomniał... *(z goryczą)* Teraz już mają nowych bohaterów! Rządy całe, centralne komitety. A wszystko to anonimy! Ot, bohaterzy!

KARSKA Czy musimy spór zaczynać od początku? Nie po to tu przyjechałam...

WYSOCKI Wybacz, Józefino. *(całuje jej dłoń)* Ale tak mi ciężko, uch, jak ciężko. A ty przecież pamiętasz mnie innym.

KARSKA Tak, Piotrze, pamiętam. I takiego cię chcę, takiego pragnę i teraz widzieć. Takiego jak wtedy, w Listopadzie, kiedy wiodłeś naród na Arsenał...

WYSOCKI *(z goryczą)* Niedaleko zawiodłem.

KARSKA To nie twoja przecież wina, że powstanie upadło, że przegrali je wodzowie i powszechna niezgoda. Ty jesteś czysty. Jesteś szlachetny, jak wtedy.

WYSOCKI Szlachectwo car mi raczył zabrać. A czystość kijami ze skóry wybił.

KARSKA Odcierpiałeś swoje, Piotrze. Za siebie i za tych, którzy roztrwonili twoje dzieło. Każdy kij był za jedną bitwę przegraną, za jednego oficera tchórzostwo, za klubistów spiski...

WYSOCKI *(do siebie)* Tysiąc! Tysiąc kijów mi dano! O, wierzę, że to aż nadto za grzechy moje.

KARSKA Więc możesz wreszcie zapomnieć. Zapomnij, Piotrze!

WYSOCKI *(spokojnie)* O czym miałbym zapomnieć? O procesie haniebnym, o karze śmierci, o tysiącu kijów i kopalni w Akatui?

KARSKA Tak!

WYSOCKI A więc musiałbym również zapomnieć o Listopadzie! O moim Listopadzie, rozumiesz? A pamiętasz? *(twarz mu się wypogadza, zaczyna cicho, prawie wstydliwie, śpiewać urywane strofy „Warszawianki”)* „Oto dziś dzień krwi i chwwały, oby dniem wskrzeszenia był... Powstań, Polsko, krusz kajdany, dziś twój tryumf albo zgon”.

KARSKA Ani tryumf, ani zgon! Nie zwyciężyliśmy wtedy, w Listopadzie, ale żyjemy. Minęło ponad trzydzieści lat!

WYSOCKI *(gwałtownie)* Lepiej byłoby, gdybym zginął. Wtedy, na Woli, razem z Sowińskim. Albo w Akatui, pod kijami. *(zmienia ton)* A wiesz, Józefo, że już mnie uśmiercili w paryskiej gazecie, w trzydziestym siódmym? Ha, ha... wielu do dziś w to wierzy.

KARSKA A jednak żyjesz i powinieneś pamiętać o sobie!

WYSOCKI Pamiętam! Tak, pamiętam dobrze podporucznika Wysockiego.

KARSKA Ale czas nie stał w miejscu przez trzydzieści lat. Nie ma już podporucznika, jest pułkownik Wysocki. Stary pułkownik Wysocki, który ma prawo do odrobiny szczęścia.

WYSOCKI Szczęścia? Szczęście zostawiłem na Woli.

KARSKA A ja czekałam na ciebie. Trzydzieści lat! Tak, trzydzieści lat czekałam na mojego jasnowłosego porucznika...

WYSOCKI Masz go, Józefo. Dla mnie właściwie czas się zatrzymał. Bierz swojego porucznika.

KARSKA I co mi dajesz? Starca, który żyje wspomnieniem jednej nocy – nie chcę!

WYSOCKI (*z rezygnacją*) A czego właściwie chcesz, Józefo?

KARSKA (*wstając*) Dobrze, Piotrze, porozmawiajmy otwarcie... Ja... ja też wtedy, ponad rok temu, kiedy widzieliśmy się po raz ostatni, nie sądziłam, że jeszcze kiedyś cię zobaczę. W końcu – to ty dokonałeś wyboru. To ty krzyczałeś, że nie chcesz jałmużny z moich uczuć, że nie pozwolisz się utrzymywać...

WYSOCKI Krzywdziłem cię?

KARSKA (*z napięciem*) To teraz nieważne. Dokonałeś wyboru i ja szanowałam twój wybór. Cóż – czekałam na ciebie tak długo, bez wielkiej nadziei, że cię rzeczywiście w końcu zobaczę, aż... wreszcie nie zostało już nic więcej poza moim czekaniem, nic, nawet nadziei, nawet śladu naszych uniesień, takich czystych i takich nieśmiałych. Boże, jaka ja byłam młoda! Wtedy, w Listopadzie, kiedy zatrzymał się dla nas czas. Dla mnie też, Piotrze, nie tylko dla ciebie! A przecież nie wiedziałam nawet, czy naprawdę mnie kochasz, czy nasze uczucie i moja nadzieja nie jest takim samym majakiem jak ta krótka, listopadowa wolność. Boże, Boże... Piotrze, zrozum, że ja wcale nie musiałam czekać na ciebie. Mogłam już dawno wyjść za mąż, wyjechać za granicę, mieć dzieci i wnuki...

WYSOCKI Wiem, Józefo, bardzo cię skrzywdziłem.

KARSKA (*gwałtownie*) To nieprawda! Czekałam na ciebie, bo chciałam czekać. Czekałam na ciebie, jak na sprawiedliwość, na powstanie, na niepodległość. Nie chcę tego żałować. (*pauza*) Ale w końcu wróciłeś. Nie do mnie, nie do Polski nawet. Ty wróciłeś do siebie, Piotrze. Do siebie sprzed trzydziestu lat

i do Polski sprzed trzydziestu lat. Wróciłeś do tego, czego już nie ma... A to było tak, jakbyś wcale nie wracał, tylko został tam, na Północy, gdzie był ołtarz moich modlitw...

WYSOCKI Bodajbym i został!

KARSKA Ale Bóg, czy los, chciał inaczej. Chciał, żebyśmy się po latach spotkali. I wtedy zrozumiałam, że nie mogę niczego od ciebie wymagać. Czekałam na ciebie, ale ty o tym nie wiedziałeś i wracałeś do kraju nie wypatrując mnie z drogi. Ale teraz... teraz nie mogę...

WYSOCKI (*uspokajająco*) Józefo, Józefo droga. Najmilsza moja... Cóż ja, starzec, mogę ci pomóc?

KARSKA Tak. Jesteśmy starzy, Piotrze. Oboje. A starzy ludzie, Piotrze, nie wymagają od siebie wiele. I dlatego... właśnie dlatego chciałam cię prosić... Och, wiem, jak to ordynarnie zabrzmiało... ale szanuj moje upokorzenie...

WYSOCKI Józefo?

KARSKA Ożeń się ze mną i wyjedźmy stąd.

Milczą długo.

KARSKA (*zdławionym głosem*) Nigdy, nawet rok temu, nie było mowy o małżeństwie... ale zawsze czekałam na jakieś słowo z twojej strony. Trudno mi przyszło zrozumieć, że ty... nigdy mnie nie poprosisz o rękę. Choć przecież myśleliśmy o tym oboje.

WYSOCKI Tak, myśleliśmy oboje! Myślałem i ja: w więzieniu, na Syberii, w kopalni. Myślałem nieraz o tobie i moim zmarowanym życiu. Ale teraz... teraz jest już za późno, Józefo. Patrzysz na inwalidę pod siódmym krzyżykiem, kalekę, bez domu, substancji, bez czci prawie, którym własne służki pomiają do woli! Co ja ci mogę dać, moja piękna hrabino?

KARSKA Siebie, jakim jesteś. To wiele. Na więcej nikt nie może liczyć. I kogóż innego mogłam wypatrywać z ciemnej Północy?

WYSOCKI (*stanowczo*) Nie warto patrzeć na Północ. Trzeba żyć i zapominać. Niepotrzebnie czekałaś, Józefo.

KARSKA Nie oszukasz mnie! Przecież chciałeś, żeby cię pamiętano, i boli cię, że niektórzy zapomnieli. Czy możesz mieć mi

za złe, że właśnie ja czekałam? Że pamiętałam, nawet gdy inni zapomnieli?

WYSOCKI Nie dręcz mnie, nie dręcz, Józefo! Ja jestem martwy – czyż tego nie widzisz? Może byłem martwy już wtedy, gdy z gołą szablą szedłem przez Łazienkowski Ogród?

KARSKA (*krzyczy*) I martwy pisałeś do mnie pachnące listy? *Skrzypienie wejściowych drzwi, wchodzi Tabaczyński z dwiema butelkami wina i kieliszkami na tacy; to rozładowuje napięcie. Wysocki bierze z jego rąk tacę, stawia ją na stole. Tabaczyński wychodzi.*

WYSOCKI Tak, napijmy się za nasze spotkanie.

Rozlewa wino do kieliszków, piją w milczeniu, które nieznośnie się przedłuża.

KARSKA Och, Piotrze, boję się, że mnie nie rozumiesz. Bo i jak ja ci się właściwie pokazuję? Postarzała i zubożała hrabina, która chce wyegzekwować obietnicę małżeństwa na dawnym wielbicielu! Albo inaczej: stara, egzaltowana wielbicielka narodowego bohatera, narzucająca mu się ze swoją osobą i fortuną! Straszne.

WYSOCKI (*cicho*) Nie krzywdź siebie i mnie. Nie jesteś taka i wiem o tym bardzo dobrze.

KARSKA Nie jestem taka, ale taka się pokazuję. Przecież ty właściwie niczego o mnie nie wiesz, Piotrze! Muszę ci teraz wszystko powiedzieć, muszę wytłumaczyć... Uwierz, ja nie chcę się tobą opiekować, nie chcę spędzać reszty życia jako pielęgniarka opatrująca rany na ciele i duszy starego bohatera. Piotrze, mój Piotrze... ja sama potrzebuję opieki! Przychodzę do ciebie, bo nie mam już niczego i nikogo – zostałeś mi tylko ty!

WYSOCKI (*niskim głosem*) Ale ja też nie mam już niczego. Nie mam pieniędzy, nie mam sił, nie mam nawet nazwiska. Zabrano mi je, żeby po gazetach i kuryerach wycierać. Piotr Wysocki! – to nie jest nazwisko do salonów, w których ty się obracasz. To, że żyję jeszcze, jest niestosowne i w złym guście. Już dawno powinienem był umrzeć.

KARSKA Piotrze!

Chwila milczenia.

WYSOCKI Więc czego chcesz, Józefo?

KARSKA Piotrze, czy ty już nic nie pamiętasz? (*miętko*) Przecież mnie kochałeś?

WYSOCKI Tak.

Znowu milczą.

KARSKA Piotrze... Ja się boję... Boję się tak bardzo, że nie mogę dłużej być sama. I nie mogę dłużej zostawać tu – między rotami żołnierzy, sztyletnikami, tajnymi rządami. Między knutem a kosą sterczącą z lasu.

WYSOCKI A więc o to chodzi? O tę nieszczęsną rewolucję?

KARSKA Tak, o nią też, o tę nieszczęsną rewolucję, to narodowe głupstwo, którego rozmiarów znad Pilicy pewnie i nie widać. Ale w Warszawie... w Warszawie nie można już żyć.

WYSOCKI (*z nerwowym uśmiechem*) Dlaczego? Przecież żałobę nosisz, podatek narodowy pewnie płacisz, szarpie wieczorami drzesz. Czyż można więcej od ciebie wymagać?

KARSKA Piotrze, mój drogi, ty niczego nie rozumiesz.

WYSOCKI A to pewna! Znad Pilicy w końcu mało widać! A zresztą nikt mnie o zdanie nie pytał.

KARSKA Wybacz mi te niezręczne słowa, nie chciałam cię obrazić. Przecież wiem, że nie mieszkasz tu z własnej woli.

WYSOCKI At... nawet gdybym mieszkał w Warszawie... A chciałem, chciałem, nie przeczę... cóż by to zmieniło? Razem z innymi darłbym włosy z głowy, patrząc, jak sztubaków banda cały kraj we krwi chce utopić. Co im się zresztą niechybnie uda. (*pauza*) Ale ty? Czegóż ty możesz się bać?

KARSKA Nie wiem, właściwie sama nie wiem. Do matron nikt nie strzela, ale też nikt je o zdanie nie pyta... Ja się boję, Piotrze, czegoś nieobliczalnego, czego nawet nie mogę sobie wyobrazić. Jestem śmiertelnie zmęczona. Stanem wojennym, represjami, gorączkową nerwowością ulicy, wieściami z lasu, które są coraz gorsze i nigdy lepsze nie będą. Ciągłe ktoś znika, ktoś musi się ukrywać albo zbiega do partyj. Boże! Przecież ci chłopcy idą jakby na rzeź, bez broni, bez dowódców, bez nadziei! Ty inaczej szedłeś na Arsenał, Piotrze! Inaczej, i na czele innych wojsk. Tyle miałam ufności w margrabim, chociaż, starucha, wiedziałam,

że i to jest beznadziejne, jak wtedy, w Listopadzie, kiedy wszyscy wierzyliśmy w Chłopickiego. Ale też margrabia zapłacił nam za wiarę – branką! To beznadziejne, to bezsensowne i okrutne dręczyć nadal siebie i naród. Ale nie ma wyjścia. A jeśli jest – to jeszcze gorsze. Wiesz, na co wszyscy czekają? Cała Warszawa, tajny rząd, nawet Konstanty, ten z lękiem i wstydem? Oni czekają na wojnę! Czekają, aż przyjdzie Napoleon i da im wolność. Ale to już nie ten Napoleon, nie ta wojna. I wolność byłaby nie ta. Wszystko się zmieniło, Piotrze, ale ja już nie potrafię się zmienić. To już nie moje powstanie, nie moje nadzieje. Czy teraz rozumiesz, że naprawdę zostałeś mi tylko ty?

WYSOCKI I wspólna klęska, ta sama od trzydziestu lat. Klęska, której i ja zawiniłem?

KARSKA O nie! Z tamtej klęski płynęła moralna siła, ona nie zabiła naszych nadziei. A teraz... teraz nie zostanie już nic. Spalona ziemia, kościoły spustoszone i carski czynownik w polskim dworze nadanym za zasługi. Nie chcę tego oglądać! Nie mogę.

WYSOCKI (*wzburzony*) Więc myślisz, że jest aż tak źle?

KARSKA Jest jeszcze gorzej! Dyktatura Langiewicza, generała, w którego wierzyło wielu – upadła. On sam zabity albo w Galicji osadzony w twierdzy. Oddziały ledwo wyjdą w pole, od razu są rozpraszane. Ta wojna nie ma żadnych szans, o czym od początku wiadomo. A gdyby nawet i wygrał naród – któż jest na jego czele? Ludzie bez nazwiska, tajne rządy przez młodzików złożone, jacyś sztyletnicy i czerwoni komuniści, co chcą zbroić chłopstwo przeciw dworom. I ten straszny Mierosławski, potwór i mason...

WYSOCKI (*przerywając jej gwałtownie*) Bzdura!

KARSKA Jak możesz?

WYSOCKI (*łagodniej, choć z rozdrażnieniem*) Wybacz, nie chciałem cię obrazić. Masz rację, cała ta rewolucja to szalone głupstwo. Straszna cena niecierpliwości. Ale może oni mają rację? Może tak właśnie trzeba? Tego chyba chciał Maurycy, kiedy go zatrzymałem w Łazienkach i na kolanach błagałem, by nie siedł ze Szkołą na dyktatora...

KARSKA Mochnacki! Ten straszny klubista! Pamiętam go...

WYSOCKI (*do siebie, przywołując jakby odległe wspomnienia*) Ale nie poszedł, zatrzymałem go, a potem... ledwie sam nie położył przed dyktatorem głowy. A mnie Chłopicki kazał aresztować. Pamiętasz? W dzień po naszym pierwszym spotkaniu w salonie twoich rodziców?

KARSKA Właśnie dlatego że wszystko pamiętam, chcę stąd wyjechać. Tu nigdy nie uwolnimy się od przeszłości i lęku o przyszłość. (*wstaje*) Piotrze, ja już zdecydowałam ostatecznie. Majątki, co po rodzicach zostały, sprzedane albo puszczone w dzierżawę, dom w Warszawie pod opieką kuzynów. Nie wiele gotowizny zebrałam, ale do końca wystarczy. Już niewiele lat przede mną. Wszystko w bankach paryskich albo listach zastawnych. (*stanowczo*) Najdalej za tydzień wyjeżdżam. Najpierw koleją do Wiednia, potem dalej do Paryża albo Italii. Za tydzień.

WYSOCKI I na zawsze...

KARSKA Na zawsze. Nawet po śmierci wolę zostać tam. (*łagodnie*) Piotrze, jedź ze mną... Już wiem, że paszport dostaniesz, nikt ci w tym wstrętu nie zrobi. To „wójtostwo” (*rozglądając się niechętnie po salonie*) w tydzień sprzedasz, choćby za trzy czwarte ceny. Nie będziesz na moim utrzymaniu.

Wysocki milczy.

KARSKA (*miętko*) Piotrze, jedź ze mną... Wszystko urządzę i załatwię. W Wiedniu weźmiemy ślub, bez rozgłosu i zbyt cichej ceremonii, a potem uciekniemy jeszcze dalej. Musi być gdzieś miejsce, w którym wreszcie będzie można odpocząć.

WYSOCKI (*powtarza*) Uciekniemy jeszcze dalej...

KARSKA Och, tak! Wreszcie musiało paść to słowo, bo i po cóż je skrywać pod innymi. Nawet jeśli uraża twój rycerski honor. WYSOCKI (*cicho*) Nigdy nie uciekałem, przed niczym. To jedno mogę mieć sobie za zasługę przed Bogiem i ludźmi.

KARSKA Zasług masz więcej – powtarzam – i nikt ci ich nie odbierze! Nie uciekałeś przed kulami, przed sądem i zesłaniem. Ale masz wreszcie prawo uciec przed sobą! Przed tym półmartwym bohaterem, którego nic już tu nie czeka.

Wysocki milczy, chce nalać wina Karskiej, ale ta kręci przecząco głową. Nalewa sobie, wypija, robi to jeszcze raz.

WYSOCKI To za trudne dla mnie, Józefo. Pewnie masz rację. Mógłbym wyjechać. Odsłużyłem już swoje i jakaś pensja mi się należy. (*śmieje się*) Ale chyba już za późno dla mnie...

KARSKA Dlaczego?

WYSOCKI Chcę zostać tutaj, gdzie się urodziłem. Tutaj, gdzie zrobiłem swoją rewolucję. Losu nie zmienię na lepszy, a tylko tu mam jeszcze obowiązki... wobec Ojczyzny.

KARSKA A ja? A czy wobec mnie nie masz żadnych obowiązków?

WYSOCKI O tym także pamiętam. Ale ja nie chcę uciekać. Zwłaszcza dziś.

KARSKA (*porywczo*) Dziś, kiedy jest nowa rewolucja? Tak? Ależ Piotrze, to nie jest twoja rewolucja i nie ty ponosisz za nią odpowiedzialność.

WYSOCKI Wszyscy odpowiadamy przed narodem za los Ojczyzny, a przed Bogiem za własne postęпки.

KARSKA A więc jestem wzgardzona... Mój naród na kolanach i z przygiętym karkiem, gotujący się do kolejnej krwawej łaźni... A ja – jak i on – idąca od klęski do klęski. Nikomu niepotrzebna i wzgardzona.

WYSOCKI Józefo, wybacz.

KARSKA (*z rozpaczą*) Czy i ty chcesz przystąpić do tej przegranej sprawy?

Wysocki milczy.

KARSKA Czekasz dzisiaj na kogoś, czy tak? Byłeś zdziwiony, kiedy mnie zobaczyłeś.

WYSOCKI Czekam na przyjaciela Sybiraka. Spółzesańca. Wiesz, że tacy ludzie pochopnie nie działają. (*śmieje się*) Millenerami ich nazwano... że niby o tysiąc lat odkładają marzenie o niepodległości.

KARSKA (*agresywnie*) Po co on do ciebie przyjeżdża?

WYSOCKI (*wzruszając ramionami*) Nie wiem. Wreszcie, i tak przyjąć go muszę. Inaczej nie wypada.

KARSKA Innych odprawiałeś, wiem od Tabaczyńskiej.

WYSOCKI To szczególna sprawa. Giller chce mojej rady.

KARSKA A ty od razu, ochoczo, będziesz mu pomagał. Przypomniałeś sobie, kim jesteś.

WYSOCKI Takim prośbom się nie odmawia.

KARSKA (*wstając, zdecydowanie*) Dobrze. Mam złe przecucia, ale zostaną przy swoim. Jaka jest twoja ostateczna odpowiedź, Piotrze?

WYSOCKI (*wstaje również*) Nie wiem, Józefino, po prostu nie wiem, co ci powiedzieć.

KARSKA Za cztery dni będę z powrotem, z paszportem dla ciebie i biletami. Zdecyduj się.

Skrzypienie drzwi, wchodzi Tabaczyńska.

TABACZYŃSKA Panie pułkowniku, obiad gotowy. Czy można podać?

WYSOCKI (*do Karskiej*) Zostaniesz, oczywiście, na obiedzie?

KARSKA Wybacz, jestem zbyt zgnębiona... Pojadę już lepiej.

Milczą oboje. Tabaczyńska znika i po chwili wraca z jednym tylko talerzem dymiącego kapuśniaku. Jest wyraźnie usatysfakcjonowana obrotem sprawy. Stawia obiad na stole. Karska i Wysocki stoją naprzeciw siebie. Przedłużające się milczenie. Wreszcie Karska wzdycha i podaje na pożegnanie rękę. Wysocki ją całuje. Karska zmierza do drzwi. Przystaje, spogląda na kapuśniak.

KARSKA (*z lekkim odcieniem impertynencji*) Skromnie jadasz. Wysocki milczy. Karska wychodzi odprowadzana przez Tabaczyńskiego, który przez cały czas czekał w sieni. Turkot odjeżdżającego powozu. Tabaczyńscy wychodzą. Wysocki siada do stołu. Wolno zjada parę łyżek strawy.

WYSOCKI (*woła*) Andrzej!

Wchodzi Tabaczyński, z własnej inicjatywy zaczyna sprzątać ze stołu.

WYSOCKI To zostaw. (*wskazuje wino*) I przynieś wódki.

Tabaczyński stoi nieruchomo.

WYSOCKI Rozumiesz?

Tabaczyński wychodzi. Wysocki zjada jeszcze parę łyżek zupy, po czym odsuwa talerz. Wraca Tabaczyński z butelką wódki.

WYSOCKI (*wskazując na talerz*) Zabierz to. (*nalewa sobie wody, wypija, raz i drugi*) Czy steinkellerka już zajęła?

TABACZYŃSKI Nie wiem, panie. Nie chodziłem do rynku. Warszawska zawsze o drugiej przyjeżdża.

WYSOCKI A teraz która?

TABACZYŃSKI Już pewnie będzie druga.

WYSOCKI Jak przyjedzie ktoś z Warszawy – proś czekać. Wyjdę niedługo. (*zabiera butelkę i wychodzi do sypialni*)

Tabaczyński porządkuje stół. W progu staje jego żona.

TABACZYŃSKA (*cicho*) Przyjeżdża kto do niego?

TABACZYŃSKI A bo ja wiem?

TABACZYŃSKA Przecie rozmawiał z tobą.

TABACZYŃSKI Daj spokój, babo. Nawet jeśli kto przyjeżdża, to nie do ciebie, a do pułkownika.

TABACZYŃSKA Milczałbyś, głupi. Słyszałeś, że hrabina chce go zabrać za granicę?

TABACZYŃSKI To i co?

TABACZYŃSKA A to, że wtedy wójtostwo będzie sprzedane. A my? Gdzie się podziejemy?

Tabaczyński milczy.

TABACZYŃSKA To samo... jeśli do lasu pójdzie.

TABACZYŃSKI Kto? Pułkownik?

TABACZYŃSKA A tak, tak... Twój pułkownik!

Tabaczyńska bierze z rąk męża tacę z resztkami obiadu i zmierza w stronę kuchni. Słychać głośnie pukanie do drzwi.

TABACZYŃSKA (*spłoszona*) Otwórz ty. I słuchaj... (*zatrzymuje się*) Spróbuj podsłuchać, o czym będą mówili.

Tabaczyńska wychodzi, jej mąż otwiera drzwi. Wchodzą Bobrowski i Giller. Rozbierają się w sieni, słychać odgłosy rozmowy. Tabaczyński wprowadza gości do salonu.

TABACZYŃSKI Pan pułkownik prosił panów czekać. Niedługo wyjdzie.

Wychodzi, zamykając za sobą drzwi. Goście stają niezdecydowanie na środku salonu. Bobrowski rozgląda się ciekawie, Giller zaciera ręce.

GILLER Cóż, chyba siądziemy.

Pauza.

BOBROWSKI Więc tu mieszka sławny Wysocki?

GILLER Tak, tu. W małej Warce, w skromnym domu. Jeśli przyjmie naszą propozycję, będzie to chyba rodzaj rekompensaty za wszystkie cierpienia, które przeszedł.

BOBROWSKI (*wzruszając ramionami*) Albo źródło nowych...
Milczą przez chwilę.

GILLER A droga jednak upłynęła spokojnie. Co, miałem rację, namawiając cię do podróży dyliżansem? Na kolei często sprawdzają paszporty, a i twoja twarz jest znana po tej nieszczęsnej krakowskiej demaskacji.

BOBROWSKI (*spokojnie, ale stanowczo*) To nie moja dekonspiracja była nieszczęściem, a okoliczności, które do niej doprowadziły.

GILLER (*z lekką ironią*) Czy ty zawsze będziesz przedkładał interes rewolucji nad swój własny?

BOBROWSKI Nie jestem kupczykiem z Nalewek, który kilka geszeftów trzyma. Mam tylko jedną rację dla swego postępowania.

GILLER (*jak wyżej*) A na imię jej Polska!

BOBROWSKI (*zmęczonym głosem*) Polska, wolność, prawda, braterstwo... To słowo ma wiele synonimów.

GILLER I dlatego różni tak różnie je rozumieją... (*z wahaniem*) Powiedz, ale tak prywatnie... Nie jesteśmy w końcu na posiedzeniu rządu... Czy naprawdę sądzisz, że dyktatura Langiewicza i sojusz z białą Dyрекcją byłyby nieszczęściem dla sprawy?

BOBROWSKI Teraz mnie pytasz? Kiedy Langiewicz w twierdzy, a nasze swary prawie jawne?

GILLER Sojusz mógłby zakończyć swary.

BOBROWSKI I powstanie. Znasz moją opinię, więc skończmy już ten temat.

GILLER Znam twoją opinię, ale jednak... jesteś tu ze mną.

BOBROWSKI Och, bardziej jako podróżnik, który chce uściśnić dłoń bohatera swojego dzieciństwa. Wiesz natomiast, iż projekt utworzenia jawnego rządu uważam za mało realny, a w istocie i mało ważny. Ty więc pertraktuj, ja będę słuchał.

GILLER Jak chcesz. Chociaż – powaga twojego nazwiska mogłaby może wpłynąć na Wysockiego.

BOBROWSKI Nie przesadzaj. Zresztą, więcej zdziała twoja z nim zażyłość. No i – ty wracasz do Warszawy, a ja jadę dalej.

GILLER Właśnie! Czy ta podróż jest rzeczywiście konieczna?

BOBROWSKI Nie mnie o tym sądzić. Zresztą nie potrwa długo.

GILLER Twoja nieobecność?

BOBROWSKI Nie, moja podróż.

GILLER Nie rozumiem?

BOBROWSKI Ale proszę, nie mówmy i o tym. Upewniam cię, że jechać muszę. Zresztą i ty chyba wiesz dlaczego?

GILLER (*lekko zdenerwowany*) Może się czegoś domyślam, ale jeżeli doszły cię jakieś insynuacje...

BOBROWSKI (*ostro*) To co? Jesteś gotów dać mi satysfakcję? (*gwałtownym ruchem zdziera z oczu okulary i zaczyna je wycierać*) Może i byłby to sposób na skończenie swarów.

GILLER (*uspokajająco*) Stefanie, wiesz dobrze, że zawsze lojalnie z tobą pracowałem, a jeśli różniliśmy się usposobieniem i poglądami – sądzmy się wzajem z intencji, a historia niech osądza postęпки.

BOBROWSKI At... za dużo na tę staruszkę historię zwałamy. Byle podpity ziemianin, co wziął skrypt na balu u margrabiego, potem w domu oczami wywraca i przerażonej kobiecie tłumaczy, że historia go osądzi. A dla nas – historii nie ma. Jest tylko pamięć ludzka, a i tę wydrzeć można i zaciemnić.

GILLER Ale przecież my pamiętamy. Na przykład Wysockiego.

BOBROWSKI Nierychliwa to pamięć, co prawda... ale powiedz w takim razie – kto miałby pamiętać nas: anonimowy rząd bez twarzy, rząd podziemny, wodzów-studentów bez nazwiska i znaczenia?

GILLER No, ty już nazwisko masz. Nie jesteś anonimem.

BOBROWSKI Wolałbym go nie mieć. Nigdy i wcale. Trzeba mieć na czole wypisane słowo „lud”, to będzie najlepsze dla rządu nazwisko.

Otwierają się drzwi sypialni. Wychodzi Wysocki. Umyty, uczesany, ubrany staranniej niż w poprzedniej scenie, kiedy zjawił się w salonie wstawszy z łóżka. Giller i Bobrowski zrywają się.

WYSOCKI Aaaa... Agaton Giller! Miły gość. Syberyjski druh. Miło pana powitać.

GILLER Jestem naprawdę zaszczycony, panie pułkowniku, że zgodził się pan nas przyjąć. Wie pan, jak bliska jest nam wszystkim pamięć wielkiego pańskiego czynu... Wreszcie przyznam od razu, że przyjechaliśmy nie bez pewnej misji.

WYSOCKI Pomówimy i o tym. (*patrzy pytajaco na Bobrowskiego*)

GILLER (*pośpiesznie*) Pozwoli pan sobie zaprezentować. Oto mój wybitny współpracownik i szlachetny człowiek... (*plącze się*)

BOBROWSKI Pozwól, Agatonie... (*do Wysockiego*) I ja chciałbym złożyć panu swój hołd. Jestem Stefan Bobrowski, członek Centralnego Komitetu Narodowego, który urzęduje obecnie jako Tymczasowy Rząd Narodowy.

Zaskoczony Wysocki patrzy pytajaco na Gillera.

GILLER (*z wahaniem*) No cóż, nie ma powodu, by cokolwiek ukrywać. I ja jestem członkiem rządu. A Bobrowski, po nieszczęsnej awanturze krakowskiej, jest również z nazwiska znany władzom.

WYSOCKI (*zdziwiony*) Pan... Agatonie... w rządzie? Nie ukrywam, że jestem zaskoczony. (*pauza*) Ale siadajcie, panowie. Pozwólcie też kieliszek wina.

GILLER (*siadając*) Myślałem, że mój list pozwoli się panu domyśleć prawdy...

WYSOCKI (*niechętnie*) List? Cóż list? Żandarm każdy mój list czyta, czynownik dla tajnej kancelarii przepisuje. Lepiej do mnie nie pisać, panowie.

Giller i Bobrowski wymieniają znaczące spojrzenia.

GILLER Ten list był przekazany naszą własną pocztą. Powstańcą, a tym samym tajną.

WYSOCKI (*pijąc wino*) Tajna poczta! Ho, ho! Wybaczcie mi, panowie, zdziwienie, ale cóż... już mi dzisiaj ktoś powiedział, że z Warki niewiele widać, a to pewna.

GILLER (*zmieszany*) Z Warki widać tyle samo co z Warszawy, panie pułkowniku. (*zamierzony frazes*) Obraz zależy nie od perspektywy, lecz od patrzącego.

WYSOCKI (*jakby nie usłyszał poprzedzającej kwestii*) Tajna poczta! Paradne! I cóż jeszcze macie tajnego? Bo o sztyletnikach już słyszałem.

Skurcz niecierpliwości na twarzy Bobrowskiego, który po wstępnej prezentacji konsekwentnie milczy.

GILLER Myśli pan zapewne o żandarmerii narodowej?

WYSOCKI (*ostro*) Nie! Myślę o skrytobójcach! Żandarma znam jednego – w carskim mundurze. A drugi mi niepotrzebny.

BOBROWSKI (*nie wytrzymuje*) Ale potrzebny zdrajcom, sprzedawczykom i carskim szpiclom!

WYSOCKI (*do Gillera, konsekwentnie nie zwracając uwagi na Bobrowskiego*) Więc chcecie walczyć z carem jego bronią?

GILLER Ależ panie pułkowniku! Panie Piotrze! Bronią cara są sołdackie roty! Branka! Cytadela i armaty! Czynownicy i siberijskie kopalnie! Czyż panu muszę o tym mówić?

WYSOCKI I tajny agent i sędzia zaprzaniec...

GILLER Ich właśnie żandarmeria rozliczy.

WYSOCKI Nie ich samych, ale ich żebra. I na to zgodzić się nie mogę.

GILLER Więc mamy pozostawić im swobodę działania? Teraz? Kiedy rząd i cała organizacja działają w ukryciu, polegając na dobrej woli obywateli?

WYSOCKI Waszym grzechem jest właśnie wasze ukrycie... Trzeba było zdobyć Warszawę.

BOBROWSKI (*niemal ironicznie*) Jak Wysocki w Listopadzie?

GILLER (*równocześnie*) Ależ to było niemożliwe!

WYSOCKI (*brutalnie*) A więc nie należało zaczynać powstania!

GILLER I pan tak mówi? Pan, pułkowniku? Nie próbując nawet nas rozumieć?

WYSOCKI Tak, ja! Ja, który zdobyłem Warszawę, kiedy już sam prowadziłem powstańców.

GILLER Ależ nie miał pan pewności w powodzeniu sprawy?

WYSOCKI Gdyby się nie powiodło, zapłaciłbym głową.

GILLER My też jesteśmy gotowi!

WYSOCKI I dlatego chowacie się w cieniu? Anonimem rządzącie, pieczęcią?

GILLER Że nie zawsze chowamy swoje twarze, niech dowodem będzie nasza dzisiejsza u pana wizyta.

BOBROWSKI To próżny spór. Powiedz raczej, Agatonie, pułkownikowi to, co jest sprawą bolesną, a dla nas szczególnie przykrą – że powstanie musiało wybuchnąć. W chwili, gdy margrabia ogłosił brankę, kilka tysięcy dyslokowanej młodzieży ukrywało się już po lasach. Byłoby zbrodnią próbować ich powstrzymać. Naszą, którzyśmy to rozumieli, sprawą, było ująć ster w swoje ręce.

WYSOCKI (*szyderczo*) A trzymacie chociaż ten ster mocno?

GILLER (*z westchnieniem*) Myśli pan o ostatniej dyktaturze, o zamachu Langiewicza i białych?

WYSOCKI (*machając ręką*) At... taki on dyktator, jak wy rząd. Nie, o nim mówić nie mogę, bo i niewiele wiem o tej sprawie, która, jak widzę, stała się już głośna. Ale to wam powiem, że nie wierzę we władzę, którą sprawują młokosi, studenci i zapalona czeladź.

Bobrowski wzrusza ramionami, ale milczy.

WYSOCKI (*do Gillera*) Mój panie Agatonie, być może nie wolno było hamować spiskowych, ale któż w istocie zrobił powstanie? Wy czy oni? Otóż oni – gorączkowa młodzież, przez niewiele starszych rozgrzana, która wolała iść do lasu niż w carskie żołdacy. Ja ten bunt rozumiem. Ja i tę rozpacz rozumiem, ale bądźmy szczerzy... młodość to powstanie robi i młodość się w nim wypali. Dobra krew na marne pójdzie. A czemu? Bo nie ma przywódców, planu, autorytetu. (*ironicznie*) Tak to przynajmniej z Warki widać.

GILLER Dużo tu prawdy, ale wszystko jeszcze być może. A i autorytet jest przy rządzie, gdy nastąpi stanowcza chwila. Obecny tu pan Bobrowski nie wahał się nawet położyć na szalę swojego nazwiska, gdy trzeba było zdemaskować krakowski spisek. Sam jeden ujawnił białe machinacje i przywrócił powagę rządu.

BOBROWSKI (*stanowczo*) Nie nazywajcie zasługą tego, co płynęło z poczucia obowiązku czy nawet (*wzrusza ramionami*) zwykłej konieczności. (*wstaje*) Ma pan rację, pułkowniku, rząd

nie ma autorytetu, a o pełnej władzy nie ma nawet mowy. Ale wierzę, że ten autorytet i tę władzę możemy zdobyć. Ofiarnością w polu i stanowczością w radzie. A tego brakuje. Oddziały rozpraszają się zaraz po przejściu kordonu, choć przecież ochoty do poświęcenia nie brak. Za to bitwy... przenoszą się do gabinetów i salonów. *(milczy chwilę)* Nie chciałem o tym mówić, panie pułkowniku, ale czuję się spowodowany...

GILLER *(łagodząco)* Nie brak intryg i swarów, to prawda. Biali wciąż się ociągają z pełnym akcesem do powstania, komisarze kłócą się między sobą, Mierosławski jątrzy. Straszne są podziały naszego społeczeństwa, straszna przepaść między klasami. To nasz cel główny, rządu i wojska – doprowadzić do zgody, do pojednania, zasypać tę przepaść.

BOBROWSKI *(groźnie)* Albo pogłębić ją jeszcze bardziej!

WYSOCKI *(wstając)* O czym pan marzysz? O socjalnej rewolucji? *Bobrowski waha się przez chwilę, ale rezygnuje z ostrej wymiany zdań z gospodarzem; pauzę wykorzystuje Giller, znów próbujący łagodzić napięcie.*

GILLER *(szybko)* Myślmy... wielu z nas... by iść naprzód, nie oglądając się na innych. Aż ziemiaństwo zostanie samo ze swoimi haniebnymi adresami do cara i margrabiego.

Wysocki siada, wciąż jeszcze chmurny, po chwili siada również Bobrowski.

GILLER *(ciągnie)* Choć wtedy może wreszcie będzie zgoda, bo i nic im innego nie zostanie. *(mówi to już bez przekonania)*

WYSOCKI Nie mówmy już o tym... *(nalewa wino do kieliszków)* Napijmy się, panowie, jesteście moimi gośćmi i chcę w was uszanować wasze poświęcenie.

Piją w milczeniu wino, Wysocki duszkiem, Bobrowski małymi łykami.

GILLER Panie pułkowniku! Widzę teraz jasno, że nie popiera pan powstania – przybyliśmy tu jednak z pewną misją i proszę, by pan nas wysłuchał.

Wysocki dolewa wina, Giller, speszony, milknie.

WYSOCKI Proszę, panowie, jeszcze trochę wina. Kawy ni herbaty nie używam, więc i wam podać nie mogę.

GILLER (*pijąc mechanicznie wino*) Panie pułkowniku, jeszcze raz proszę o uwagę i posłuchanie...

WYSOCKI (*gwaltownie*) At, panie Agatonie, w czym ja ci mogę być użytecznym? Gdybym cię nie znał jako Sybiraka, spółzłańca i dobrego patriotę... chyba bym was za drzwi wyrzucił. Trudno będzie o zgodę między nami.

Giller, speszony, milknie.

BOBROWSKI (*bardzo spokojnie*) A gdybyśmy my nie znali pana jako Sybiraka, męczennika narodowej sprawy i twórcę Listopada, nie byłoby nas tutaj.

WYSOCKI O! Znacznych person chyba wam nie brakuje. Tu margrabia, tam Zamoyski, ówdzie Mierosławski – wszyscy tylko czekają.

BOBROWSKI (*nadal bardzo spokojnie*) Drwi pan ze mnie, a ja chcę przekonać pana, że dla tej szalonej młodzieży, która teraz po lasach krew przelewa, najważniejszy jest autorytet inny od politycznego – właśnie krwi przelewanej dla dobra Ojczyzny.

Wysocki w milczeniu pije wino.

BOBROWSKI (*ciągnie*) Jeśli więc ich pan oskarża, to i naszą pamięć o panu. Jeśli Styczeń ma być zły, to i Listopad, który był pierwszy.

WYSOCKI (*wolno*) I ja tak myślę czasem. (*pauza*) Ale nie wam mnie sądzić i oceniać.

BOBROWSKI Ale wyście osądzali listopadowych generałów?

Wysocki milczy.

GILLER (*znów obierając rolę mediatora*) Ważniejsza od sądów i kłótni jest pamięć o wspólnej ofierze. To ona nas łączy!

WYSOCKI (*nie słuchając Gillera, do Bobrowskiego*) Więc mów pan, że oni, ci chłopcy z lasów... pamiętają... Listopad i tamtą rewolucję... i mnie?

BOBROWSKI Nie tylko pamiętają... oni uczyli się Ojczyzny na pana przykładzie.

WYSOCKI (*do siebie, zamysłony*) Jak ja na Łukasimskim...

BOBROWSKI Pamięć ofiary budzi naród i ożywia. Nawet klęska rodzi owoce w następnych pokoleniach. I dlatego musimy sądzić i rozliczyć tych, którzy byli przed nami. (*do Gillera*) Twoje marzenie o zgodzie jest nierealne.

Giller chce odpowiedzieć, ale przerywa mu Wysocki, który słuchał Bobrowskiego, lecz teraz odpowiada jakby na swój głos wewnętrzny.

WYSOCKI Czy wiecie, że Łukasiński był wtedy, w listopadzie, w Warszawie? Konstanty trzymał go skutego w Belwederze. I ja, właśnie ja, powinienem był go ratować. Kiedy cała Warszawa fetowała zwycięstwo, kiedy mnie tłum na ramionach po ulicach obnosił... jego Konstanty uwoził do Rosji... na długie konanie w twierdzy. *(ukrywa twarz w dłoniach)* Bardzo, bardzo zgrzeszyłem.

BOBROWSKI A my... jesteśmy dziś u pana. Nie zapomnieliśmy przez trzydzieści lat Sybiru.

WYSOCKI To i cóż?... Nie jestem już porucznikiem Wysockim. *(do siebie)* Boże, czemu każesz mi powtarzać wciąż te same rozmowy?

BOBROWSKI Ale pan żyje, pułkowniku! A my mamy prawo pana niepokoić.

WYSOCKI Czy dlatego... że wtedy... w listopadzie stanąłem na czele spisku – mam już do końca swoich dni iść z podniesioną szablą, krzycząc „Polska, Polska”?

Bobrowski i Giller milczą, Wysocki rozlewa wino.

WYSOCKI *(ciągnie)* Milczycie, panowie? Nie chcę was zawstydząć, ale... jestem już stary.

BOBROWSKI *(brutalnie)* Toteż nam nie młody Wysocki jest potrzebny, ale właśnie – stary! Podporuczników mamy pełne lasy. Teraz niezbędni nam są ludzie tacy jak pan, autorytety, jeśli kto woli.

WYSOCKI *(wstając z miejsca)* Dzięki za szczerłość...

BOBROWSKI *(przerywa mu)* Potrzebne nam autorytety, tak jak potrzebowaliście ich wy! Również pan, klękający przed Chłopickim!

Wysockim wstrząsa dreszcz, powoli siada.

WYSOCKI Więc i o tym wiecie? *(pauza)* Klękałem też przed Mochnackim... by ratować Chłopickiego. Bodajbym tego nie robił.

BOBROWSKI Ale my znamy wasze błędy.

GILLER (*gorliwie wpadając mu w słowo*) I nie powtórzmy ich.
WYSOCKI Więc po cóż wam... ja?

GILLER Rewolucję zaczynają podporucznicy, ale wygrać ją mogą tylko generałowie – ci, których na czele postawi cały naród. Inaczej niż w Listopadzie.

BOBROWSKI (*do Gillera*) Mylisz się, tu nie idzie o generałów, lecz właśnie o naród. Tylko ci, którzy wywołali rewolucję, mają prawo i obowiązek nią kierować.

GILLER I mówisz to wobec...

BOBROWSKI Tak, wobec pułkownika, który lepiej niż ktokolwiek powinien mnie rozumieć. My musimy prowadzić walkę, ale oni – ci, co nas zarazili wolnością – powinni ją poprzeć.

GILLER Tyle jest brutalności w twoich słowach, że zaczynam rozumieć obiekcje pułkownika!

BOBROWSKI Niczego nie da się obronić bez użycia siły. To nie ja jestem brutalny, tylko rewolucja. Tej wiedzy również zabrakło niegdyś podchorążym.

Wysocki, który nie słuchając wymiany zdań między Gillerelem a Bobrowskim, głęboko się zamysła – teraz, jakby na dźwięk słowa „podchorążym”, dźwiga się z krzesła szybkim ruchem.

WYSOCKI Widzę, że nie mam prawa oddalać panów. Jestem więc gotów wysłuchać waszej misji.

Pauza, Giller, nieco skonsternowany powagą Wysockiego, wstaje jednak uroczyście.

GILLER (*z wahaniem, potem coraz pewniej*) Panie pułkowniku! Imieniem Rządu Narodowego Polskiego, który oficjalnie tu reprezentuję, mam zaszczyt zaproponować panu pułkownikowi wstąpienie do służby cywilnej Rządu i objęcie funkcji jego Przewodniczącego, równoznacznej z funkcją Prezydenta Rzeczypospolitej.

Wysocki, zdumiony i pomieszany, milczy. Niezręczna pauza, którą przerywa Giller.

GILLER Porzucając funkcję, dodam od siebie, iż jak najgoręcej orędownałem w sprawie pańskiego udziału w Rządzie, wokół którego – z panem na czele – może się gorliwie skupić znaczna część społeczeństwa.

WYSOCKI (*mówi powoli, bez pewności, ale ze skupieniem*) Cóż... dziękuję, panowie... wiercie mi, że jestem zaskoczony. Tak bardzo, że słów dobrać trudno. Nigdy bym się nie spodziewał... Myślałem, że komisarzem chcecie zrobić... partię dać. (*milknie, potem gwałtownie*) Ale prezydentem? Nie, nie, panowie, tego przyjąć nie mogę! To niemożliwe.

GILLER Pozwoli pan dodać, że wszystkie przeszkody są do usunięcia. Zresztą nie mówiliśmy jeszcze o szczegółach.

WYSOCKI I lepiej nie mówmy o tym. Dziękuję za szacunek, ale... Och, gdybyż to była tylko sprawa honoru, obowiązku – jak niegdyś! Ale teraz... Cóż wam po mnie? Starym i niedołączonym...

GILLER (*szybko*) Przecież nie chcemy, żeby się pan tułał po lasach.

WYSOCKI Tam by jeszcze było dla mnie miejsce, o – zapewne! Ale w ruchu, którego nie znam, w rządzie, którego działań nie pochwalam?

GILLER Na jego czele! I z naszym wsparciem.

WYSOCKI I ze skłóconymi działaczami, pośród intryg i oszczerstw, o których Bobrowski mówił?

GILLER Wierzę, iż pana autorytet uśmierzy swary!

WYSOCKI Ba! Ależ rząd jest przecież niejawnym? I jeśli nawet wam wierzą, to nie Bobrowskiemu, nie Gillerowi, ale pieczęci. I cóż za różnica, kto za nią stoi – Giller czy Wysocki?

GILLER I z tym właśnie chcemy skończyć! Rząd zamierza się ujawnić, dlatego również trzeba, by na jego czele stały osoby powszechnie znane.

WYSOCKI Ujawnić się? Teraz? Kiedy nie możemy być pewni, czy już rota po nas nie idzie?

GILLER Teraz to niemożliwe, zgoda. Ale gdy z pełną wiosną partyzantka ruszy i oswobodzi kilka powiatów, przyjdzie czas na ujawnienie się rządu i ogłoszenie nowych uczestników.

WYSOCKI To mrzonki, mój panie! Cóż to będzie za rząd na kilka powiatów... czy folwarkach! Kto go zechce słuchać? A wreszcie – i to powodzenie oddziałów rzecz niepewna. Przecież to żadna wojna, żadne powstanie. Ot, car po lasach poluje na dezer-

terów, to i cała kampania. Dla was każde sto karabinów cenniejsze niż malowany prezydent.

BOBROWSKI A choćby i malowany – cóż stąd? Nawet jeśli rząd nieprawdziwy, nasze marzenia i mrzonki? I wasz Listopad był malowany – sejm, narodowe wojsko, generałowie i sztaby... Cóż zostało? Krew i łzy. Te same, co teraz się leją. Oto prawda, fakt, którego trzymać się trzeba.

WYSOCKI (*wzburzony*) I iść na stracenie – z waszą szczeniacką bandą?

BOBROWSKI (*spokojnie*) My i tak nie możemy już się cofnąć. (*wstaje*) Niech pan wierzy, pułkowniku, w mój głęboki szacunek. I z tym zostanmy, każdy przy swoim. (*klania się*)

GILLER Ależ Stefanie, rozmowa nie skończona. Co robisz?

BOBROWSKI (*do Gillera*) Zrozumiałem, że nie mamy prawa żądać mnożenia ofiary. Nie warto wracać na Syberię – za żadną cenę.

WYSOCKI (*z namysłem*) Może też nie warto... z Syberii wracać? Wy już jesteście tacy inni, tacy dalecy. Ale pan, (*spogląda na Bobrowskiego, który opada na krzesło*) pan mi się nagle wydałeś podobny do nas... Ja tak samo szedłem na Arsenał... też czułem, jakby mi już nic nie zostało.

BOBROWSKI Niewola – żadna niewola – nie jest stanem przyrodzonym człowiekowi. Jeżeli powstanie jest samobójstwem, to płaskie bytowanie w pozorach wolności – tylko jego odmianą.

WYSOCKI A jednak pan to przyznajesz – powstanie jest samobójstwem?

GILLER (*uprzedzając odpowiedź Bobrowskiego*) Cóż znowu? Położenie nasze jest ciężkie, ale rośnie nadzieja na pomoc Francji! Wojna może wybuchnąć w każdej chwili. Wojna europejska, zmieniająca porządek Wiecznego Przymierza.

Wysocki słucha z pewnym roztargnieniem.

GILLER Za obydwoima kordonami aż wre. Młodzież się zbroi, przybywają dowódcy – już wiosna może wszystko odmienić.

BOBROWSKI (*wstaje, zaczyna przechadzać się*) A w tym samym czasie nam, w naszej Kalwarii czy Warce, własny parobek głowę utnie.

WYSOCKI O czym pan mówi?

BOBROWSKI O tym, że nie pomoże nam Napoleon ani Garibaldi, ani Czartoryski, jeśli nas własny lud zechce rozliczyć z opieszałości.

GILLER (*porywczo*) Lud dostanie wolę i ziemię, a na wschodzie – religię, byle raz wreszcie zjednoczyć siły.

WYSOCKI (*chowając twarz w dłoniach*) Więc jednak miałem rację – to samobójstwo. Więc tego chcieliście? To ma być lepsze niż niewola? Lud rabujący dwory i plebanie za carskim przyzwoleniem?

BOBROWSKI (*przerywa mu, zdejmując równocześnie okulary i przecierając je nerwowym ruchem*) Pan mnie pytał, czy powstanie jest samobójstwem? Tak, teraz szanse są już niewielkie. Konstancy opanował sytuację w pierwszym momencie, w styczniu. (*kończy swój nerwowy spacer po pokoju, zatrzymuje się przed Wysockim*) Wojsko utrzymało garnizony, kontroluje drogi, również żelazne. Pozostał nam las... a broni mało, mało amunicji, oficerów, czasem nawet ducha brak. (*z goryczą*) Bo i dla kogo ma ten leśny żołnierz walczyć? Dwór mu niechętny, chłopiek psami szczuje i zapiera się w komorze, a gdy wreszcie przejrzą – jeden i drugi, to ziemianin patrzy na funkcję i zaraz zaczyna intrygi, a chłopiek, co się do oddziału zgłosił, odchodzi z kwitkiem, bo pułkownikom rozkazy rządu bronią przyjmować wiejskiego rekruta! Rozkazy tego samego rządu, którego jestem członkiem, a który pan malowanym nazwałeś. I ja... ja przyznaję się panu – nie widzę już prawie szans, nie mam nadziei.

WYSOCKI (*z goryczą*) Po cóż więc do mnie przychodzicie?

BOBROWSKI Powtarzam – ci, którzy wywołali rewolucję, muszą utrzymać jej kierownictwo do końca. To wniosek wyciągnięty z waszych błędów.

WYSOCKI (*szyderczo*) I cóż wam z takich wniosków płynie?

BOBROWSKI Nauka. (*do Gillera*) Trzeba zjednoczyć naród, ale naród to nie koterie i stronnictwa, to lud! Nie możemy walczyć o wyzwolenie narodowe, pozostawiając jednocześnie trzyczwarde narodu w niewoli socyjalfnej.

WYSOCKI Przekłete niech będzie takie powstanie, które naród dzieli!

BOBROWSKI Ależ on już... jest podzielony. Przegramy dzisiaj, ale może nasza klęska otworzy uciśnionym oczy na wartości, dla których przelewamy krew. Przekłete to powstanie, racja, ale gdyby go nie było... już widzę Polskę za lat dwieście – z chłopkiem modlącym się po rosyjsku i czekającym chwili, by rznąć jasnych panów Polaków, swoich ciemiężycieli. Ciemnych najłatwiej otumanić... Powstanie zginie, może i pod chłopskimi kosami, ale ten zbrodniarz straszny, ten jakiś Szela nowy, będzie miał przed oczyma groby. Nie zapomni ich tak łatwo, nie zapomni krwi przelanej za niego...

WYSOCKI (*prycha*) Albo przez niego!

BOBROWSKI (*zdenerwowany*) A niechby już raz, do diabła! Jeśli już my, szlachta, pogrążyliśmy Ojczyznę w niewoli, jeśli od stu lat nie potrafimy wybić się na niepodległość, bo większa część społeczeństwa nas nienawidzi, to może nie mamy prawa – w które tak bardzo wierzymy – przewodzić reszcie? Może pora ustąpić miejsca tym, którzy są również prawdziwymi Polakami? Powtarzam – niechby nas chłopstwo i wyróżnęło, jeśli przy okazji będzie miało dość siły, by wyróżnąć z kraju zaborców!

WYSOCKI (*oburzony i przejęty*) Straszne rzeczy pan mówi! Pan – Polak i szlachcic, i katolik!

BOBROWSKI Tak! Jestem Polakiem, jestem katolikiem i zgoda, niech będzie – jestem szlachcicem. I właśnie dlatego mam szczególny obowiązek bronięcia prawdy bez względu na to, jak jest ona nieprzyjemną dla naszych hreczkosiejów, którzy dalej mili od własnego folwarku nie patrzą. (*bardzo zdenerwowany, zdejmując okulary, wypija duszkiem wino, przeciera chusteczką czoło*)

GILLER (*nadspodziewanie twardo*) Do twarzy ci z pozą wredyka, ale to, co nieomylnie bierzesz za prawdę, może być twoją z kolei mrzonką. Hreczkosiej dalej mili nie patrzy, szlachcic się powstania boi? A kimże są dowódcy większych partyj? Kto finansuje zakupy broni? Kto na emigrację poszedł po Listopa-

dzie? Kto na Sybir? Oto – armia hreczkosiejów! Kto był Kościuszko, Łukasiński, kto jest Wysocki? Znów twój szlachcic, któremu prawa bytu odmawiasz!

BOBROWSKI (*zrezygnowany*) Oczywiście są zasługi...

GILLER (*prawie krzyczy*) Jeszcze nie skończyłem! A co masz po drugiej stronie, kogo wysuniesz przeciw nim? To chłopstwo bierne, narodowości nieświadome, powolne każdemu, kto je przekupić umie? (*Bobrowski chce znowu coś powiedzieć, Giller zdenerwowany jeszcze bardziej*) Jeszcze nie skończyłem! I ten sam twój chłop, który miałby wroga z kraju sam wyżenąć, ten sam chłopiek, przez różnych poetomanów osławiony, niech jeno trafi w carskie żołdacy. Uch, jaki z niego żołnierz siarczysty, jaki bezlitosny a wierny – kiedy siłę poczuje. Chcesz im naprawdę pomóc, chcesz rozwiać te straszne ciemności i żywioły? Przecież miałeś program pozytywny? Trzeba było szkółki zakładać, rzemiosła uczyć, rolnej kultury. Ot, czytać i pisać choćby. Ale nie powstanie. A jeśli już powstanie – to bez nich, chociaż i dla nich.

BOBROWSKI (*już spokojniejszy*) Skończyłeś? Oto powiem ci jedno – podzielony naród wygrać nie może. Ale nie może też dłużej trwać. To musi pęknąć, to musi się zmienić. Jeśli nasz bunt zakończy się tym tylko, że przyspieszy społeczną emancypację ludu – to już będzie to jakaś nadzieja dla Polski.

WYSOCKI (*krzyczy wskazując dłonią na Bobrowskiego*) Mochnacki! (*łapie się za głowę*) Ten upiór idzie za mną od trzydziestu lat. Wraca, ciągle wraca. (*podbiega do biurka, wyciąga z szuflady butelkę wódki i szybko wypija kieliszek; następne kwestie wypowiada bardziej do siebie niż do swoich rozmówców*) Zgrzeszyłem, ale chciałem być czysty. Przegrałem, choć mogłem zwyciężyć... Wierzyłem, że tak trzeba – oddałem władzę generałom i patrzyłem potem bezradny, jak rozmieniają powstanie na drobne, kłóćą się i boją. Mochnacki szalał, krzyczał, że trzeba zbroić lud Warszawy, ogłosić pospolite ruszenie, ścigać Konstantego. Zatrzymałem i jego, Maurycyego. Na kolana przed nim padłem, gdy chciał ze Szkołą iść na dyktatora. Wszystko to samo, to samo... Car ten sam i Konstanty nawet, jego brat,

i ci wodzowie skłóceni. *(przytomnieje, ogląda się na Bobrowskiego i Gillera, którzy zażenowani milczą)* I ja... nawet ja... jak wtedy, ciągle muszę wybierać. A ty *(zwraca się do Bobrowskiego, jak gdyby widział w nim Mochnackiego)* ty wciąż przychodzisz do mnie, ale nie mówisz mi, co mam zrobić. I czego ode mnie chcesz? *(opada na krzesło, chowając twarz w dłoniach)*

GILLER *(po krótkiej pauzie podchodzi do Wysockiego, bierze go za ramiona)* Panie pułkowniku, panie Piotrze... proszę się uspokoić. Zbyttno się pan przejął naszym sporem. Przecież wszyscy – i Bobrowski, i pan, i ja – chcemy tego samego.

WYSOCKI *(odslania twarz)* Wybaczcie mi panowie ten atak.
BOBROWSKI *(zażenowany)* To ja muszę prosić pana o wybaczenie. Wszczynanie sporów – tu i teraz – było niestosowne i obraźliwe dla pana.

WYSOCKI *(szybko)* Nie, nie, nie... To dobrze, że jesteście szczerzy. Teraz wiem o was więcej. A może i o sobie.

GILLER *(po pauzie)* Myślę, że powinniśmy teraz zostawić pana samego. Niech pan wybaczy i... odpocznie. Myślę, że *(patrzy pytająco na Bobrowskiego)* zdołamy pana jeszcze odwiedzić.

Wstają obaj, gotowi do pożegnania; Bobrowski z wyraźną ulgą.

WYSOCKI *(z roztargnieniem, ale stanowczo)* Nie, nie... teraz nie ma już o tym mowy. Zatrzymam panów choćby siłą. *(wstaje)* Zresztą – nie odpowiedziałem na propozycję Rządu.

Wyraźnie zbiera siły, poprawia ubranie, włosy, zaczyna się krzątać wokół poczęstunku; goście wciąż niezdecydowani – stoją, nie mają jednak odwagi żegnać się w tej chwili; wreszcie powoli siadają – Giller z gestem rezygnacji, Bobrowski z ociąganiem.

WYSOCKI *(ustawiając na stole kieliszki)* Musimy jeszcze czegoś się napić... Zakąsić też trzeba. *(woła)* Andrzej!!

GILLER Proszę sobie nie robić subiekcji, panie pułkowniku.

WYSOCKI *(macha ręką)* Za późno... teraz już musicie zostać. *Skrzypienie drzwi, wchodzi Tabaczyńska. Wysocki patrzy na nią ze zdziwieniem.*

TABACZYŃSKA *(niegrzecznie)* Andrzej na targ poszedł. Podać czego?

WYSOCKI (*prawie przymilnie*) Niech... proszę, niech Tabaczyńska jakąś zakąskę obmyśli. Panowie z drogi, pewnie głodni. *Tabaczyńska wzrusza ramionami i bez słowa wychodzi, burcząc już w progu „Tu nie gospoda”. Zostawia uchylone drzwi od sieni.*

WYSOCKI Panowie prosiliście o wybaczenie – teraz ja proszę. Żyję bardzo skromnie... to widać. A przy tym samotnie. Bardzo mnie zdenerwowały dzisiejsze rozmowy.

GILLER (*wstaje*) Naprawdę lepiej będzie, jeśli pozwolimy panu odpocząć...

WYSOCKI (*przerywa mu*) Ależ to dobrze, żeście przyjechali. W samotności człowiek pleśnieje... (*rozlewa wódkę*)

Wchodzi Tabaczyńska, niosąc na tacy skromną wędlinę, trzy talerze, widelce. Wszystko to rozstawia hałaśliwie na stole.

TABACZYŃSKA Do zjedzenia daję, co jest, a że niewiele jest, to już pan pułkownik musi wybaczyć.

WYSOCKI Nic nie szkodzi, moja Tabaczyńska, dziękuję bardzo. *Tabaczyńska bez słowa wychodzi, znów zostawiając otwarte drzwi.*

WYSOCKI Taak... (*pauza*) No, napijmy się. (*w milczeniu wychylają kieliszki; Wysocki tonem zwierzenia*) Ten folwark, wiecie może... to ze składek ziemiańskich. Tyle że nie miałem już sił sam obrabiać. (*usprawiedliwiająco*) Wziąłem to małżeństwo na wspólną kuchnię...

GILLER Folwarczek niebrzydki. (*nieokreślony gest ręką*) Ale nie tak powinno się wypłacać społeczeństwo swoim bohaterom. *Bobrowski wstaje, zamyka drzwi, wraca na swoje miejsce.*

WYSOCKI Nie mówmy już raz o tym. Nie chcę tych rozmów powtarzać. Mówmy o... Mochmackim. To on mi się przed chwilą zwidział, kiedy pan (*zwraca się do Bobrowskiego*) mówił.

BOBROWSKI Nie śmiałbym się porównywać z Mochmackim, ale w istocie – jest mi bliski. Tyle że to, co dla niego było radykalne, mnie wydaje się nieuniknioną koniecznością.

WYSOCKI Nie chcę, nie śmiem o tym myśleć. Zapewne masz pan rację, ale... ja już nie potrafię się przerobić. Ja się rodziłem w innym stuleciu, w szlacheckim dworze Jastrzębców. Świat

pokazywał mi się okrutnym, ale prostym. Tu była Polska, naród... tam car, Rosjanin, śmiertelny wróg. Pośrodku było wojsko. My. To, co zrobiłem – dyktowało mi serce i honor. Nie było w tym sprzeczności, choć kierowałem spiskiem i łamałem dawaną carowi przysięgę. Bo wyższym było boskie prawo przywiązania do Ojczyzny. I jednak – nie śmiałem podnieść ręki na Konstantego. A potem wiecie... ta wolność, kiedy już była, okazała się trudniejsza czasem niż niewola. Za trudna na mój prostacki umysł. A Maurycy rozumiał wszystko... więcej może niż wy teraz.

GILLER Dziś wielu z nas się na niego powołuje.

WYSOCKI Dziś! Cóż, dzisiaj wszystko jest inne. Pięć lat już mieszkam w Polsce – waszej Polsce – a ciągle jej nie rozumiem. To inny kraj... jakichś biednych, wystraszonych ludzi, którzy siebie nawzajem bardziej się lękają niż knuta i Sybiru. Chłopem straszą szlachtę, szlachtą chłopów, Żydami mieszczan, wszystkich niemieckimi urzędnikami. A czynownicy – Polacy. A i sam margrabia – też Polak przecież. Nie brakło i za naszych czasów Judaszów przedawczyków, powszechnie pogardzanych. Teraz – każdy może być tajnym agentem, szpiclem, żandarmem przebranym. Carskim albo narodowym. Jak tu rządem – choćby i ukrytym – kierować? Jak walczyć i przeciw komu?

BOBROWSKI (*gorąco*) O, nie uwierzy pan, pułkowniku, jak ja to dobrze rozumiem. Chwilami chce się nienawidzić tego społeczeństwa i jego ciemnoty, w której się nurza jak w wodce. I już sam nie wiem, kto jest bardziej ciemny – ten chłop, o którym słusznie Agaton mówił, czy ziemianin i mieszczuch modlący się do Boga, by powstrzymał jakikolwiek ruch. I jeden, i drugi nic nie wiedzą, niczego nie chcą i nie rozumieją. Ci sami ludzie, co w patriotycznej egzaltacji, jakby się wódki opiwszy, gotowi są iść procesją prosto na lufy, potem w lesie uciekają na huk pierwszego wystrzału... Albo spiskują, intrygują, donoszą nawet. (*zdenerwowany*) Ja już czasem nie wiem, gdzie jest ta Polska i gdzie Polacy. Urzędnicy ruszczeją, Galicjanie idą ręką w rękę z Wiedniem, na Pomorzu, w Księstwie – niemiecka kolonizacja. A Polacy wszędzie – od Londynu po Kam-

czatkę. I więcej ich może dziś, i lepiej myślących – w Paryżu albo Charkowie niż w Warszawie! (*przez chwilę dyszy ciężko*) I kto dziś jeszcze w ogóle Polak? Wszędzie niemieckie nazwiska, wszędzie jacyś ludzie dziwni, nie wiedzieć skąd się biorący, czego chcący...

GILLER (*z goryczą*) Wybacz, ale w swych pasjach zapędzasz się za daleko. (*wstaje*) Może i mnie powiesz, że nie Polak, nie patriota – tylko dlatego, że nazywam się z francuska, a ty jesteś ze starej szlachty? Może nie jest Polakiem Szwarce, Awejde?

WYSOCKI Racja... (*do Bobrowskiego*) To nie argumenta, mój panie. Toż Niemcem, jeśli chcesz, był i czcigodny Lelewel.

GILLER Gdzie Polak, pytasz? Prawda, że trudno go znaleźć, kiedy taki generał Gerstenzweig, twardy, policyjny łeb – inna rzecz, że go sobie z pistoletu rozwalił, co było słuszną karą bożą, ten Gerstenzweig – to wnuk Madalińskiego, narodowego bohatera! A znów inny wnuk, pułkownik Hauke-Bossak*, świetnie sobie w partii poczynający, to... niedawny cesarski adiutant, z najgorszych zruszczonych Hauków. Ot, z tej samej litewskiej szlachty masz – tu Sierakowski, tam oberpolicmajster Piłsudski, co naszych goni. Wybaczcie, panowie, rozgniewałem się, ale też twoje, Stefanie, skrajności, do żywego mi dopiekły.

BOBROWSKI (*cicho*) Wybacz, nadto się uniosłem.

GILLER Nie ma już o czym mówić. Ale ta nasza kłótnia to najlepszy znak, że trzeba zaniechać dysput. (*zwraca się do Wysockiego*) Przy okazji uraczyliśmy pułkownika sporą ilością informacji, przed którymi wcześniej się bronił.

WYSOCKI (*przygnębiony*) A już się nie broni... Nie przekonaliście mnie, panowie, ani do swej sprawy, ani do waszego rządu... Ba! Jeśli jego posiedzenia są naszemu dzisiejszemu podobne, to nie chciałbym nawet słyszeć o nich! (*pauza*) A jednak już się nie bronię. Toć, gdyby nas obu aresztem Chłopicki nie pogodził, pewnie byśmy się z Maurycym tak jak wy za głowy

* Pozwalam sobie w tym miejscu świadomie na nieścisłość – w rzeczywistości Hauke-Bossak przystąpił do powstania dopiero we wrześniu 1863 roku.

brali. Im dłużej was słucham, tym bardziej mi to wszystko nie-miłe, ale właśnie dlatego... dla tej Polski, którą tak dobrze pamiętam... czuję, że nie mogę udziału w waszej sprawie odmawiać.

GILLER W sprawie narodowej, panie pułkowniku, bo każdy z nas, proszę wierzyć, Ojczyznę ma przede wszystkim na względzie.

WYSOCKI Ba, w to wierzę... Ale jaką? Jaka ma być ta Ojczyzna. Bo dla mnie zawsze była jedna. Innej nie rozumiem.

Ciężkie milczenie.

BOBROWSKI „Szli krzycząc: «Polska! Polska!»”... jak wy, panie Wysocki, jak my teraz...

Wysocki w milczeniu, poważnie, kloni głowę.

BOBROWSKI „... – wtem jednego razu

Chcąc krzyczeć zapomnieli na ustach wyrazu;

Pewni jednak, że Pan Bóg do synów się przyzna,

Szli dalej krzycząc: «Boże! ojczyzna! ojczyzna».

Wtem Bóg z Mojżeszowego pokazał się krzaka,

Spojrzał na te krzyczące i zapytał: «Jaka?»”.

Milczenie. Wysocki przez chwilę porusza ustami, jakby przepowiadał ostatnie strofy wiersza; potem nalewa wódkę.

BOBROWSKI To Słowacki. A wiersz sprzed piętnastu lat.

WYSOCKI (*wychylając kieliszek*) I my swoich poetów przepowiadaliśmy.

BOBROWSKI Tych samych.

WYSOCKI Tym lepiej... (*energicznie*) Niech więc poeci dylemata rozstrzygają. Dla mnie narodowa sprawa jest zawsze jedna. (*wstaje, do Gillera*) Mój panie Agatonie, przyjmuję twoją propozycję i jestem gotów wrócić... na służbę.

GILLER (*wstając również*) Bardzo się cieszę...

WYSOCKI (*przerzywa*) Ale nie ma oczywiście mowy o rządzie. Dajcie mi partię albo komisarstwo – zgoda. Do niczego innego już się nie nadaję.

BOBROWSKI (*uprzedzając Gillera*) Będę szczery, panie pułkowniku... Nie jestem wcale zwolennikiem tworzenia jawnego rządu. To rzecz trudna, a efekt niepewny. A jednak powiadam

z przekonaniem, że powinien pan wejść w skład rządu! Właśnie pan, sam siebie obwiniający o niezrozumienie dla naszych spraw. Pan ze swoją pamięcią innej Polski i innego żołnierza. Kto wie, może mnie niedługo zabraknie, a przy panu... przy pana obecności, może choć kłamać niektórym będzie trudniej. WYSOCKI (*zdumiony*) Dlaczegoż ma pana braknąć?

BOBROWSKI A dlaczego Chłopicki Mochnackiego ścigał? Oto i cała odpowiedź. Jeśli mnie carski żandarm nie pochwyti, kto wie, czy rodacy nie przyślą własnego? Ale dosyć o tym. Czy pan się decyduje, panie pułkowniku?

WYSOCKI (*nerwowo*) Nie, nie... to niepodobna. Ja w Warszawie, do której wjazd jest mi surowo wzbroniony? Z fałszywym paszportem? Nie potrafię, nie umiem.

GILLER Proszę pamiętać, że rząd ma się wkrótce ujawnić. A – jeśli nie uda się w ciągu paru miesięcy wyswobodzić choć kawałka kraju – rząd może działać na emigracji. Najlepiej w Szwajcarii. Oczywiście, na miejscu musi pozostać jakiś Wydział Wykonawczy, który tajemnie będzie kierował całą robotą. Ale prezydent i sekretarz mogą rezydować za granicą, reprezentując nas wobec Europy i kontrasygnując ważniejsze decyzje w oczekiwaniu na rychły powrót.

BOBROWSKI (*niecierpliwie, ale cicho*) Nie o to mi chodziło.

WYSOCKI (*zamysłony*) To gdy ja chcę do lasu, on mnie za granicę... (*śmieje się*) Ha, ha... to paradne... czy wiecie, panowie, że to już druga dzisiaj propozycja wyjazdu? Widać naprawdę nie jestem już tu potrzebny. (*do siebie*) Wszyscy chcą, żebym wyjeżdżał, albo uciekając od powstania, albo wywożąc je ze sobą. Ha, ha...

GILLER (*stanowczo*) Jest pan bardzo potrzebny... rewolucji. Ale tu, w kraju, możliwości działania są rzeczywiście skromne. Jest pan zbyt znany, by pojawić się w Warszawie, a do partii iść – i zginąć... zawsze będzie pora. Prawdziwie wielkie usługi oddałby pan nam w Szwajcarii.

WYSOCKI (*do siebie*) Sam... W Szwajcarii... Z jakimś sekretarzem. (*otrząsa się*) Wiecie, panowie, że ja nigdy nie wyjeżdżałem... na Zachód. (*śmieje się*) No, Wschód znam dobrze... rzecz jasna.

Milczenie. Bobrowski, sprawdzwszy godzinę, wstaje.

BOBROWSKI Wybaczy pan, pułkowniku, ale muszę pana pożegnać. Agaton będzie wracał do Warszawy, ale ja mam zamówiony powóz w przeciwną stronę. Czas na mnie.

WYSOCKI (*przymrużając*) Opuszcza pan nas... I dokąd?

BOBROWSKI Jeszcze raz proszę o wybaczenie, tym bardziej że nie mogę zdradzić celu podróży. Giller jest pełnomocnym przedstawicielem rządu, więc jemu powie pan o swojej decyzji. (*wyciąga dłoń do Wysockiego*)

WYSOCKI (*przytrzymując jego dłoń*) Dziękuję. Niech pan mnie wspomni kiedy, gdy pan sięgnie mego wieku. (*do Gillera, konkretnie*) Cóż, myślę, że znam w pełni waszą propozycję. Nie mogę teraz udzielić stanowczej odpowiedzi. Czy zgodzi się pan przyjechać, Agatonie, za dni kilka? Muszę wszystko rozważyć, przemyśleć.

GILLER (*kłaniając się*) Oczywiście!

WYSOCKI A więc zgoda. Umówmy się... powiedzmy za cztery dni – czternastego kwietnia. Już mam jedną wizytę w tym czasie umówioną.

GILLER Przybędę o tej porze co dzisiaj. (*Wysocki podaje mu rękę, po czym zwraca się do Bobrowskiego*)

WYSOCKI Pana też proszę, bardzo serdecznie.

BOBROWSKI Dziękuję, ale obawiam się... że to niemożliwe. *Chwila milczenia. Giller odwraca się i wychodzi, za nim Bobrowski. Wysocki odprowadza ich do drzwi. W sieni pojawia się Tabaczyński – podaje gościom okrycia.*

GILLER (*w progu*) Proszę wybaczyć, jeśli pana uraziłem. I proszę pamiętać, jak bardzo na pana liczę. (*nieświadomie używa liczby pojedynczej*)

WYSOCKI Pamiętam... o jednym i o drugim.

Giller z Bobrowskim wychodzą. Wysocki szybkim krokiem wraca do salonu. Staje na środku, zamyślony. W progu pojawia się Tabaczyńska, chce coś powiedzieć, ale Wysocki – nie widząc jej – bierze ze stołu butelkę i znika w sypialni. Tabaczyńska ze złością wzrusza ramionami.

Kurtyna

Akt 2

To samo miejsce, scenografia bez zmian. Wczesne popołudnie 14 kwietnia 1863 roku. Wysocki w porannym stroju, którego nie zdąży już zmienić do końca aktu, kończy posiłek składający się z talerza kaszy i kubka mleka. Obok niego siedzi Tomasz Liciński, zamożny ziemianin, dawny przyjaciel i podkomendny Wysockiego.

WYSOCKI (*niecierpliwie*) Andrzej! Andrzej!

LICIŃSKI (*niepewnie*) Cieszę się, znajdując cię w dobrym zdrowiu...

WYSOCKI A co? Ha, dziad ze mnie, ale twardy. No, gdzież się ten Andrzej podziewa?

LICIŃSKI Siły ci nie brak, to wiem, ale i na duchu wydajesz się być pokrzepionym.

WYSOCKI To chyba dobrze przecież?

LICIŃSKI Tak, ale... (*urywa na wejście Tabaczyńskiego, który zatrzymuje się w progu*)

WYSOCKI Zabierz to. (*wskazuje na resztki posiłku; do Licińskiego*) Więc niczego nie można ci podać?

LICIŃSKI (*szybko*) Nie, nie, dziękuję... (*czeka na wyjście Tabaczyńskiego*) Cieszę się, że cię znajduję pełnym energii, ale sam tego o sobie, niestety, powiedzieć nie mogę. (*zniża głos*) Jestem przerażony tym, co się dzieje. Partii ciągle przybywa, krew się leje, a to przecież samobójstwo.

WYSOCKI (*z niechęcią*) At – przesadzasz. Nie mówiłbyś tak w Listopadzie.

LICIŃSKI W Listopadzie byłem młody, zgoda... Ale przecież wiedziałem, co robię...

WYSOCKI Oni też wiedzą, ci z partyj, zapewniam cię!

LICIŃSKI (*kręcąc głową*) Nie wiem, skąd w tobie takie przekonanie. Zresztą – oto nie ich się boję, tych młodzików, tylko

mojego własnego kmiotka! (*prawie szeptem*) I tego, do czego może go popchnąć imperator.

WYSOCKI (*z niechęcią*) Przesadzasz, mój Tomaszu, już ty byłeś zawsze dla swoich ludzi jak ojciec.

LICIŃSKI (*ze smutkiem*) Ale oni nie chcą być synami... (*urywa gwałtownie widząc wchodzącego Tabaczyńskiego*)

WYSOCKI (*niecierpliwie*) Czego jeszcze?

TABACZYŃSKI Bo to... przepraszam, panie pułkowniku, ale dopiero teraz mi Julia powiedziała, że z rana pani hrabina przyjeżdżała.

WYSOCKI (*żywo*) Hrabina? Pani Karska? Czemuś mnie nie zbudził, niedołągo?

TABACZYŃSKI Kiedy nie mogłem, bo do kupców chodziłem. Julia ino z panią hrabiną rozmawiała.

WYSOCKI I cóż pani hrabina mówiła? Czemu nie poczekała?

TABACZYŃSKI To ja już nie wiem, panie pułkowniku.

WYSOCKI Więc na co czekasz – wołaj żonę!

TABACZYŃSKI Kiedy poszła bydlęciu zadać... Jak wróci, powiem. (*wychodzi*)

WYSOCKI Widzisz, jak los mnie pokarał... Tymi kurami, folwarczkiem, pyską gospodynią... (*macha ręką*)

LICIŃSKI (*z ożywieniem*) Ale przecież szykuje się jakaś odmiana. Przyjeżdżała Karska... Więc to prawda, co mówią, że macie się pobrać? (*Wysocki pochmurnieje, Liciński szybko*) To wspaniała kobieta, wierz mi! Bardzo dobrze zrobisz, jeśli z nią wyjedziesz. Tu już nie ma na co czekać.

WYSOCKI (*szydlerczo*) Więc miałbym wziąć ślub po to, żeby stąd uciec?

LICIŃSKI (*przestraszony*) Ależ nie to miałem na myśli.

WYSOCKI (*przerywa mu*) Mniejsza z tym, coś sobie umyślił. Ale skąd właściwie twoja pewność, że mam się zenić?

LICIŃSKI (*niepewnie*) Wszędzie o tym mówią – w Warszawie, tu po dworach... Ponoć paszport na twoje imię już wystawiony? I szukasz kupca na wójtostwo? Chętnie ci pomogę, ułatwię... Zresztą wystarczy twoja plenipotencja... i możesz jechać. (*Wysocki zasepia się coraz widoczniej; Liciński konfi-*

dencjonalnie) Mówią w Warszawie, że sam margrabia się z tego małżeństwa cieszy. Boją się ciebie, Piotrze! ... A znów inni powiadają, że ten ślub to tylko kamuflaż i jeśli wyjedziesz, to z misją od rządu.

WYSOCKI (*gwaltownie*) Dość tego! Ja sam nic jeszcze nie wiem, nic nie postanowiłem, ale to widzę, już mi i tak role rozdają, aktora chcą ze mnie zrobić!

LICIŃSKI Tak nie mów, proszę. Karskiej na tobie zależy, a inni, ot – z życzliwości, ciekawości...

WYSOCKI W moje życie nieproszeni włączą? O to ci idzie?

LICIŃSKI Mój Piotrze, wiesz, że od czasów spisku nie masz wierniejszego ode mnie przyjaciela... Pozwól sobie doradzić.

WYSOCKI I cóż mi proponujesz?

LICIŃSKI Wyjeżdżaj stąd, Piotrze, jak najszybciej. Jeśli nadarza się okazja, by przerwać... cóż, nie mogę tego nazwać inaczej... odmienić tę (*szuka słowa*) skromną kondycję, w jaką popadłeś, to nie ma się nad czym zastanawiać.

WYSOCKI Otóż jest! Czy myślisz, że już niczego w świecie nie ma poza jakimś Paryżem albo dostatkiem względnym i dożywotnim? Czy mogę dziś, w tak rozpaczliwej chwili, myśleć o tym, jak swój los poprawić? Wstyd mi tego słuchać nawet.

LICIŃSKI (*z zażenowaniem*) Przepraszam, nie chciałem cię obrazić – chcę tylko twego dobra i spokoju, wierz mi!

WYSOCKI Ba! – wierzę... Ale czy ktokolwiek z was pomyślał, że ja mogę nie chcieć spokoju?

Skrzypienie drzwi, wchodzi Tabaczyńska, wycierając w brudny fartuch parujące ręce.

TABACZYŃSKA Jestem, jak pan chciał...

WYSOCKI Niech mi Tabaczyńska powie, jak to było, kiedy pani hrabina przyjechała.

TABACZYŃSKA No, a jakby... zwyczajnie. Pan pułkownik jeszcze spał, to i pani hrabina nie była kontenta. Postąła, postąła, budzić nie kazała. I poszła. Jeszcze się mnie wypytała o gospodarkę. Niby o wójtostwo. Jak idzie, ile zysku daje. Jakby był jaki zysk...

WYSOCKI (*niecierpliwie*) Nic więcej nie mówiła?

TABACZYŃSKA A jakżeby!... Że pod wieczór wróci. Do księdza proboszcza Wronikowskiego tera pojechała.

WYSOCKI (*do siebie*) A więc wróci.

TABACZYŃSKA (*ironicznie*) Oooo, też by miała nie wrócić. Już ona swoją drogę zna.

WYSOCKI (*stanowczo*) Dziękuję Tabaczyńskiej...

TABACZYŃSKA Kiedy bo ja... jeszcze chciałam spytać pana pułkownika...

WYSOCKI Słucham?

TABACZYŃSKA ... wedle majątku. Znaczy się – wójtostwa. Bo jak ma być sprzedane, to przecie i o nas trzeba pamiętać.

WYSOCKI A któż powiedział, że ma być sprzedane?

TABACZYŃSKA Już ja swoje wiem! Nie na darmo ta... przyjeżdża. Za naszą krzywdą wszystko się dzieje! A nie na to się w wysługi godziłam, żeby tera o dziadowskim chlebie pójść!

LICIŃSKI (*wzburzony*) Moja Tabaczyńska! Opamiętajcie się, kobieto. Wspomnij, do kogo mówisz! Pan pułkownik cię karmi, a ja cię tu godziłem. I nie do posług, tylko do opieki nad panem Wysockim.

TABACZYŃSKA Opieki to od nas nie brak, jaśnie panie, ale i o sobie musimy przecie pamiętać. A pan pułkownik o siebie samego zadbać nie potrafi, to gdzieby o nas miał staranie...

LICIŃSKI Ależ opamiętaj się, kobieto! Przecież to twój gospodarz!

TABACZYŃSKA (*porywczo*) Tak samo pan pułkownik nie był tu dziedzicem jak i my. Także samo z łaskawego chleba żyjemy.

LICIŃSKI (*zdenierwowany*) Idź precz, niewdzięczna kobieto! Obrazasz i mnie, i swojego gospodarza.

TABACZYŃSKA A pójdę, pójdę, nie trza na mnie krzyczyć. Ale niech to jaśnie pan zakonotuje (*groźnie*) że i o nas trza pamiętać! (*wychodzi*)

LICIŃSKI (*wzburzony*) I jakże możesz to znosić, Piotrze? Tę obmierzłą babę i... całe swoje obecne położenie?

WYSOCKI Jestem wystudzony mrozami Północy. A jeśli idzie o moje położenie... cóż, ta baba miała rację – tak samo jak i ona żyję z łaskawego chleba. (*Liciński chce mu przerwać, ale*

Wysocki nie pozwala, podnosząc głos) Ty wiesz o tym najlepiej, bo gdyby nie twoje, i innych, ruble, nie miałbym nawet i tego mająteczku!

LICIŃSKI (*przygnębiony*) Przecież to nie była jałmużna.

WYSOCKI Wiem o tym. Ale wy nie wiecie, że Wysocki jeszcze nie trup, jeszcze nie dziad, co z łaski żyje. Nie dla mnie Wiednie i Paryże, ale może i z tej Warki raz wreszcie się wyrwę!

LICIŃSKI Gdybyś tylko raz wreszcie zechciał.

WYSOCKI Ożenić się z Karską, tak?

LICIŃSKI Nie! W twoje sprawy nie wchodzę, już to powiedziałem. Ale przecież masz nas, swoich przyjaciół.

WYSOCKI A wy – co? Składkę nową zrobicie, żeby mnie z Warki przenieść do jakiejś innej Kalwarii?

LICIŃSKI Nie o to mi idzie. Sądzę, że mógłbyś wrócić do Warszawy!

WYSOCKI Teraz? Przecież od pięciu lat mi stolicy bronią.

LICIŃSKI (*niepewnie*) Zrozum mnie dobrze, Piotrze... Nie posądzaj o złe intencje...

WYSOCKI (*przerywa mu*) Boisz się, że cię źle osądzę? Ależ nie poznaję cię, stary przyjacielu?

LICIŃSKI (*z desperacją*) Zrozum, Piotrze, że jeśli nie wyjedziesz z Karską – twoja sytuacja może się skomplikować.

WYSOCKI Nie rozumiem?

LICIŃSKI To proste! Nie jesteś przecież zwyczajnym obywatelem. Wcześniej czy później przypomną sobie o twoich zasługach... jedni i drudzy! Ci z lasu, jestem pewny, będą cię ciągnąć na swoją stronę, a znów Konstanty da pilne baczenie.

WYSOCKI (*śmieje się*) Oho! Już teraz żandarmi z Kalwarii co i rusz o mnie pytają.

LICIŃSKI (*szybko*) Więc sam widzisz, jak groźną jest sytuacja.

WYSOCKI I cóż może mi ten żandarm zrobić?

LICIŃSKI Ależ nie idzie tylko o to, co możesz stracić. Również i o to, co mógłbyś zyskać!

WYSOCKI Warszawa, tak? Ten miraż, nierealny dla mnie?

LICIŃSKI Również zgoda na osiedlenie się w stolicy, tak sądzę. Ale nie tylko o to chodzi...

WYSOCKI Więc o cóż wreszcie? Mój Tomaszu, płaczesz się jak podchorąży, co nie umie wydać lekcji.

LICIŃSKI Więc raz już powiem wprost. Wielu ludzi spośród ziemianstwa, a między nimi i ja, i ty przecież, myśli ze zgrozą o trwającym powstaniu. To dla narodu klęska, z której możemy się już nie podnieść. Ale nie wystarczy tylko po cichu desperować, trzeba raz głośno powiedzieć, co się myśli...

WYSOCKI (*wzburzony*) I poprzec cara, tak? Z Konstantym ręką w rękę iść?

LICIŃSKI (*pośpiesznie*) Ależ nie, mój Piotrze! Przecież nie chcemy szkodzić tej pogubionej młodzieży. Nikt nie myśli jawnie cara popierać. Ale ot... gdyby kto ze starszych bohaterów, ktoś z takim imieniem jak ty... zabrał głos publicznie... głos moralny – i nie zawahał się potępić ukrytych sprawców tego szaleństwa. O – taki głos miałby na pewno wielkie znaczenie.

Wysocki milczy.

LICIŃSKI (*niepewnie*) Najgorsze dziś to, że wszyscy milczą. Siebie nawzajem się boimy. Ale gdyby się raz kto odezwał... Nie tu, rzecz jasna, ale można coś do krakowskich gazet napisać, a potem...

WYSOCKI (*przerywa mu*) A potem mógłbym już sobie jechać rezydować do Szwajcarii... W nagrodę!

LICIŃSKI (*szybko*) Albo wrócić do Warszawy! Nikt by już się nie odważył tego ci bronić.

WYSOCKI A więc miałbym kupować sobie wolność? Za cenę zaprzaństwa?

LICIŃSKI (*żalośnie*) Ależ nie, nie, mój Piotrze! Och, tak się bałem, że mnie źle zrozumiesz... a przecież idzie tylko o dobro kraju. A że i ty możesz przy tym skorzystać? I cóż z tego, co sobie niechętni pomyślą – należy ci się już jakaś nagroda po tylu wysługach, a intencje twoje są czyste!

WYSOCKI A twoje intencje, Tomaszu?

LICIŃSKI Ależ, nie rozumiem? Czy sądzisz, że ja... nie, to niemożliwe.

WYSOCKI Wszystko jest już dla mnie możliwe – dzisiaj. Ale nie mówmy o tym. W ogóle nie mówmy o mnie. Do żadnych

gazet pisał nie będę, powstania nie potępię. To zapamiętaj! A od innych moich spraw – wszystkim wara. Sam jeszcze mogę o sobie stanowić.

LICIŃSKI Przecież nie chcę ci niczego narzucać... Jakżebym mógł. Ale powiedz mi, Piotrze, bo to już rozpacz prawie, może już nic nie wiem, nic nie rozumiem... może jestem za stary...
(*waha się*)

WYSOCKI No mów, mów.

LICIŃSKI Mój Piotrze, czy ty naprawdę, tak z serca, nie potępiasz tej nieszczonej rewolucji?

WYSOCKI (*stanowczo*) Wy wszyscy zawsze o jednym i jedno: osądzać, skazywać; w moralne trybunały się bawicie! A jakież ty masz prawo, mój Tadeuszu, kogokolwiek osądzać, popierać albo potępiać? Któż dał ci to prawo? Kto cię sędzią cudzych czynów zrobił? (*zły*) Czy u nas zawsze tak być musi, że nikt nikomu żadnej sprawy dokończyć nie da, tylko od razu spieszy rozliczać, zyski i straty rachować, a wszystko to z moralnego stanowiska, na które przecież nominacji nie dają.

LICIŃSKI (*żałośnie*) No, niektórzy je mają... z wyboru narodu, za swoje poświęcenie, za czyny. Ty masz takie stanowisko, Piotrze.

WYSOCKI (*macha lekceważąco ręką*) I cóż ono warte? Tyle, co to wójtostwo. A kiedy wartość ma? Oto wtedy tylko, gdy komuś jest moje nazwisko potrzebne... I dlatego, mój Tomaszu, ja, ja powiem ci, że wszyscy my, starzy, nie mamy prawa oceniać młodych, a choćby i szalonych... jeśli już sami nie mamy dość ducha, żeby szablę zdjąć ze ściany.

LICIŃSKI (*z rosnącym zdumieniem*) Więc cóż robić właściwie? Co ja mógłbym dzisiaj zrobić?

Słychać pukanie do zewnętrznych drzwi, potem ruch w sieni.

WYSOCKI To już każdy musi rozstrzygnąć podług własnego sumienia.

Pukanie do drzwi salonu, wchodzi Giller. Wysocki wstaje. Giller poważny, o twarzy naznaczonej zmęczeniem i niepewnością.

WYSOCKI A, to pan! Czekałem niecierpliwie.

Wysocki dokonuje prezentacji, po której zapada chwila niezręcznego milczenia.

LICIŃSKI (*przyglądając się bacznie Gillerowi*) Cóż, ja chyba się pożegnam. Obyśmy doczekali lepszych czasów, Piotrze.

Wysocki odprowadza Licińskiego do drzwi, które starannie za nim zamyka. Wraca do Gillera, sadowi go na krzesle, sam zajmuje drugie.

WYSOCKI Cieszę się, że pana widzę... Czekałem, nie ukrywam. I rozmyślałem przez te dni – jak nigdy może.

GILLER (*niespokojnie*) Proszę wybaczyć – ale chyba u nikogo nie szukał pan rady? Ten ziemianin...

WYSOCKI To mój dawny podchorąży – Liciński. Z Listopada! Pogubiony dzisiaj, jak my wszyscy, ale – człowiek o przeszłości nieskazitelnej.

GILLER Och, czasem tak mało to znaczy, panie pułkowniku. Ludzie się zmieniają.

WYSOCKI (*bliski gniewu*) A zmieniają, zmieniają... Ja też się zmieniłem – i cóż stąd?

GILLER Proszę wybaczyć – chyba robię się przewrażliwiony.

WYSOCKI I wcale się nie dziwię: pod ziemią żyjąc, drugą twarz mając, wciąż ukrywając się i klucząc – trudno o spokojność duszy.

GILLER A jednak ścisła konspiracja naszych prac jest naszym głównym atutem. Policja wciąż jest bezradna wobec organizacji narodowej. Zresztą wie pan, iż chcemy wyjść z podziemia.

WYSOCKI Wiem i powiem panu, że to mój warunek główny przed przystąpieniem do sprawy. Ja się pod ziemię chował nie będę, fałszywych papierów do ręki nie wezmę!

GILLER A więc w ogóle, przy pewnych warunkach, zgadza się pan na naszą propozycję?

WYSOCKI Nie powiedziałem: „nie” już pierwszej, a to wiele. Dziś pan przyjechałeś po odpowiedź i będziesz ją miał. Ale nim powiem: „tak”, muszę jak najwięcej wiedzieć o was.

GILLER Dokładna znajomość warszawskich stosunków jest panu chyba zbyt cenna... Bo co tu ukrywać – sytuacja nie jest dobra i nie mogę ludzić siebie i pana nadzieją na jej rychłą poprawę.

WYSOCKI Więc nie ma też nadziei na ujawnienie rządu... i moje.

GILLER Mówiąc szczerze – nie. Ale pozostaje wariant drugi i ten obecnie chciałbym zaproponować. Myślę o jawnym rzędzie na emigracji, najlepiej w Szwajcarii. A ten utworzyć można w każdej chwili.

WYSOCKI (*powoli*) Rozumiem... (*do siebie*) Więc jednak jakaś fatalna siła nieuchronnie wypycha mnie z Polski. Choć ja wiem, że tylko tutaj jest moje miejsce!

GILLER W Szwajcarii też może nam pan oddać bezcenne usługi.

WYSOCKI Wam? To znaczy komu?

GILLER Ależ... rządowi, który reprezentuję.

WYSOCKI Tylko, że dziś reprezentujesz go pan i Bobrowski, a jutro... kto wie, może mój pan Liciński z Lechanic. Albo Mierosławski, albo – przez agentów – Wielopolski.

GILLER Tego mam nadzieję nie dożyć!

WYSOCKI (*ze złością*) Ale wykluczyć tego nie można.

GILLER To jasne, że skład rządu może i musi się zmieniać. Jesteśmy tylko sługami narodu i w każdej chwili gotowiśmy ustąpić pola godniejszym. Zresztą zawsze rząd mogą zmienić – aresztowania.

WYSOCKI (*spokojnie*) Wiem o tym i nie odmawiam wam ani powagi, ani zdolności do poświęceń. Ale zrozumże, panie Agatonie, moją sytuację. Ani was *personaliter* nie znam, ani ruchu, nawet idee są mi po części obce, więc gdybym chociaż był z wami razem, w Warszawie, a bodaj i gdziekolwiek – ot, w naszej Warce za plebanią, ale razem, w kupie... wtedy może i byłbym zdolny coś rozsądzić. Ale tam, na emigracji, w obcym mieście... Jakże pan sobie moją prezydenturę wyobrażasz?

GILLER Wiem, że to nie najlepsze rozwiązanie. A bodaj i złe może, ale cóż... innej możliwości teraz nie ma.

WYSOCKI Ale cóż przyjdzie z tego, że ja się gdzieś, w jakiejś Genewie, prezydentem nazwę?

GILLER Dla tamtejszego mieszczucha nic... (*zmęczonym głosem*) Ale to będzie sytuacja tylko tymczasowa. Oczywiście, w Warszawie pozostanie jakiś Wydział Wykonawczy, który pokieruje bieżącą robotą... ten gotów jestem sam prowadzić... Ale prawdziwy rząd skupi się wokół pana spośród najświetlej-

szych obywateli, których głosów nie zabraknie po wyzwoleniu choćby części kraju.

WYSOCKI Zgoda! Ale cóż ja właściwie miałbym robić w tej Szwajcarii?

GILLER Reprezentować interesy kraju wobec zagranicy.

WYSOCKI To jedno powtarzacie wszyscy jak lekcję dobrze wyuczoną. Wiem, wiem... Ale jak to ma wyglądać w istocie? Cóż – mam na największym placu w Genewie stanąć i krzyczyć do pospólstwa: patrzcie, oto jestem prezydentem Rzeczypospolitej, której nie ma?! Pomóście walczącemu ludowi! Więc o to tylko idzie, o filantropię?

GILLER Ależ nie. Proszę mi wierzyć. Chcemy władzy silnej i stabilnej, scalającej sprzeczne działania krajowe w dążeniu do zjednoczenia.

WYSOCKI Słowa, ciągle słowa! Wciąż słyszę o autorytecie, o sile, o zjednoczeniu. I gdzież mamy się jednoczyć? W Szwajcarii?

GILLER (*zmęczony*) To tylko etap... niezbędny, w dążeniu do ostatecznego celu.

WYSOCKI (*macha ręką*) I to już słyszałem, skończmy raz z frazesami. Widzi pan, Agatonie, ja swoją rolę widziałem trochę tak, jak o niej mówił Bobrowski – jako mediatora, starca, który będzie ponad kolorami frakcji przypominał uparcie i ciągle o zasadniczym interesie ojczyzny. Ale taką rolę mógłbym wypełniać tylko w kraju.

GILLER (*bez przekonania*) Z zagranicy pański głos jeszcze donośniej będzie się rozlegał.

WYSOCKI (*nie słuchając*) At... Ale powiedz mi, mój panie Agatonie, czemu nie przywozisz ze sobą Bobrowskiego? On by zrozumiał moje wątpliwości, a może i ostatecznie przekonał. Giller milczy, przestraszony jakby pytaniem Wysockiego.

WYSOCKI No, i cóż pan zamilkłeś?... (*gwałtownie, tknięty złym przecuciem*) Czy coś się stało z Bobrowskim? Mówże pan...

GILLER (*z wahaniem*) Jestem wstrząśnięty wiadomością, z którą dziś rano wyjechałem z Warszawy... Bobrowski nie żyje.

WYSOCKI Co? Co?... Jakże to możliwe? Przecież nie ruszył chyba ode mnie do partii?

GILLER Nie. Właściwie nikt z nas nie wiedział, dokąd się wybiera. Poprosił rząd o krótki urlop dla spraw prywatnych i do stał go, bo też od paru miesięcy pracował ponad siły. Ze mną pojechał właściwie przez przypadek – by uniknąć ryzyka politycznych kontroli na kolei.

WYSOCKI Ależ... on coś przeczuwał! Pamięta pan?

GILLER Tak... Jesteśmy wszyscy wstrząśnięci... Nie mówią już o tym, że śmierć Bobrowskiego fatalnie wpłynie na prace rządu, którymi praktycznie ostatnio kierował.

WYSOCKI Ale wciąż pan nie mówisz, co się właściwie stało? Więc nie zginął w walce, od nieprzyjaciół?

GILLER Dwa dni temu, dwunastego, został zastrzelony w pojedynku pod Rawiczem...

WYSOCKI (*wzburzony*) Co?! W pojedynku? On, człowiek rządu... W takiej chwili czas znajdować na honorowe sprawy? I ktoś śmiał go wyzwać... bo przecież sam chyba tego nie zrobił?

GILLER (*coraz bardziej niepewnie*) Oczywiście, że nie... Och, panie Piotrze, cięży mi ta sprawa na sercu, bo i ja jestem jej trochę winien...

WYSOCKI Pan? Ależ co to za intryga, u diabła? Mówże pan, co się właściwie stało.

GILLER Bobrowski strzelał się z hrabią Grabowskim, który odegrał dwuznaczną rolę w intrydze wynoszącej Langiewicza. Na pierwszą wiadomość o proklamowaniu dyktatury Bobrowski wyruszył do Krakowa ratować sytuację. Już na miejscu dowiedział się o internowaniu Langiewicza. Wydrukował wtedy manifest o ponownym przejęciu władzy przez Rząd Narodowy i zdemaskował Grabowskiego.

WYSOCKI I wtedy Grabowski go wyzwał, rozumiem! Ależ nie musiał przyjmować wyzwania od szalbierza!

GILLER Niezupełnie tak było... Po manifestacji Bobrowskiego założyliśmy komisję... bo i ja tam byłem... dla wyjaśnienia sprawy. Grabowski, gdy się na niej zjawił, podał Bobrowskiemu rękę, a ten jej nie przyjął. Stąd sprawa honorowa...

WYSOCKI (*przerywa mu*) A pan? Przecież pan też tam byłeś?

GILLER (z *wahaniem*) A ja... podałem mu rękę. (*wzrusza ramionami*) Cóż, nie mogłem wiedzieć, jak to się skończy. A teraz sam się winię o słabość, bo inaczej może potoczyłyby się wypadki, gdybyśmy obaj byli stanowczy.

WYSOCKI (z *oburzeniem*) I z tak błędnego powodu – pojedynek? Jak studenci-bursze, doprawdy. Ależ to niepodobna! Jakże można przywódcę rewolucji zmuszać, żeby się strzelał w takiej chwili! I to z kim – jakimś intrygantem...

GILLER Otóż sprawa się skomplikowała... Bobrowski nie mógł odmówić pojedyńku, bo sąd honorowy uznał zdolność Grabowskiego do żądania satysfakcji.

WYSOCKI Ale jak to? Przecież pan mówiłeś, że to intrygant? Że Bobrowski go zdemaskował?

GILLER Na początku tak wyglądało... Ale komisja, o której mówiłem, nie podtrzymała wszystkich zarzutów. Grabowski miał jednak jakieś pełnomocnictwa... od niektórych członków rządu. Wiemy na pewno o jednym, Królikowskim, który zresztą już ustąpił.

WYSOCKI (ze *zdumieniem*) Coraz mniej rozumiem, panie Agatonie. Jak to? Więc jest możliwe, by jeden członek rządu za plecami innych podejmował decyzje? Intrygi robił zmierzające do tegoż rządu obalenia?

GILLER (*bezradnie*) Całkowicie uniknąć tego się nie da... Jest rewolucja, więc jest i walka o władzę. A biali uciekają się do wszelkich metod.

WYSOCKI Cóż biali? Wasz rząd jest przecież czerwony? Więc i intryga od czerwonych wyszła, czyż nie tak? A wreszcie nawet jeśli i była czyjaś zdrada, nadal nie pojmuję, co mogło pchnąć Bobrowskiego w sytuację bez wyjścia... Jeśli Grabowski miał jakieś pełnomocnictwa, to nieprawne, bez pokrycia. I musiał przecież wiedzieć, że nie od całego rządu pochodzą. Więc tak czy inaczej był uzurpatorem.

GILLER A jednak sąd krakowski uznał pojedynek za konieczny. Cóż, Stefan mógł go chociaż przełożyć w czasie, odwlec, przecież teraz był tak potrzebny!

WYSOCKI I naprawdę nie mógł się bronić? Nie mógł przyprześć do muru intryganta?

GILLER Mógł. Ale był w trudnej sytuacji... widzi pan – Stefan używał w Warszawie fałszywego nazwiska Grabowski. I hrabia wykorzystał ten zbieg okoliczności, kiedy zjawił się w Krakowie. Nie musiał nawet podszywać się pod Stefana – po prostu przedstawił się swoim prawdziwym nazwiskiem i brano go za członka rządu. Stefan nie mógł mu robić z tego zarzutu, a wreszcie milczał, bo... bronił honoru rządu. Przecież cała ta sprawa była dla nas kompromitacją. Świadczyła o niezgodzie i różnicy zdań w ścisłym kierownictwie ruchu.

WYSOCKI Tym bardziej trzeba było mąciocieli nazwać po imieniu. Mówiłeś pan o jednym tylko, Królikowskim?

Giller milczy.

WYSOCKI Więc może nie był jedyny, co?

GILLER Grabowski zachowywał się bardzo swobodnie, bo rzeczywiście miał od pewnych osób wolną rękę dla swojego działania...

WYSOCKI A Bobrowski o tym wiedział i nie chciał kompromitować innych członków rządu, nawet jeśli byli nielojalni, czy tak?

GILLER W każdym razie... chyba się domyślał. I dlatego w decydującym momencie zmilczał. Kompromitacja Grabowskiego kompromitowałaby zarazem rząd.

WYSOCKI Poświęcił się dla sprawy! Tak niepewnej i trudnej.

GILLER Ależ nie mógł wtedy wiedzieć, że to się skończy wyzwaniem! Grabowski, nawet oczyszczony z zarzutów, powinien być wziąć nogi za pas i zmykać. I tak mało kto wierzył w jego niewinność...

WYSOCKI A tymczasem Grabowski wykorzystał poświęcenie Bobrowskiego i wyzwał go. A sąd to zatwierdził!

GILLER Tak to mniej więcej było.

WYSOCKI Ależ mój panie, toż to w takim razie nie żadna sprawa honorowa, ale zwykła jatka! Nie wiem nic o Grabowskim, ale przecież Bobrowski na trzy metry nic nie widział, nawet w okularach... Gdzie jemu było strzelać się z pistoletów! To przecież było zabójstwo w biały dzień. (*zaperza się coraz bardziej*) I pan na to pozwoliłeś? Pan i inni członkowie rządu? Jak mogliście bawić się w salony w czasie rewolucji!

GILLER W Krakowie to wszystko wygląda inaczej... Zresztą wyjechałem do Warszawy jeszcze przed wyzwaniem i wyrokiem sądu honorowego.

WYSOCKI Ale czegoś pan się musiałeś domyślać? Przecież wtedy... cztery dni temu... patrzyłeś na Bobrowskiego jak na umarłego?!

GILLER (*z lękiem*) Nie! Nie! Ja naprawdę nie chciałem jego śmierci! Przysięgam, że nie wiedziałem o planie krakowskim...

W końcu, czy to mało ludzi się strzela?

Chwila brzemiennej ciszy.

WYSOCKI (*wolno*) Więc jednak wiedziałeś o pojedynku?

GILLER (*z wahaniem*) Tak... Ale nie sądziłem, że jest za tym ukartowana intryga... że biali chcą go zabić!

WYSOCKI (*spokojnie*) Mój panie Agatonie, powiedz mi, proszę... Nie wiem, ilu was jest ani jak się organizujecie, zresztą to mniejsza... ale ktoś musi przecież wszystkim kierować, zwłaszcza po śmierci Bobrowskiego? Kto to jest?

GILLER Rząd się teraz przebudowuje... i mnie głównie zlecono tę misję.

WYSOCKI To jasne, inaczej nie byłoby pana u mnie.

GILLER (*niepewnie*) Proszę mi wierzyć, śmierć Bobrowskiego to dla nas wszystkich... również dla mnie cios, z którego trudno się podnieść.

WYSOCKI A jednak rząd się podnosi... Pan go podnosisz.

GILLER Służę, jak umiem...

WYSOCKI (*przerywa mu*) To już słyszałem... Ale konkretniej – teraz masz pan zapewne okazję, żeby zrealizować swoją ideę sojuszu, jednolitego frontu.

GILLER Biali zgłosili poparcie dla powstania jeszcze w marcu, przed dyktaturą.

WYSOCKI Ale przewagę w rządzie mieli ciągle czerwoni? A teraz to się zmieni?

GILLER Nie patrzę na kolory, tylko na rozum i oddanie sprawie.

WYSOCKI Ale tworzysz rząd od nowa... inny niż dotąd. I ja mam być jego prezydentem, po trupie Bobrowskiego.

GILLER (*z rozpaczą*) Ależ on sam namawiał pana do tego!

WYSOCKI I namówił! To prawda... on namówił, a nie pana frazesy. Ale myślałem, że będę pracował z takimi jak on, a jak widzę, samych krasomówców w rządzie zastanę.

GILLER Będzie pan i tak w Szwajcarii... choćby ze względu na bezpieczeństwo. A do pomocy może pan dostać najlepszych z naszego grona.

WYSOCKI Choćby pana?

GILLER To, obawiam się, niemożliwe. Muszę zostać w Warszawie, jako członek rządu o najdłuższym stażu.

WYSOCKI (z odcieniem szyderstwa) Więc będziemy rządzić we dwóch – pan w Polsce i ja w Szwajcarii...

GILLER Nie sami i nie zawsze.

WYSOCKI ... tylko że pan będziesz rządził rewolucją, a ja... swoim sekretarzem. Czy tak?

GILLER Pan mnie ciągle źle rozumie... Przecież pan, jako prezydent, będziesz kontrasygnować wszystkie nasze decyzje. A przynajmniej te ważniejsze.

Wysocki milczy.

GILLER (po pauzie) Zresztą to będzie sytuacja tylko tymczasowa. Gdy tylko wyzwolimy kawałek kraju – zacznie pan faktycznie sprawować władzę!

WYSOCKI Więc przedtem będę to robił tylko na niby? (*Giller chce coś powiedzieć, ale Wysocki mu nie pozwala*) I jakże to mam, gdzieś w Szwajcarii, podpisywać wasze tutejsze decyzje? Przecież, to by znaczyło podpisywać zarazem wasze fałsze, intrygi, przemieszczenia! Wasze pojedynki i niezgody! I to wszystko ja mam z dala błogosławić? Tego pan ode mnie chcesz?

Giller usiłuje mu przerwać.

WYSOCKI I jeszcze każeś mi wierzyć, że za miesiąc czy dwa, czy bodaj rok, kiedy wrócę... oddasz mi władzę? Każeś mi wierzyć w swoją wielkoduszność? Ty, który nie wstydziliś się podać ręki zdrajcy?

GILLER (*wstając, bardzo stanowczo*) Pan mnie źle rozumie, pułkowniku. Chyba nie powinniśmy ciągnąć tej rozmowy dłużej.

WYSOCKI Siadaj, Giller...

Pauza, po której Giller z rezygnacją opada na krzesło.

WYSOCKI Powiedz... to pełnomocnictwo Grabowski miał również od ciebie? Czy tak?

GILLER *milczy*.

WYSOCKI Ty zawsze chciałeś zjednoczenia... To ty dałeś się przekonać białym, że rewolucji potrzebna jest silna ręka dyktatora – za wszelką cenę? (*po pauzie*) To ciebie bronił swoim milczeniem Bobrowski? Czyż nie?

GILLER (*wybuch*) Tak, tak, tak! No i cóż z tego? Bobrowski sam dobrze wiedział, że przegrał. Chciał rewolucji socjalnej... idącej z dołu, z czworaków i fabryk. A sam musiał uważać, żeby go byle czeladnik nie wydał. On chciał podzielić naród jeszcze bardziej, podczas gdy ja chcę go scalić. Powstanie pewnie przegra i ludzić się w tym względzie nie sposób, ale jeśli teraz ramię w ramię wystąpimy, może kiedyś, za lat pięćdziesiąt, o wolność zacznie się dobijać naród! Naród, którego teraz nie ma, bo tak jest rozrywany sprzecznymi dążeniami klas. Przyjdzie kiedyś ta wojna, o którą już Mickiewicz się modlił... Wojna powszechna za wolność ludów. I wtedy w jednym szeregu muszą wystąpić Polacy. A i to nie sami... bo z nimi Litwin, Rusin, Żydowin... wszyscy mieszkańcy Rzeczypospolitej, co jest większą ideą nad chłopskie łany i szarwarki. Bobrowski był szalony! Bo choć jest prawdą cierpienie chłopka w jarzmie codziennego odrobku, to któż zawsze gotów był przelać krew, jak nie szlachta? I oto teraz, po raz pierwszy w długim szeregu narodowych insurekcji – jej tylko zdaje się brakować!

WYSOCKI (*porywcz*) Uważaj, mój panie! I ja jestem szlachcic!

GILLER Tak samo jak twój pan Liciński z Lechanic! (*po pauzie*) Proszę wybaczyć uniesienie... (*oddycha ciężko*) I o czym tu mówić... Bobrowski też był z dobrej szlachty. Może i dlatego zgodził się na ten samobójczy pojedynek? Bo szlachecki honor nie pozwalał odmawiać? A ja jestem z mieszczan i nie bałbym się machnąć ręką...

WYSOCKI A jednak pan należałeś do intrygi przeciw niemu skierowanej.

GILLER Bobrowski był romantyk. A to znaczy zawsze to samo – skrajność, nieprzejednanie, uparte stanie przy swoim. Cała ta

rewolucja jest romantyczna, zgoda. Przede wszystkim dlatego, że prawie szans nie ma. Ale przy okazji tej rewolucji można robić politykę – a ta bywa skuteczniejszą od romantycznych zapałów. I ja tę politykę robię, wierzej mi, panie Piotrze! Będziemy ją robić razem... bo dziś już nie te czasy, kiedy cała nacja mogła się wybić na niepodległość przez szarżę jednej rotty szwoleżerów.

Wysocki milczy.

GILLER (*po pauzie*) Oto wiesz pan, dlaczego Mierosławski jest naprawdę niebezpieczny? Bo chce wygrać całą wojnę – kosa- mi! Choć wcale nie jest pewnym, po której stronie te kosy staną. To dopiero romantyk! To wróg sprawy... bo zwodzi ją na manowce. Każe wierzyć w mrzonki... i gorzej nawet – sam w nie wierzy! I taki sam był Bobrowski. Wierzył w to, co nierealne, a nie chciał tego, co było w zasięgu ręki – ugody z białymi. Choćby i kosztem jakichś ustępstw, ale w imię politycznej jedności narodu! Ale tego Stefan nie widział; nie mógł zobaczyć zza swojego udręczonego szarwarkiem chłopa. I owszem, miał dużo racji. Tyle że to była racja groźna i zgubna, i straszna! Bo jedyną wojną, którą zawsze, od razu, można w Polsce rozpętać, jest wojna domowa. Taka, co się rozegra bez jednego cesarskiego żołnierza. Ale takiej wojny ja nie chcę i boję się jej strasznie zwycięstwa.

WYSOCKI (*otrząsając się*) Więc i mnie nią nie strasz! Wszyscy ze zgrozą potrząsacie sobie przed oczyma widmem tej kosy, która póki co rdzewieje pod powalą...

GILLER (*oskarżycielsko wskazując wiszącą nad biurkiem szablę*) ... tak samo jak wasze szablíce! (*po pauzie*) Uważam, że nie mamy prawa budzić instynktów skrywanych a ślepych... skoro nie jesteśmy w stanie nimi pokierować. Ale straszniejsza jeszcze wydaje mi się wizja jakiejś nowej Polski i nowego Polaka, który się zrodzi z popiołów takiego zwycięstwa. I nie wiem już – kto nim będzie? Jakiś ciemny, nieoświecony stwór, żyjący tylko pragnieniem zemsty i przykładający do wszystkiego miarę swych krzywd. Taki, który niczego nie widzi poza krwią, łzami, potem. I jakież to Polak będzie wtedy zwycięzcą? Może

silny, syty, odurzony zemstą, ale bezduszny. Pozbawiony pamięci pokoleń, poczucia wartości, nawet religii. Jak Azjata krwawy. Nie chcę takiego Polaka budzić!

WYSOCKI (*porywcz*) Tak mówisz, jakbyś ze mną na Syberii nie był! Jakbyś nie widział godnie cierpiących chłopów i hrabiów – ot, takich jak ten Grabowski – którzy swoją głęboką duszę oddawali prawosławnemu diabłu!

GILLER Widziałem ich! I cierpiałem! Ale nie będę ich zbawiał polskim diabłem... z kosami zamiast rogów!

WYSOCKI (*chwytając się za głowę*) Ależ nie mów mi, że ja tego chcę! To kłamstwo. (*z rozpacz*) Ale nie wiem już, nie wiem, jak się rozsząć w naszym położeniu?

GILLER Bo też jesteśmy w położeniu bez wyjścia. (*spokojnie*) Powstanie musiało wybuchnąć i zapewne będzie jeszcze trwało długo. Militarne szanse są nikłe, a mimo to nie możemy rozszerzać ruchu na szerokie warstwy nieoświeconego ludu. To zbyt ryzykowne.

WYSOCKI Cóż zostaje?

GILLER Niektórzy wierzą jeszcze we Francję, w interwencję mocarstw. Biali zgłosili akces do ruchu pod naciskiem Hotelu „Lambert”, który stałym podsycaniem walki chce dać Francji powód do wystąpienia.

WYSOCKI I ty w to wierzysz?

GILLER Nie, nie wierzę. To są arystokratyczne mrzonki. Zachód wolałby o nas zapomnieć, uwierzyć, że nie istniejemy. Nie tylko w formie państwa, bo to jasne... dla nich nie jesteśmy nawet narodem – zbiorowością, która może być samodzielnym podmiotem procesu dziejowego. Patrzą na nas jak na zbuntowanych Murzynów w koloniach.

WYSOCKI Ależ bluźnisz, mój Agatonie! To przecież właśnie stamtąd przyszła ta... ta... zaraza wolności, która i ciebie, i mnie, i nas wszystkich skazała na śmiertelną chorobę!

GILLER Zapewne – inaczej myśli Garibaldi, Mazzini czy Hugo, a czasem nawet prosty Francuz czy Anglik ujęty krzywdą słabszego. Ale oni ani nie decydują o polityce, ani nie przyjdą tu, do nas, zginąć pod jakąś Końskowolą.

WYSOCKI Czy to już nie cynizm przez ciebie przemawia? Rozpacz płynąca z przeczucia klęski?

GILLER To nie rozpacz. Poczucie rzeczywistości i realizm, którego zawsze tak bardzo naszym zrywom brakowało.

WYSOCKI I ty mówisz o realizmie? Ty, kierownik powstania, co jest szalone, a jak sam mówisz – nie warto go nawet rozszerzać. Czy wtedy, kiedy zaczynaliście rewolucję, też byłeś realista? Czy pomyślałeś o krwi lejącej się bez szansy i na darmo?

GILLER Los ginących w polu jest tragiczny... przyznaję. Ale powstanie to nie tylko partyzanckie potyczki. Ta wojna – leśna – toczy się i tak sama z siebie, prawie bez naszego wpływu. Bez możliwości zakończenia jej lub rozszerzenia... ze strony rządu. Ale powstał – ze śpiączki nieznośnej, z upodlenia – nie tylko żołnierz. To przebudzenie całego narodu, który zaczął szukać wolności już nie tylko w polu, jak dawniej bywało, ale przede wszystkim w sobie. Przegramy... ale ta klęska nas odmieni, wyjdziemy z tego inni, lepsi, chcę w to wierzyć...

WYSOCKI To straszne! Więc z klęski chcesz robić mszę? Do niej się modlić, jak do zbawienia?

GILLER Naszym doświadczeniem nie będzie klęska. To, czego się uczymy i czego już nie zapomnimy – to właśnie szukanie wolności we wspólnocie. Nawet pomiędzy bagnetami a Syberem! Nasz ruch pomaga ludziom odnaleźć swoje miejsce! Jeśli będzie jednoczył, to przetrwa wszelkie klęski militarne. Przetrwa jego idea i moralna władza rządu, który po raz pierwszy od stulecia potrafiliśmy z siebie wyłonić. To rząd podziemny, anonimowy... zgoda, ale jest! Powstał bez obcej inspiracji, bez cudzej protekcji, bez państwa, wojska, pieniędzy. Powstał z moralnej siły narodu, który pragnie wolności.

WYSOCKI (z *goryczą*) I po to, by naród miał moralną siłę, trzeba było Bobrowskiego zabić?

GILLER (*stanowczo*) Żałuję bardzo jego śmierci. To strata, której nic nie wyrówna... Ale Bobrowski był romantycznym fanatykiem, co swoje własne, indywidualne racje wysuwał nad potrzeby chwili i raz uchwyciwszy się jakiejś idei, raz pewien kodeks postępowania przyjąwszy, stosował go bez względu na

okoliczności. A tak postępować nie wolno, kiedy się sobie stawia ostateczne cele. Pan porównałeś, przy pierwszej naszej wizycie, Bobrowskiego z Mochnackim. I bodaj słusznie. Ale nam dziś tak samo Chłopiecy są niepotrzebni, jak i Mochnaccy... Trzeba nam zupełnie nowego działacza, polityka.

WYSOCKI A więc zapewne i Wysoccy wam niepotrzebni? To i dobrze!

GILLER (*szybko*) Rozmawiam z panem bardzo szczerze, bo rozumiałem, że pana akces do powstania już postanowiony.

WYSOCKI To jest stawianie mnie w przymusowej sytuacji.

GILLER Nie, to dowód jak bardzo jest pan nam potrzebny. Byłem szczery... bardziej niż powinienem?

WYSOCKI (*szyderczo*) Cenię... bo rozumiem, że rzadko się to panu zdarza. (*Giller chce coś powiedzieć, ale Wysocki ucisza go gestem; zaczyna się przechadzać wolnym, niemal starczym krokiem, garbi się*) Więc i ja będę szczery – bardziej niż gospodarzowi wypada. Kiedy przyjechaliście tu obaj z Bobrowskim – niechętnie was przyjąłem. Cóż... łatwo się w takim odludziu pielęgnują stare krzywdy i urazy. A mało kto o mnie przez całe lata pamiętał. Ale wy – kazaliście zapomnieć o sobie i na powrót myśleć o Polsce. Jak przed laty. Ale robi mi różnicę, jak i gdzie kości złożę. Gdyby mi Bóg Wszechmogący dał śmierć taką jak Sowińskiemu – ani chwili bym się nie wahał. Ale zginąć ze sztyletem w żebrach przez rodaków wbitym – o! tego mi już honor broni. (*Giller znów usiłuje przerwać, ale Wysocki mu nie pozwala*) A kiedy się już przekonałem, kiedy już, stary, uwierzyłem... pan mnie chcesz wysłać do Szwajcarii! Pan uczynasz mi mydlić oczy mrzonkami władzy! Chcesz ze mnie malowaną kukłę zrobić! Parawan dla swoich intryg!

Giller milczy.

WYSOCKI A wiesz ty, kto Krukowieckiego na dyktaturę wyniósł? Tego zdrajcę Warszawy przeklinanego przez dzieci? Oto Mochnacki, z którym potem onże nie wahał się rozprawić! Ale ty mnie nie musiałbyś się obawiać. (*szyderczo*) Myślisz, że tego zaraz nie zrozumiał? Potrzebujesz tylko mojego nazwiska, mojej sławy, niczego więcej! Podpisu na skrypcie, argumentu w dyskusji...

GILLER A jeśli nawet tak? Nie może mi pan zarzucić dwulico-
wości, bo od początku stawiam sprawy jasno.

WYSOCKI Tak wszystko rozjaśniłeś, wybieliłeś, żeś prawie swoje
ciemności przede mną ukrył. (*coraz gniewniej*) Więc po to ci
tylko byłem? Po to mnie po latach pamiętałeś? Żeby starego
otumanić i do zbrodni swoich użyć?!

GILLER Nasza sprawa wymaga czasem bezwzględności... to
prawda. Ale moje intencje są czyste! Romantyczne porywy...

WYSOCKI (*szyderczo*) Porywy?! A wiesz ty, jak ja wtedy, w Li-
stopadzie, byłem romantycznym? Ba! Wzruszenia... Głowy
mieliśmy pełne czadu od poezji i wydawało się nam, że w jedną
noc Europę wywrócimy... ale przecież byłem starszy od innych,
byłem im nauczycielem. I wiedziałem, że muszę bronić do duszy
przystępu melancholii, że muszę swoją wrażliwość przytępić, do
wojskowego płaszcza, do machorki i prochu przypasować. I po
co? Żeby rosnąć w siłę. Żeby być narzędziem narodu i Opatrz-
ności... I byłem... Bóg mi świadkiem miłosierny, byłem... Bez
nagrody, bez szarż i orderów, bez pamięci rodaków nawet. Ale
byłem! I wciąż rosłem w siłę, przez Listopad, przez wojnę, przez
Syberię... aż się stałem takim półczłowiekiem, który sam już nie
wie, czy żyje, czy jest tylko zjawą z litografii. I wracałem do
Polski – silny. I jeszcze pięć lat czekałem tutaj. A tych lat było za
wiele, za wiele Warki, spokojności, małych spraw i długich dni.
Czekałem i przepędzałem te strachy, co mi się z duszy nocą wy-
wlekały. Przepędzałem drżenie rąk i niepewność. I gorycz swoją.
Aż zrozumiałem, że za długo żyłem... (*milczy przez chwilę*) I już
nie jestem silny i dlatego właśnie, za słabość moją, za klęskę, za
mój lęk... chciałem usłyszeć w twoim wołaniu głos żyjącej Oj-
czyzny. (*podnosi głos*) Ale ty kłamiesz! Ty mnie zwodzisz i drwisz!
Zrozumiałem, że wolność dana jest silnym, lecz oni nie są godni
wolności, bo zaznają jej zabierając ją słabym i zawsze są narzę-
dziem niewoli. Włada nimi ich tępa siła, więc zawsze będą nie-
wolić innych. Jak ty mnie! (*dyszy ciężko*) Rządem mnie chciałeś
zniewolić, prezydentem, emigracją i szwajcarskim chlebem! (*krzy-
czy*) A nie pomyślałeś ty, że ja i w Warce zawsze Polakiem będę?
I choć jestem słaby, bo sam, to jestem silny – bo wolny. I tak jak

pozostałem Polakiem, tak nie zostanę prezydentem! Moja wierność Polsce jest wiernością sobie. A ty mnie kłamstwem i podłością usidlić chciałeś...

GILLER (*bardzo zdenerwowany*) I cóż z tego ? Czy mam się lękać swojej pewności celu i środków? Mam się dać unosić fali, kiedy mogę sterować okrętem? Dostyc mam tej naszej słabości, bez wyjścia i nadziei. Dostyc mam niepewności, wahań, ostrożności. Czy zawsze mamy się tylko modlić, gdy wokół dymi nasza krew?

WYSOCKI A cóż ty lepszego, godniejszego robisz? Gdy krew się leje – ty powstanie tłumisz! Wybuchnąc z siłą nie pozwalasz, ale i miłosiernie zgasnąć nie pozwalisz! Pożarem się bawisz, sam w ogień nie leżąc. O, tobie już nawet modlitwa nie przystoi.

GILLER (*prawie krzyczy*) Przecież nie mogę nic zrobić! Czy pan tego nie rozumie? Nie mogę ani rozszerzyć powstania, ani go zakończyć... a przynajmniej, nie mogę tego zrobić sam. Więc robię to, co mi jedynie pozostało. Nie jestem ani za Bobrowskim, ani za margrabią. Nie chcę intrygować z białymi, nie jestem szalony jak czerwoni. Jestem politykiem, a to znaczy, że muszę bronić tych ostatnich, które da się wyciągnąć z pożaru.

WYSOCKI (*szyderczo*) I cóż ty możesz jeszcze ocalić... powalnymi rękami?

GILLER To, co będzie wspólne w przyszłości... To, co dobre u białych i co niezbędne u czerwonych. To, co...

WYSOCKI (*przerywa mu; groźnie*) A wiesz ty co? Białe to są dla mnie gacie, a czerwona... pierzyna! Ona, biało-czerwona, nie da się dzielić i szarpać na sztuki. A póki będziecie ją szarpać i rozrywać... to nawet i ginąć za nią nie warto! (*chwila napiętej ciszy*) I czego czekasz jeszcze? Idź precz! Idź precz i nie wracaj!

Giller gwałtownie wstaje, bardzo wzburzony; krótka pauza, wahanie na twarzy Gillera, który nie wie, czy wyjść natychmiast, czy powiedzieć coś jeszcze, bronić się.

GILLER (*poważnie*) Pan zapomina, że nie ja jestem jego przeciwnikiem.

WYSOCKI (*patrzy na niego przenikliwie – mierzą się wzrokiem – wreszcie nie zmieniając pozycji, krzyczy*) Paszoł won!!

Giller robi gwałtowny krok do tyłu, potem odwraca się i szybko

wybiega, zostawiając otwarte drzwi od sieni. Wysocki przez chwilę trwa w bezruchu, potem szybko wstaje, wyciąga butelkę wódki. Nalewa sobie sporą miarkę i pije odwrócony tyłem do drzwi. W sieni pojawia się Karska. Widać, że weszła z kuchennej części mieszkania, a więc – być może – słyszała rozmowę między Wysockim i Gillerem. Karska nie mówiąc słowa zatrzymuje się w progu, przez dłuższą chwilę patrzy na Wysockiego.

WYSOCKI (odwracając się gwałtownie, jakby przyciągnięty jej spojrzeniem) To... ty? (zastyga z kieliszkiem w dłoni)

KARSKA Przecież miałam przyjechać właśnie dzisiaj.

WYSOCKI Pamiętam... Nie słyszałem, kiedy weszłaś.

KARSKA Jestem już od jakiegoś czasu. Czekałam u Tabaczyńskich.

WYSOCKI Słyszałaś?

KARSKA Trochę... Mówiliście bardzo głośno.

Wysocki odstawia kieliszek na biurko. Wskazuje Karskiej krzesło, sam siada na drugim.

WYSOCKI (po pauzie) To dobrze... wiesz teraz o mnie to, czego nie mógłbym sam powiedzieć.

KARSKA To, co usłyszałam, nie było dla mnie zaskoczeniem.

WYSOCKI (opanowując irytację) Czyżbyś miała przyjaciół nawet wśród czerwonych? I to w ścisłym kierownictwie?

KARSKA Nie musiałam rozpytywać wśród tych polityków. Mogłam się o tym dowiedzieć w pierwszym lepszym dworze.

WYSOCKI Kpisz chyba?

KARSKA Nie. Choć może przesadzam – nie w każdym dworze...

WYSOCKI Więc skąd wiesz?

KARSKA Od Tomasza Licińskiego. Odwiedziłam go niedawno w Lechonicach.

WYSOCKI A on mnie w Warce.

KARSKA To twój szczyry i oddany przyjaciel.

WYSOCKI (z irytacją) Nie ucz mnie, proszę cię, Józefo, kto jest, a kto nie jest moim przyjacielem... (po pauzie) I cóż ci Tomasz powiedział?

KARSKA (zmęczonym głosem) To, co mnie wydawało się niewiarygodnym, a co potwierdziło się w rozmowie, którą mimo woli słyszałam.

WYSOCKI Trudno mi zrozumieć, skąd taki Liciński może znać sekretu czerwonego rządu.

KARSKA Ty naprawdę jesteś ślepy, mój Piotrze. Ten rząd już dawno nie jest czerwony. I bodaj to i dobrze...

WYSOCKI Dobrze? Tak powiadasz... Więc oddałabyś władzę w ręce takiego Gillera?

KARSKA Nie, bo jestem przeciwna tak jemu, jak i całej tej rewolucji. Ale ty – znów się pokazujesz ślepcem, sądząc, że to taki Giller kieruje powstaniem!

WYSOCKI Więc nie Giller? Tak sądzisz? Zatem spytam cię kto? Gdzie znajdziesz większego krętacza, intryganta, cynika? Któż mógłby mieć lepsze kwalifikacje?

KARSKA Giller jest – twoim zdaniem – łajdakiem? Nic o tym nie wiem. Ale to nie on naprawdę rządzi. Tego jestem pewna.

WYSOCKI Więc kto?

KARSKA Mój Piotrze... daj spokój. Przecież to jasne, że nie wiem. Nie mogę wiedzieć. Ale na pewno tym panem Gillerem kierują inni. Czyż mógłby on sam z siebie głosić takie poglądy?

WYSOCKI (*zagniewany*) A więc jeszcze i ty powtórzysz mi znów, jak kiedyś inni, to samo – że za wszystkim stoi spisek, że wszystkim kierują jakieś ukryte a nieznane persony, które więcej znaczą od tych, co się jawnie pokazują.

KARSKA (*zmęczona*) Nie wiem, mój drogi, naprawdę nie wiem... Ale być może o tym ruchu więcej stanowi taki Tomasz Liciński niż ów Giller...

WYSOCKI (*wybuch*) Czy ty wiesz, co mówisz, Józefo? Przecież to by znaczyło, że największym obłudnikiem jest... taki Tomasz!

KARSKA Ależ nie mówię, że on właśnie.

WYSOCKI Właśnie, że mówisz! On, a więc ktoś z naszego pokolenia!... Ktoś z nas miałby się gmatwać w intrygi zabijające narodową sprawę?

KARSKA A może tu nie chodzi o narodową sprawę, a właśnie o intrygi! Nie pomyślałeś nigdy o tym?

WYSOCKI Nie, nie... Poznałem Bobrowskiego, a ten był inny niż twój politykierzy. On był...

KARSKA (*prawie krzyczy*) Proszę cię... tylko nie moi! Ja nienawidzę tego powstania! Nienawidzę Gillera, Bobrowskiego... wszystkich was nienawidzę! Jesteście ciągle, od trzydziestu lat, jak mali chłopcy bawiący się w wojnę.

WYSOCKI Zważyłaś o narodowej sprawie – nie ty pierwsza – więc ją pomniejszać próbujesz.

KARSKA To nieprawda... Uwierz mi, Piotrze! Właśnie teraz musisz mi uwierzyć! Jestem Polką i nigdy nią być nie przestanę. Mój ojciec był napoleońskim żołnierzem, brat pod Stoczkiem zginął... ty byłeś moją jedyną miłością, ty – Piotr Wysocki, młody podporucznik, bohater narodowej sprawy. Teraz ot, bratanek zbiegł świeżo do partii. Nie zważyłam o sprawie, nie wyrzekam się ojczyzny. Ale im więcej mija lat, tym częściej przypominam sobie, że jestem Polką, ale również kobietą, która nigdy nie znalazła osobistego szczęścia. Nie skorzystałam z przyrodzonego ludzkiego prawa, podług którego mężczyzna bierze kobietę i razem żyją wedle przykazań boskich. Długo czekałam, choć mogłam jak inne, udając przed rodakami kompatriotkę, do Italii pojechać, by tam odpocząć przy jakimś słodkim ciceronie, kiedy ten wyśniony i wybrany zdychał na Sybirze...

WYSOCKI Jak możesz tak mówić? To wstrętne i nieprawdziwe!

KARSKA A wasze Rosjanki kozuchem śmierdzące, syberyjskie, może były nieprawdziwe? A dzieci tam, w poniżeniu i rozpaczach płodzone – czy nie noszą waszych nazwisk? A twoja wódka, w rozpaczach i samotności pita – nie jestże tego samego grzechu znamię?

WYSOCKI Nie masz prawa nas sądzić! Ani ty, ani nikt inny... kto tam nie był.

KARSKA (*ironicznie*) Ale taki Giller przecież był? Więc cóż – on jest bardziej szlachetny niż my, którzyśmy tu, a nie na Syberii, oddali Ojczyźnie ciała swoje i dusze?

WYSOCKI Jak ty?

KARSKA (*śmiejąc się*) A tak! Jak ja. Bo i cóż mi zostało?... Prócz żalonych nadziei na ciebie, który bardziej chimer narodowych patrzysz niż żywych ludzi!

Wysocki, przejęty, zrywa się z miejsca i idzie w stronę biurka. Sięga po butelkę, nalewa kieliszek. Potem znów. Przez cały czas milczy.

KARSKA (z rozpaczą w głosie) Piotrze!...

Wysocki opróżnia trzeci kieliszek.

KARSKA Wiem, że poznałeś się na Gillerze... że nie dałeś się tym chimerom uwieść. Ale... ale ja liczyłam trochę na to, że specjalnie z nim pertraktujesz, by nasz wspólny wyjazd nabral również ogólniejszego znaczenia. (pośpiesznie) Przecież ja i na to bym się zgodziła!

Wysocki wypija szybko czwarty kieliszek.

KARSKA Piotrze... Piotrze... ja chcę ciebie mieć, a nie żadnego prezydenta, ale jeśli inaczej nie można...

Wysocki z całych sił uderza kieliszkiem o ziemię; głośny brzęk tłukącego się szkła.

WYSOCKI Więc naprawdę nic nie zrozumiałaś?

Karska ukrywa twarz w dłoniach, milczy, jej ciałem wstrząsa bezgłośny szloch.

WYSOCKI Przecież musiałem odmówić niegodnych propozycji, bo fałsz dotknął już spraw dla mnie najświętszych.

KARSKA Nie ludź się! I twoje, listopadowe, powstanie niewolne było od intryg i niecznych knowań – tak jak i to.

WYSOCKI Ale ja byłem od nich wolny! I taki pozostanę.

KARSKA Ależ takiego właśnie cię podziwiam i cieszę się... że zdecydowałaś odmówić udziału w powstaniu.

WYSOCKI (martwym głosem) Cieszysz się?

KARSKA Tak, bo już nic nie stoi na przeszkodzie naszemu wyjazdowi. Chociaż towarzyszyłabym ci nawet, gdybyś jechał w roli... prezydenta.

WYSOCKI (zamysłony) Więc tak czy inaczej – musimy jechać.

KARSKA (prawie gniewnie) Czyż znowu mamy zaczynać rozmowę od początku? Mój Piotrze... przecież miałeś podjąć decyzję.

WYSOCKI (nieprzytomnie) Tak, tak... Szwajcaria, ślub, gotowy paszport...

Karska milczy.

WYSOCKI Więc masz już dla mnie paszport? Moglibyśmy jechać choć dziś?

KARSKA Wszystko zależy od ciebie.

WYSOCKI Ha... Wciąż ktoś mnie przekonuje, że bardzo wiele zależy ode mnie. A tak naprawdę, to nigdy nie mogłem stanowić nawet o własnym losie.

KARSKA (z naciskiem) Więc zrób to dzisiaj!

WYSOCKI Tak... zapewne masz rację. (po pauzie) Pokaż mi mój paszport, Józefo. Czy wiesz, że nigdy nie pomyślałem o sobie jako o człowieku wolnym? A przecież ten kawałek papieru daje coś w rodzaju wolności.

KARSKA Jesteś wolnym, Piotrze, jeśli umiesz decydować o samym sobie.

WYSOCKI (zamyślony) Być może, być może... (z odcieniem stanowczości) Pokaż mi mój paszport.

KARSKA (spłoszona) Ja... ja jeszcze go nie mam. Ale to sprawa kilku dni.

WYSOCKI Jeszcze nie masz... Rozumiem. A inne sprawy? Twój paszport, listy zastawne, bilety?

KARSKA (niepewnie) Wszystko jest prawie gotowe. Trochę się spóźniłam, ale nie byłam przecież pewna...

WYSOCKI Czego, Józefo? Przecież mówiłaś, że wyjedziesz nawet beze mnie?

KARSKA I rzeczywiście chcę wyjechać, ale...

WYSOCKI (przerywa jej) Rozumiem, tobie też trudno wszystko tu zostawić.

KARSKA Wcale nie! (ze złością) Tak naprawdę, to idzie mi tylko o ciebie.

WYSOCKI Naprawdę o mnie? Przecież gdybym dziś się zgodził jechać z tobą – i tak nie byłabyś gotowa?

KARSKA Ale będę, będę, Piotrze... Możemy jechać choćby jutro... jeżeli chcesz.

Wysocki milczy.

KARSKA Czemu milczysz, Piotrze?

WYSOCKI Przecież wiesz, że nie chcę stąd wyjeżdżać.

KARSKA (spłoszona, bardzo cicho) Wiem...

WYSOCKI Wiesz o tym od dawna. Wiedziałaś o tym, jeszcze zanim tu przyjechałaś pierwszy raz?

Karska w milczeniu potakuje.

WYSOCKI Nie masz paszportów i nigdy ich nie będziesz miała. Nie sprzedawałaś majątków... a pewnie ich już nie masz. I właściwie nigdy nie wierzyłaś, że wyjadę z tobą.

KARSKA (*z pasją*) To nieprawda! To ty nigdy nie chciałaś wierzyć w moją miłość. To ty zarażałaś mnie zwątpieniem! A ja... ja zawsze chciałam wierzyć.

WYSOCKI Właśnie... chciałaś wierzyć, ale nie wierzyłaś. Czekalaś, ale wolałabyś, żebym nie wracał. Pragnęłaś mnie kochać, ale nie kochałaś... bo mnie nie można kochać, nie ma za co, nie warto...

KARSKA (*opanowując się*) Nie musimy jechać do Szwajcarii, nie musisz nawet opuszczać Warki. Pozwól mi tylko zostać tu i żyć z tobą.

WYSOCKI Już za późno, Józefo. Mnie już nic nie zostało, więc nie mam czym się z tobą podzielić. (*wstaje, znajduje nowy kieliszek w miejsce poprzednio stłuczonego, napełnia go wódką i wypija*) Chciałem trochę godności, trochę honoru w moim opuszczeniu zachować... ale i to nie było mi dane. (*znów wypija kieliszek*) Bo i kim jestem dzisiaj? Z kim jestem? Bo nie z obcymi, ale i nie ze swoimi. Nie z dworem, ale i nie z tymi z czworaków. Ot, Gillera za drzwi wyrzuciłem i wiem, żem dobrze zrobił – a zaprzańcem się czuję! Czy może być większe nieszczęście? Dożyć narodowej potrzeby i czuć wstręt – do tej wojny i do siebie, że nie chcę w niej głowy położyć. I cóż mi dalej począć?... Dawniej – przyznaję – bolałem trochę nad zapomnieniem, nad opuszczeniem mnie przez innych, ale cóż – teraz widzę jasno, że nie był to przypadek... Nie będzie ślubu... Szwajcarii... nie umrę już jak Sowiński. Ot – moje dziedzictwo (*zatacza dłonią szeroki łuk w powietrzu do ołtarzyka*) moje książki – bo czytać jeszcze nie zapomniałem (*podchodzi do biurka*) moja szabla, stara, Jastrzębców... ale i moja, bo mi się należy. (*chwieje się na nogach, opiera o biurko, by nie stracić równowagi*) Mało, oj, bardzo mało... Ale to moje, tu żyję, w tym... ten

sam od sześćdziesięciu lat. Ten sam. I wszystko, co było moje! Wszystko. Więc przy tym muszę trwać, muszę zostać. Już wiem, że Bóg Wszechmogący nie da mi śmierci w okopie, jak wtedy... na Woli... nie dał. Ale choć dostałem tak mało (*nieokreślony gest ręki*) muszę tu trwać. Na swoim i przy swoim. Choćby jeszcze raz przegrane było... A będzie... na pewno... (*opada ciężko na krzesło, chowa głowę w dłoniach*)

KARSKA (*po chwili, bardzo cicho*) Biedny ty, Piotrze, jak i ja, biedny...

Wysocki milczy, Karska wstaje zdecydowanym ruchem.

KARSKA (*z trudem opanowując silne wzruszenie*) Pójdę już. Tak będzie najlepiej. Teraz wszystko, co powiem – będzie złe. A ja pragnę dla ciebie wszystkiego, co dobre.

Wysocki powoli, niepewnie, podnosi się z krzesła.

KARSKA To już nieważne, czy masz rację, czy nie. Może się mylisz – ale nie będę cię o tym przekonywała. To twoja własna racja... Więc pożegnajmy się. Chyba na zawsze... Tak będzie najlepiej.

Narzuca na ramiona pelerynkę, którą wcześniej położyła na oparciu krzesła, staje w pobliżu drzwi, gotowa do wyjścia.

WYSOCKI (*wolno*) Tak... będzie... najlepiej? (*zbliża się do niej*) Najlepiej?

Karska robi krok do tyłu, ale zatrzymuje się; niespodziewanie padają sobie w objęcia – to jedyny moment ich fizycznego kontaktu w tej scenie – i trwają tak chwilę; Karska wyzwała się i otwiera drzwi do sieni.

KARSKA (*przystając*) A więc... żegnaj!

WYSOCKI Żegnaj...

Karska odwraca się i szybko wychodzi. Odgłos odjeżdżającego powozu. Wysocki podchodzi do drzwi wyjściowych, rygluje je, podobnie postępuje z drzwiami salonu. Siada ciężko w krzesle, wypija, jeden po drugim, dwa kieliszki. Mija chwila.

GŁOS ŻANDARMA (*z zewnątrz*) Otkrywaj! (*stukanie do drzwi*) Otkrywaj skariej!

Słychać nerwowe kroki w sieni, niezrozumiałe słowa wypowiedane przez Tabaczyńską, jakiś dialog prowadzony przez drzwi,

głośne stukanie. Do Wysockiego z wolna docierają te zewnętrzne odgłosy. Wreszcie – zrozumiałwszy ich sens – zrywa się z miejsca. Stoi, nasłuchując. Odgłosy otwierania drzwi zewnętrznych, stukot podkutych butów.

GŁOS ŻANDARMA Gaspadin Wysockij doma? Nam nužno siejczas s nim gawarit?! (*niezrozumiały tekst Tabaczyńskiej*) Szto gawarisz? Odkrywaj skariej!

Głośnie pukanie do drzwi salonu, niecierpliwy głos żandarma.

GŁOS ŻANDARMA Gaspadin Wysockij? Odkrywajcie – my pa czynie przszli. (*znów stukanie*)

Wysocki w dwóch skokach dopada karabeli wiszącej na ścianie. Nagle zastyga, przez chwilę nasłuchuje odgłosów z sieni, potem z rezygnacją odwraca się, podchodzi do drzwi, otwiera zamek, siada przy stole, chowając twarz w dłoniach. Żandarm, początkowo tylko pukający, próbuje teraz nacisnąć klamkę. Drzwi ustępują. Do salonu wpada trzech żandarmów rosyjskich. Dwóch staje przy drzwiach z karabinami w rękę, trzeci – podoficer – podchodzi do Wysockiego.

ŻANDARM My pałuczylu informacju, szto u was praiżchodiat kakije-to zasiedanija. Szto ab etom skazetie?

Wysocki milczy, można sądzić, że śpi. Żandarm przez chwilę mierzy go wzrokiem, potem obchodzi wolno cały salon, zagląda do sypialni, wraca do Wysockiego. Dostrzega wódkę na stole.

ŻANDARM (*z ulgą*) Aaaa – wot kakije eto zasiedanija. Nu – ładna! (*nalewa sobie kieliszek, wypija*) Eto błaganadiożno! *Salutuje i skinąwszy na pozostałych, wychodzi wraz z nimi. Wysocki trwa w niezmienionej pozie przy stole. Wyciemnienie.*

(1983)

Stąd do Ameryki

Nikt nie uwierzy w moje opowiadanie
Prawdopodobieństwo znika razem z przyjaciółmi
Anna Czekanowicz *Rozmowy*

OSOBY

W kolejności pojawiania się na scenie; wiek podany w opisie odnosi się do momentu pierwszego pojawienia się postaci.

EWA RABSKA, plastyczka, bardzo przystojna, o silnej osobowości, 24 lata

ALINA RABSKA, jej matka, lekarka, 47 lat

KAZIK STOLARSKI, działacz organizacji młodzieżowej, potem wysoki urzędnik partyjny i państwowy, 33 lata

JADZIA SOLDATKOWA, jego sekretarka, 28 lat

MARIUSZ BROMECKI, artysta malarz, 32 lata

MAREK MIRSKI, wybitnie zdolny fizyk, mąż Ewy, 25 lat

JACEK SMULSKI, fizyk, potem znany działacz związkowy i opozycyjny, 25 lat

WIKTOR CZEPUKOJĆ, polonista, 31 lat

BOŻENA HORST, plastyczka, bardzo ładna i lekkomyślna, 24 lata

DAREK WOŹNIAK, działacz Kręgu Nowej Polski, 28 lat

BARTEK CHMIELEWSKI, chemik, 27 lat

SŁAWEK NAGÓRNIAK, lekarz, 26 lat

KRZYCHU WENTA, barman i agent kawiarni klubu „Zamek”, 30 lat

EWA BOĆKO, jego dziewczyna, bardzo seksowna, 20 lat

DISCJOCKEY, potem KONFERANSJER, ponad 30 lat

ZOFIA MIRSKA, nauczycielka historii, matka Marka, 57 lat

WINCENTY MIRSKI, nauczyciel, ojciec Marka, 65 lat

JAREK DANISZ, plastyk, mąż Bożeny, 30 lat

ANKA SOLARZ, dziennikarka, brzydka i pełna pasji, 33 lata

STOCZNIOWIEC, około 40 lat

ELO ZABRAMSKI, nieszczęśliwy poeta, 33 lata

STUDENT, 24 lata

STUDENTKA, 22 lata

HANKA MALEWICZ, łączniczka podziemia, 25 lat

KUBUŚ, syn Ewy i Marka, 3 lata

KELNER, około 40 lat

PAN W ŚREDNIM WIEKU I

PAN W ŚREDNIM WIEKU II
SEKRETARKA, około 50 lat
SARA, tancerka estradowa, około 35 lat
GŁOS SPIKERA RADIOWEGO
oraz
GŁOS AUTORA

Akcja sztuki rozgrywa się w Gdańsku między rokiem 1978
a 1987.

Obraz 1

1978

Scena 1

Mieszkanie Ewy i jej matki; duży pokój, dostatnio umeblowany w stylu późnych lat sześćdziesiątych: wysoki połysk, trochę kryształów, na ścianie reprodukcja Van Gogha i kalendarz na rok 1978. Na wprost drzwi do przedpokoju, po lewej od kuchni, okno, obok lustra, po prawej drzwi do drugiego pokoju. Pośrodku niski stolik, na nim dwie wielkie walizki, obok dwa fotele. Matka Ewy, bardzo zadbana, ze śladami wielkiej urody, krząta się po pokoju, pakuje walizki. Widać, że jest zmieszana, co chwilę przysiada, wzdycha, właściwie pakuje się mimochodem – ważniejsza jest dla niej rozmowa z Ewą, która chmurnie zamysłona stoi przy oknie.

MATKA (*niepewnie*) Wiem, że ci robię krzywdę. Ale ty zrozumiesz... musisz mnie zrozumieć! (*siada w fotelu, zapala papierośa*) Może napijemy się koniaku? (*pauza*) Czemu nic nie mówisz? (*pauza*) Za godzinę mam pociąg do Warszawy. (*Ewa milczy; matka wstaje, podchodzi do barku, nalewa koniak do dwóch kieliszków, szybko upija trochę, ponownie siada*) Czemu nic nie mówisz?

EWA (*chmurnie*) A co mam powiedzieć?

MATKA Powiedz, że mi wybaczasz?

EWA Oczywiście, że ci wybaczam.

MATKA Powiedz, że się nie gniewasz?

EWA Oczywiście, że się nie gniewam.

MATKA Żebyś wiedziała, jak mi jest ciężko!

EWA (*wybuchła*) Mnie też jest ciężko!

MATKA To dlaczego nie chcesz jechać ze mną?

EWA Nigdzie nie pojadę.

MATKA Ewka! Jesteś dorosła, skończyłaś studia, miałaś doskonałą wystawę! Zostawiam ci mieszkanie, pieniądze. (*Ewa wzrusza ramionami*) Nie musisz się o ciebie martwić? (*zaczyna się krzątać przy walizkach*)

EWA To ja się martwię o ciebie.

MATKA Czy ja nie mogę, w końcu, pomyśleć o sobie?

EWA Nie rozumiem jak można rzucać wszystko – dom, mnie, Gdańsk, praktykę, tylko dlatego, że jakiś fagas z Kanady zaproponował ci małżeństwo?!

MATKA To nie jest żaden fagas.

EWA Więc kto? Czemu nigdy o nim nie słyszałam? Jak możesz mu ufać?

MATKA Możesz jechać ze mną.

EWA I co ja miałabym robić w tym jakimś Edmonton?

MATKA To, co tu.

EWA Tak, w przerwach między pracą barmanki, a...

MATKA (*z goryczą*) Skończ, skończ.

EWA (*z żalem*) Przepraszam, mamusiu, martwię się i tyle...

MATKA Niepotrzebnie! Nigdy ci nie mówiłam o Henryku, ale to takie stare sprawy.

EWA Więc powiedz teraz.

MATKA Miałam tyle lat co ty, on był marynarzem... no i moim pierwszym mężczyzną. Ale to był rok pięćdziesiąty drugi, a on poprosił o azyl w Kanadzie. Wiesz, co to wtedy znaczyło? O mało co nie wyrzucono mnie z ZMP, a wtedy musiałabym pożegnać się ze studiami. (*zamysłona*) Twój ojciec... był sekretarzem ZMP, u nas na medycynie. Zaopiekował się mną, upolitycznił. Było mi wszystko jedno. Potem urodziłaś się ty... (*Ewa słucha z rosnącą niechęcią*) Nie poczekałam... (*Matka zaczyna się znowu krzątać, zamyka jedną walizkę*) Henryk odezwał się potem z Kanady, chciał mnie ściągnąć, ale było za późno. Teraz owdowiał, napisał. (*wzdycha*) Tyle...

EWA (*gniewnie*) I co, myślisz, że on cię dalej kocha?

MATKA A ty myślisz, że nie można kochać takiej starej baby jak ja?

EWA Boję się, że on potrzebuje tylko służącej do swego baru.
 MATKA To więcej, niż dał mi twój ojciec. (*Ewa milczy*) Związał do Afryki, kiedy miałaś trzy lata, i wypiął się na nas.

EWA (*cicho*) Teraz zaprasza mnie do RPA.

MATKA (*stanowczo*) Bydlak! Chcesz, to jedź. Ja już wybrałam. (*energicznie zamyka drugą walizkę; ustawia bagaże przy drzwiach, maluje usta*) Nie chcę dożywać jałowej emerytury, nie dosypiając na dyżurach. Wyjeżdżam legalnie, w Kanadzie wyjdę za mąż. W każdej chwili będę mogła wrócić. Ciężko mi rozstawać się z tobą, ale nie jesteś już dzieckiem. Nawet mnie przerażasz swoją samodzielnością.

EWA A ty mnie.

Śmieją się obie. Matka obejmuje Ewę.

MATKA Wiem, że mnie zrozumiesz. Jeśli nie dziś, to kiedyś.

EWA Pora na dworzec. Pojadę z tobą do Warszawy.

MATKA Dziękuję, kochana.

Ewa narzuca kurtkę, matka wolno zapina płaszcz.

MATKA (*ociągając się*) Słuchaj... Wybacz, że to mówię, ale ten twój Mariusz niezbyt mi się podoba.

EWA Gdzie masz kluczyki od samochodu?

MATKA (*zamysłona*) Już wolę tego fizyka, Marka.

EWA Chodźmy!

MATKA On jest taki... dobry.

EWA Mamo! To są moje sprawy!

MATKA Wiem, wiem.

EWA (*niecierpliwie*) Chodźmy!

MATKA (*powoli*) Tak, chodźmy...

Wychodzą; wyciemnienie.

Scena 2

Gabinet Kazika, przewodniczącego lokalnej organizacji młodzieżowej; przeciętne umeblowanie, popiersie Lenina, na ścianie portret Gierka i plakat z napisem „Aby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Kazik siedzi za biurkiem, naprzeciwko niego stoi sekretarka Jadzia.

JADZIA Musisz tam zadzwonić.

KAZIK (*niechętnie*) Zadzwonię.

JADZIA Musisz tam zadzwonić jeszcze dzisiaj. Najlepiej zaraz.

KAZIK Ale co ja im powiem?

JADZIA Wszystko jedno, ale musisz zadzwonić.

KAZIK To nie jest wszystko jedno. Ta cała historia mnie kompromituje.

JADZIA (*wzrusza ramionami*) W końcu to nie twoja wina, że korowcy robią wiece na uczelniach.

KAZIK (*zły*) Powiedz to tym z UB! Oni potrzebują kozła ofiarnego.

JADZIA Zadzwonź i obiecaj, że pošlesz tam swoich ludzi.

KAZIK Po co?

JADZIA Niech dyskutują z tymi z SKS-u.

KAZIK Nikogo nie namówię.

JADZIA To niech ci chociaż przyniosą nazwiska przemawiających.

KAZIK Oni też będą tam mieli swoich ludzi.

JADZIA Ale pokażesz, że nie siedzisz beczynnje.

KAZIK Czyli mam donosić?

JADZIA Nazwij to, jak chcesz. Jestem tylko sekretarką, ale na twoim miejscu wiedziałabym, co mam zrobić.

KAZIK (*stanowczo*) Jedyne wyjście, jakie mam – to nic nie robić.

JADZIA Jesteś głupi.

Pukanie do drzwi, wchodzi Ewa, Kazik zrywa się z za biurka, promienieje.

KAZIK Ewa, nareszcie! Jak ja się cieszę...

JADZIA (*oschle*) To ja nie będę przeszkadzać, kolego przewodniczący...

KAZIK (*do Jadzi*) Nie ma mnie dla nikogo.

Jadzia wychodzi.

EWA Cześć, Kazik! Co ona taka sztywna?

KAZIK Kto, Jadzia? Pewnie jest zazdrosna. Podkochuje się we mnie. (*śmieje się*) Tak jak ja w tobie.

EWA Daj spokój, dygnitarzu. Nie wypada.

KAZIK Myślisz, że działacze młodzieżowi nie mogą kochać?

EWA Kochaj żonę.

KAZIK Najprostsze rady najtrudniej wykonać.

EWA Czemu dzwoniłeś?

KAZIK Bo nareszcie mam dobry pretekst.

EWA Przestań błaznować.

KAZIK Już mówię, słuchaj. Mam dla ciebie wspaniałą propozycję. Zrobiłaś dyplom, twoja wystawa miała znakomite recenzje. Właśnie ktoś taki jest mi potrzebny. W tym momencie nasza stara znajomość przestaje mieć znaczenie. Nie ma w tym niczego dwuznacznego, skoro ty jesteś najlepsza.

EWA W czym nie ma niczego dwuznacznego?

KAZIK Słuchaj! Niedługo jest kongres. Wiesz, jaka to wielka sprawa. Zlecam ci oprawę plastyczną – seria plakatów, okładka płyty, scenografia koncertu galowego. To ci niesamowicie zrobi nazwisko! A po wszystkim – wystawa w Warszawie!

EWA Czy wy już nie macie swoich ludzi?

KAZIK Mamy, mamy... ale pamiętałem o tobie i wytargowałem to dla Gdańska. Widzisz? – miłość może zdziałać cuda.

EWA Nie wygłupiaj się.

KAZIK (*wyciąga z biurka butelkę koniaku i dwa kieliszki*) Wcale się nie wygłupiam. Wiesz, że czekam i że możesz na mnie liczyć. (*podnosi do góry kieliszek*) Przyjmujesz propozycję?

EWA Zróbmy inaczej – ja ci coś powiem, a ty zdecydujesz, czy ją podtrzymujesz.

KAZIK Dobrze, słucham.

EWA Wychodzę za mąż.

KAZIK No tak... głupia sprawa. (*wzdycha*) Cóż, ja ten sam błąd popełniłem jeszcze wcześniej. Oczywiście – propozycję podtrzymuję. A to, że będę czekał – to moja sprawa. Zdrowie! (*wypijają*) Ale, ale – kto jest tym szczęśliwcem?

EWA Chyba go znasz. Mariusz Brombecki, malarz.

KAZIK (*przejęty*) Oj, słuchaj Ewa, ty uważaj...

EWA Bo co?

KAZIK On należy do tego klubu dyskusyjnego w „Zamku”?

EWA A jeśli?

KAZIK Źle się o nich mówi. To śmierdzi, uważaj. Podobno mają powiązania z korowcami i Kręgiem Nowej Polski. To może się dla nich fatalnie skończyć. Wiesz, jakie są czasy.

EWA Przecież oni tylko gadają, czytają wiersze.

KAZIK Na razie. A jeśli wezmą udział w wiecu SKS-u?

EWA Przecież na tych wiecach mówi się prawdę.

KAZIK (*ścisza głos*) Słuchaj – prawda nie ma tu nic do rzeczy. Bo prawdą jest polityka. I jak ten walec się po nas przejedzie, to się nigdy nie podniesiemy.

EWA (*zła*) Może ty! Z twoimi patronami! (*pokazuje portret i popiersie*)

KAZIK O ciebie też się martwię.

EWA Zawsze mogę zacząć robić w burszynie.

KAZIK Bez sensu. Proszę cię tylko – nie chodź na żadne wiece. Może oni mają rację, ale nie mają żadnych szans. Więc się nie liczą w tej grze. Partia nie chce używać siły, więc pozwalają im podskakiwać. Ale to się skończy, zapamiętaj moje słowa. Jak będzie trzeba, wejdzie tu dywizja czołgów. Ja nie kraczę, ja wiem.

EWA Ty coś w ogóle za dużo wiesz.

KAZIK Muszę, taka jest moja praca.

EWA No, dobrze. Nic mnie to wszystko nie obchodzi. Jestem i będę apolityczna. I tak zawsze ktoś będzie nami rządził – więc wszystko jedno kto. Niech sobie rządzą. A ja chcę robić swoje. (*wstaje*)

KAZIK (*wstając również*) Rozumiem, że się zgodziłaś? Za miesiąc, dwa, będziesz musiała pojechać na dłużej do Warszawy. Załatwię ci „Forum”. Zresztą, ja też będę tam mieszkał.

EWA Kazik, daj spokój.

KAZIK Przecież już dałem.

EWA No, dobrze. Na razie, czekam na wiadomość.

Kazik całuje jej dłoń, Ewa wychodzi; natychmiast wchodzi Jadzia.

JADZIA Oni dzwoniли dwa razy, kiedy ty ją obskakiwałeś.

KAZIK (*wzdycha*) No, dobrze już, dobrze, zadzwonię... (*wraca za biurko, na stojąco wykręca numer*) Czy mogę rozmawiać z towarzyszem majorem Gryłą? (*wypręża się*) Tu przewodniczący...

Wyciemnienie.

Scena 3

Mieszkanie Ewy, bardzo zmienione: zniknęły kryształy i reprodukcje, część mebli. Na ścianie nowoczesne malarstwo bez ram. Grafiki, plakaty, wielkie portrety Johna Lennona. Ogromna deska do projektowania zarzucona papierami. W całym pomieszczeniu bałagan świadczący o pracowitości właścicielki. Na fotelu, przy niskim stoliku, siedzi Mariusz w niedbale narzuconym szlafroku, z mokrymi włosami. Pali i pije. Przed nim pełna popielniczka i napoczęta półlitrowka czystej wódki. Drzwi po prawej uchylone. Noc. Mariusz siedzi w ciemności – oświetla go tylko wąski pas światła ulicznej latarni, prześwitujący przez story.

GŁOS EWY (z pokoju po prawej) Mariusz! Mariusz, gdzie jesteś? (Mariusz milczy) Co się stało?

W pokoju po prawej zapala się światło. Ewa w szlafroku staje w otwartych drzwiach, przeciera oczy.

EWA Mariusz, co z tobą? (Mariusz milczy, nie rusza się. Ewa zapala światło. Mariusz kurczy się nerwowo, osłepiony światłem żarówki. Ewa przysiada obok niego) Czemu tu siedzisz? (dostrzega butelkę) Pijesz?

MARIUSZ Tylko trochę.

EWA Nie za często? (Mariusz milczy) Ech, ja też się napiję. Dobrze mi z tobą. (nalewa sobie wódkę, pije) Przeprowadź się tutaj od razu! Po co żyć na dwa domy, to cholernie kosztuje. W końcu ślub to tylko formalność.

MARIUSZ Przyspieszmy ten ślub.

EWA (zdziwiona) Po co?

MARIUSZ Ewa! Ja... ja... postanowiłem wyjechać.

EWA Nie rozumiem?

MARIUSZ Proste. Chcę stąd wyjechać.

EWA Z Gdańska?

MARIUSZ (kręci wolno głową) Nie, z Polski. Ale przecież to niczego nie zmienia. Weźmiemy ślub przed moim wyjazdem, potem ściągnę cię do siebie.

EWA Wiesz, że nie pojechałam z matką?

MARIUSZ Ale ze mną?

EWA Powiedz najpierw, co planujesz.

MARIUSZ Ewa, ja już nie mogę... mam dosyć tego pieprzonego kraiku. Ja tu nie mam żadnych perspektyw. Między moim życiem a tym, czego pragnę, jest akurat taka różnica, jak stąd do Ameryki.

EWA (*ostro*) Przesadzasz!

MARIUSZ Moje obrazy nie idą, muszę latać za chałturami, nie mam pieniędzy, własnego mieszkania...

EWA Ja mam.

MARIUSZ Ale ja nie chcę być mężem swojej żony. Ty masz mieszkanie, samochód, dolary od mamusi. Ale ja chcę coś zdziałać sam. A tu mogę tylko pić. (*wychyla kieliszek*)

EWA Mariusz, nie szalej! Przecież mogę ci pomóc, zanim nie staniesz na nogi. Słuchaj...

MARIUSZ (*przerzywa jej*) To nie tak. Tu się po prostu nie da dojść do czegoś sensownego. Twój sukces jest chwilowy i koniunkturalny. Chcesz się zawsze wysługiwać czerwonym?

EWA Cholera, ty też będziesz mnie prześladował? Jestem artystką – robię to, co u mnie zamówią, ale robię sztukę. A w ogóle, to jestem apolityczna.

MARIUSZ (*złośliwie*) Tak? Ale jednak nie robisz okładek dla „Nowej”? Ulotek też nie drukujesz? Naprawdę apolityczny, to jestem ja. Pieprzę ten cały kraik z jego przepychankami. Świat jest duży i znajdę gdzieś tych kilka metrów kwadratowych dla siebie... Jadę do Francji. Z „Orbisem”. I zostanę. Nic nowego, tyłu robiło to przede mną. Ale przedtem weźmiemy ślub. I dojedziesz do mnie, jak tylko stanę na nogi.

EWA Kiedy chcesz jechać?

MARIUSZ Niedługo.

EWA Ale dokładnie!

MARIUSZ (*cicho*) Pojutrze...

EWA I przedtem weźmiemy ślub, tak? Ech, ty draniu! (*sięga po jego marynarkę wiszącą na krześle, wyciąga portfel, z niego jakieś papiery i paszport. Przegląda je, potem rzuca na podłogę*) No tak... mówisz prawdę. Tylko trochę późno.

MARIUSZ Byłem u znajomego księdza. On jest gotów dać nam ślub kościelny, bez cywilnego. To nielegalne, ale mu wytłumaczyłem...

EWA Co mu wytłumaczyłeś? Akurat taki z ciebie katolik jak ze mnie marksistka. Wybieraj od razu! Albo zostajesz, albo między nami koniec!

MARIUSZ (*podchodzi do okna, odsuwa zasłonę*) Patrz, już świt. Dla kogoś wstaje słońce.

EWA Ale nie dla nas. Wybieraj.

MARIUSZ Ewa, będę zawsze na ciebie czekał.

EWA (*z pasją*) Wybieraj!!!

MARIUSZ Wyjeżdżam.

EWA To wynoś się.

Wyciemnienie.

Scena 4

Kawiarnia klubu studenckiego „Zamek”, w której odbywa się zebranie Klubu Dyskusyjnego Młodych Naukowców. Obskurne wnętrze, lada barowa, stoliki z postawionymi na nich odwrotnie krzesłami. Kilka osób siedzących gdzie popadnie: Bożena, Anka, Jacek, Wiktor, Sławek, Darek, Bartek. Cisza, wszyscy czytają jakieś ulotki. Otwierają się drzwi z prawej, na uboczu, wchodzi Ewa i Marek.

MAREK Tak się cieszę, że przyszedłeś.

EWA (*pólszeptem*) Czekaj... Czy znam tu kogoś?

MAREK Wszystkich znasz. Jest Bożena, Jacek, Wiktor... Ale dlaczego nie ma Mariusza?

EWA (*ostro*) Nie ma go, nie było i nie będzie.

MAREK (*cicho*) Ewa... co się stało?

EWA Nic się nie stało. Powtarzam: Mariusza nie ma i nie będzie. Ale to nic nie znaczy, Marku.

MAREK A ja?

EWA Daj spokój...

WIKTOR (*dostrzegając ich*) Chodźcie, na co czekacie?

Marek i Ewa dołączają do kółka czytających. Staje się to sygnałem do przerwania lektury. Szmer głosów.

WIKTOR Siadajcie, nie znacie jeszcze sprawy. Jest dziś między nami (*wskazuje na wysokiego blondyna*) Darek Woźniak z Kręgu Nowej Polski. Organizują jutro na uczelni wiec, w dziesiątą rocznicę wydarzeń marcowych, zresztą wiecie. Darek przyszedł tu z propozycją, by ktoś z nas – asystent lub adiunkt, to ważne – wystąpił na tym spotkaniu i przeczytał ten tekst... deklarację solidarności z KNP, SKS-em i szerokimi rzeszami studentów.

BARTEK (*przerzywa mu*) A naprawdę to z korowcami i Wolną Europą!

JACEK Nie przerywaj, Bartek!

WIKTOR Właściwie już skończyłem.

DAREK (*wchodzi mu w słowo*) Do niczego was nie zmuszamy, ale wydaje się nam, że nie można dłużej zwlekać. Trzeba głośno i otwarcie mówić o łamaniu podstawowych praw obywatelskich, o nadużyciach władzy, o cenzurze, o rozpasaniu ubecji i kryzysie gospodarczym. Wszyscy o tym wiedzą, ale tylko my mówimy. SKS-y będą słabe tak długo, jak długo będą się składać tylko ze studentów, których łatwo zastraszyć wilczym biletem. Dlatego potrzebujemy i was. Pomyśleliśmy, że Klub Dyskusyjny Młodych Naukowców to najlepszy adres naszej prośby o poparcie. Tyle.

BARTEK (*gniewnie*) Ale ty nie pracujesz na uczelni?

DAREK (*spokojnie*) Nie.

BARTEK (*agresywnie*) A gdzie? Z czego żyjesz?

MAREK Bartek, uspokój się.

DAREK Zaraz, zaraz, odpowiem. Pracowałem w bibliotece imienia Orii, wyrzucono mnie i teraz jestem archiwariuszem Kurii w Oliwie.

BARTEK (*ironicznie*) No tak, płacą ci klechy, to jesteś gieroj! A co ja mam zrobić – żona z bachorem w hotelu asystenckim, cztery tysiące pensji, doktorat na karku?!

WIKTOR Spokojnie, Bartek, wszyscy to wiemy. Ale po co się wściekać? Przyszedł człowiek, ma sprawę. Wysłuchajmy go.

DAREK Powiedziałem, co miałem do powiedzenia. Przeczytałście nasz apel. Więc zadecydujcie, czy ktoś go wygłosi jutro.

WIKTOR No, to zapraszam do dyskusji.

Cisza. Bartek spokojnie podnosi rękę do góry.

WIKTOR Proszę bardzo – Bartek.

BARTEK Mam tylko dwa pytania. Po pierwsze: czy między wami – w KNP – są jacyś ludzie pracujący na uczelniach? I drugie pytanie – do Wiktora – kto właściwie zaprosił Darka na dzisiejsze spotkanie?

WIKTOR Darka zaprosiłem ja. A jeśli chodzi o...

DAREK Proszę bardzo (*wyciąga jakieś ulotki*) – ostatnią deklarację Kręgu Nowej Polski podpisało 19 osób. W tym sześciu pracowników wyższych uczelni...

JACEK (*ironicznie*) Pewnie – byłych pracowników.

DAREK (*ciągnie*) ... głównie z Akademii Medycznej. Jest nawet jeden docent.

BARTEK To jak jest taki odważny – niech przeczyta jutro ten tekst.

DAREK Nie może – wyjechał do Stanów na stypendium.

BARTEK (*śmieje się*) Znamy – tu deklaracje, tam dolarki. Gdybym ja mógł wyjechać, podpisałbym nawet cyrograf.

WIKTOR Panowie, spokojnie! Ponawiam pytanie. Co robimy z propozycją Darka?

JACEK (*spokojnie*) Porozmawiajmy poważnie... choć może cynicznie. Darek ma oczywiście rację i Bartek niepotrzebnie się wścieka...

BARTEK (*przerywa*) Niepotrzebnie? A ja ci mówię, że to najzwyklejsza prowokacja! Ten facet to ubek!

WIKTOR Uspokój się człowieku, bo cię wyprosimy.

Otwierają się drzwi wejściowe, wchodzi Krzychu, agent i barman kawiarni w „Zamku”.

KRZYCHU A ja powoli będę was wszystkich wypraszał. Za godzinę mam dyskotekę, trzeba przygotować salę.

WIKTOR Ustaliliśmy z zarządem klubu, że mamy czas do dziewiętnastej.

KRZYCHU Zarząd zarządem, a interes interesem. Daję wam pół godziny.

Zaczyna się krzątać, wystawia butelki na półki nad ladą, zdejmuje krzesła ze stolików. Po chwili wchodzi bardzo seksowna,

prowokacyjnie ubrana i umalowana Dziewczyna – zapala reflektory, podłącza głośniki itd.

JACEK Czy mogę kontynuować?

WIKTOR Oczywiście.

JACEK A więc – powtarzam – Darek ma całkowitą rację. W pełni solidaryzuję się, osobiście, z poglądami KNP. Nie wątpię, że to, co mówię, trafi do odpowiednich organów. (*Bartek chce mu przerwać*) Nie, nie, Bartek, spokojnie, niczego ci nie zarzucam. Może ten barman to ich kabel, może ta dupencja (*wskazuje Dziewczynę*), a może te panienki (*wskazuje na siedzące obok siebie – Ewę i Bożenę*). A, witamy... Nie wiem, czy znacie – Ewa Rabska, zdolna graficzka, filar propagandy sukcesu... (*szmer między zebranymi, Ewa chce coś powiedzieć, ale Jacek jej nie daje*) I bardzo dobrze – w końcu jesteśmy grupą demokratyczną i liberalną. Brak tylko księdza. Choć Darek go jakoś zastępuje.

DAREK Przesadzasz.

JACEK Może. Przepraszam, już kończę. A więc: Darek ma niewątpliwą rację. Ale nic z tego dla nas nie wynika. Żyjemy w rzeczywistości ufundowanej na jednej zasadniczej sprzeczności – pomiędzy prawdą, o której wszyscy wiedzą, a fikcją, która ma sankcję doktryny. Oto dlaczego działalność KNP i SKS jest bezsensowna. Zapraszam cię, Darek, na wódkę, wtedy pogadamy szczerze. Ale uczelnia należy do domeny fikcji. Nie włącz w nią, bo i siebie, i nas sparzysz. Skończyłem.

SŁAWEK Czy można? Dziękuję. Ja mam tylko jedno pytanie. Skoro Darka zaprosił Wiktor – czemu on sam nie przeczyta jutro tej deklaracji?

WIKTOR (*zmieszany*) Wiedziałem, że to pytanie padnie. Więc dobrze, powiem. Mam żonę, dwoje dzieci, nie mam mieszkania. Jak wszyscy, standard. Ale nie o to chodzi. Zaryzykowałbym. Tyle że... za tydzień moja obrona. Napisałem doktorat o Miłoszu, jeśli podpadnę – przegłosują mnie. A wtedy jestem załatwiony. Koniec. Możecie to potraktować jako konformizm, trudno. Wiem, że nie mogę nikogo namawiać do zrobienia tego, czego sam nie chcę zrobić.

DAREK Nie mam do Wiktora żadnych pretensji. Jest w porządku.
 BARTEK (*do Darka*) Też znalazł się spowiednik! Będzie decydował, kto jest moralny, a kto nie.

WIKTOR Spokojnie, panowie.

MAREK Czy mogą?

WIKTOR Proszę cię, Marku.

MAREK Ja przeczytam tę deklarację.

WIKTOR (*zaskoczony*) Co, ty?

MAREK Przeczytam, nie ma sprawy. Zgadzam się z nią w każdym punkcie.

WIKTOR Marek, zastanów się. Masz najwięcej do stracenia – doktorat, wyjazd do Japonii...

MAREK Co tam Japonia. Darek ma rację i koniec. Nie możemy ciągle milczeć.

WIKTOR Jak chcesz.

KRZYCHU No, wypieprzać, wiara. Za chwilę tu przyjdą goście.

JACEK (*do Marka*) Gratuluje... ale z równym powodzeniem mógłbyś się podpalić pod Pałacem Kultury. Skutek byłby taki sam – głośny i żaden. (*wstaje, inni też zbierają się do odejścia; wchodzi discjockey, zblazowany, na kacu, klepie po pupie Dziewczynę, która już dawno przerwała porządki i słuchała końca dyskusji*)

BOŻENA (*do Ewy*) Co ty myślisz o tym z KNP? Kamikadze! Podoba mi się. Przespałabym się z nim.

EWA Ty jednak jesteś idiotka, Bożena.

DZIEWCZYNA (*z boku*) Co wy, głupie, ja bym wolała tego Marka.

BOŻENA (*wyniosłe*) Niby czemu?

DZIEWCZYNA Bo wiecie... to tak jakby ze skazańcem.

KRZYCHU Pieprzysz mała... szoruj po piwo.

Ewa i Bożena wychodzą wraz z innymi. W drzwiach spotykają się Marek i Jacek.

JACEK Wiesz co robisz?

MAREK Wiem.

JACEK A ja myślę, że nie wiesz. Przecież nie masz jeszcze angażu na adiunkta. I nigdy nie będziesz miał. Robisz to dla niej.

MAREK Jej to nie imponuje. Ale wiesz – Mariusz wyjechał.

JACEK Wiem... szczęśliwy facet.

MAREK Szczęśliwy to jestem ja.

Wychodzą; wyciemnienie.

GŁOS AUTORA (*w ciemności*) Pamiętam ich wszystkich... chociaż coraz słabiej. To już tyle lat; już myślę nazwiska i imiona, rysy twarzy zniekształca mgła. Wtedy byliśmy młodzi i niecierpliwi, wypatrywaliśmy zachłanni nieznannej przyszłości. Nie wszystko z tego, co działo się wokół mnie, uważałem za ważne, nie o wszystkim mogłem wiedzieć. Z boku, czasem nie uważnie, przyglądałem się ludziom. Przecież było nas tak wielu! I wciąż zjawiał się ktoś nowy. A jednak to już wtedy moi rówieśnicy zaczęli znikać. Miejsca po nieobecnych zapełniały się szybko, ale poczucie braku pozostawało. Najpierw nieoczywiste, tajemnicze, dopiero potem, po latach, piekące, straszące pustką. A oni, co z nimi? Co stało się z nimi potem?

Matka Ewy, doktor Alina Rabska, wzięła ślub ze swym Kanadyjczykiem, ale jej nowe życie nie trwało długo. Jesienią 1979 roku zginęła w wypadku samochodowym. Wyjechał również Mariusz Bromecki, który przez Francję dotarł do Stanów Zjednoczonych, gdzie osiadł na stałe. Pisał długo, choć Ewa nie odpowiadała. Ostatnią kartę świąteczną, z San Diego, przysłał przed Wielkanocą w 1980 roku. Opuścił również Polskę Bartek Chmielewski, który tak oportunistycznie atakował Darka Woźniaka na spotkaniu w „Zamku”. Jego żona przypomniała sobie niespodziewanie o niemieckim pochodzeniu. Ale wyjeżdżali zapatrzeni w miraż dostatku, który tu wydawał się nieosiągalny.

Tymczasem Ewie Rabskiej nie wiodło się najlepiej. Współpraca z organizacją młodzieżową nie była dobrym pomysłem, zwłaszcza jeśli chciało się zachować samodzielność i niezależność. A środowisko Ewy tak samo nie lubiło organizacji młodzieżowych jak i ludzi samodzielnych i niezależnych. Wiktor Czepukojć obronił pracę doktorską, choć jej druk wstrzymano. Marek Mirski wystąpił na wiecu zwołanym przez SKS i KNP, ponosząc przewidywane konsekwencje. Wkrótce zresztą wszyscy mieliśmy okazję gdzieś występować...

Obraz 2

1980–1981

Scena 1

Mieszkanie rodziców Marka. Duży ponury pokój w starym budownictwie, zastawiony wielkimi, tandetnymi szafami, dzielącymi całe wnętrze na dwie części. Meble z początku lat sześćdziesiątych. Na ścianie słomianka. Wyjątkowo wytarty dywan. Stary, piętnastoletni telewizor. Dużo książek. Bujany fotel, na nim cała sterta bielizny do prasowania, jakieś gałgany, kłębki wełny. W kącie maszyna do szycia „Singer”, zepsuta. Na szafie, aż po wysoki sufit, stos zakurzonych walizek, kartony, staroświecki odkurzacz. Na biurku mnóstwo uczniowskich zeszytów. Tamże małe gipsowe popiersie Mickiewicza i drugie – Lenina. Na ścianie – kalendarz na rok 1980. Typowe mieszkanie typowej inteligencji typowo spauperyzowanej pod koniec lat siedemdziesiątych. Gdybyż ci ludzie wiedzieli, co ich jeszcze czeka!

MATKA MARKA (*stoi na środku pokoju, trzyma w ręce krawat*)
Wiem, że nie chcesz mnie słuchać, ale ja nie mogę milczeć.

MAREK (*krąży po pokoju, ubiera się*) To nic nie zmieni... (*wkłada ciemne spodnie, zaciąga pasek*)

OJCIEC MARKA (*siedzi na uboczu, pozornie zajęty czytaniem gazety, naprawdę – pielęgnujący swą wściekłość*) Dajże mu spokój! Nie mamy już nic do powiedzenia.

MATKA (*placzkliwie*) Ale ja muszę mówić.

MAREK (*wkładając koszulę*) Mamo, nie ma o czym mówić.

MATKA Kiedy, Marcuszu, ona nie jest dla ciebie...

MAREK Skoro biorę z nią ślub, to znaczy, że jest dla mnie.

MATKA Marcuszu, ona się tobą bawi!

MAREK Mnie się ta zabawa podoba.

MATKA Czy nie starczy, że straciłeś przez nią pracę?

MAREK (*stanowczo*) To nieprawda!

OJCIEC (*nie wytrzymuje*) Prawda czy nie – faktem, że mamy syna idiotę.

MATKA Mogłeś jechać do Japonii!

OJCIEC Jesteś idiotą! Żeń się z kim chcesz, twoja sprawa. Ale jak mogłeś przekreślić karierę naukową? Dla pustego gestu! (*z pasją mnie gazetę i rzuca ją na podłogę*) Jak mogłeś nam to zrobić?!

MAREK (*spokojnie*) O co wam chodzi? Od trzydziestu lat uczycie w szkole. Więc dlaczego ja miałbym tego nie robić?

OJCIEC Bo mogłeś robić coś lepszego!

MAREK A to jest złe zajęcie?

OJCIEC (*wściekły*) Szlag by to trafił!

MATKA (*przez łzy*) Mareczku, nie denerwuj ojca.

MAREK (*wkładając skarpetki*) Skoro po trzydziestu latach nauczycielstwa uważacie, że zmarnowaliście życie, to znaczy, że nasza rzeczywistość jest niewiele warta. A skoro jest taka – to trzeba ją zmienić. Tymczasem was tak samo martwi to, że walczę o inną rzeczywistość, jak i to, że próbuję się do niej dostosować w ten sam sposób, co wy. Zdecydujcie się.

OJCIEC Durniem jesteś! Było cię posłać na studia do Moskwy!

MATKA Mareczku, nie denerwuj ojca!

MAREK (*czyści marynarkę szczotką*) Och, dajcie mi już spokój. Biorę ślub! Rozumiecie? Żenię się. Jestem szczęśliwy. Po co z tym walczycie?

OJCIEC Dla twego dobra.

MAREK (*wzrusza ramionami*) Sam wiem, co jest dla mnie dobre.

OJCIEC Etat nauczyciela w Zasadniczej Szkole Portowej. Tak? To jest twój cel?

MAREK Przecież dalej pracuję naukowo.

OJCIEC Liczy się tylko praca na uczelni.

MAREK Bzdura. Mogę publikować swoje wyniki, nawet będąc stróżem. A etat... (*macha ręką*)

MATKA Ja wiem tylko jedno – ona nie jest dla ciebie.

MAREK A niby dlaczego?

MATKA (*zmieszana*) Mieszka sama, matka ją zostawiła, ojciec...

MAREK Matka nie żyje.

MATKA Przecież cię nie kocha. Tak długo cię nie chciała.

MAREK (*zawiązując sznurowadło*) Pokocha.

OJCIEC (*do Matki*) Dajże spokój! (*do Marka*) Ona jest nam obca, rozumiesz? Jesteśmy postępową inteligencją. Mamy swoje zasady, swój etos. (*wypowiada to słowo z dumą*) A ona...

MAREK (*staje przed ojcem z jednym butem w dłoni*) Co masz jej do zarzucenia?

OJCIEC A bo to jest taka awanturnica... (*szybko*) i burzujka!

MAREK No, chyba przesadzasz?

OJCIEC A to jej mieszkanie, te stroje, samochód?

MAREK (*śmieje się*) Przecież robiła plakaty na kongres.

OJCIEC (*macha ręką*) Eee... takie jakieś bezklasowe. Tak je oceniono w Dzielnicy.

MAREK (*stanowczo*) Nie mów przy mnie o partii, jeśli w ogóle chcesz ze mną rozmawiać.

OJCIEC (*z rezygnacją*) Dobrze, dobrze... Wiem, czego mogę się po tobie spodziewać. (*rozkłada gazetę, udaje, że czyta*)

MATKA Mareczku, to źle się skończy, ja ci to mówię.

MAREK (*wkłada marynarkę*) Najpierw musi się zacząć.

MATKA (*przez łzy*) Żeby choć ślub był prawdziwy.

MAREK A nie będzie?

MATKA Eee... bez księdza.

MAREK (*wreszcie zły*) Słuchajcie, zdecydujcie się w końcu, dobra? (*Ojciec zasłania się gazetą*) Albo Dzielnica, albo Zakrystia, albo lewicowe tradycje, albo wikary Alojzy i kółko różańcowe?

MATKA (*placze*) Ja bym tylko chciała, żeby ślub był kościelny!

MAREK (*twardo*) To trzeba było mnie inaczej wychować. Proszę bardzo – tatuś, członek partii od 1947, mama – od 1951 roku, etos lewicy, strutu-tu-tu, pęczek drutu... Zapewniam was, że ja nie zapiszę się ani do partii, ani do kruchty. I moje dzieci też, a mam zamiar zrobić ich mnóstwo.

MATKA Mareczku!

MAREK Krawat!

MATKA Mareczku... ona... ona... jest...

MAREK (*twardo*) Mamo, poproszę krawat...

Ojciec chowa się za gazetą.

MATKA (*placze*) Mareczku... uwierz mi... ona jest dla ciebie za ładna!

MAREK Mamo!

MATKA Synuś, ona jest dla ciebie... za dobra!

Podaje mu krawat. Marek zawiązuje go energicznie i wyciąga z wazonu bukiet kwiatów. Idzie pewnie w stronę drzwi wyjściowych. Matka i ojciec zrywają się jak na komendę. Ojciec obciąża marynarkę, Matka poprawia włosy.

MAREK Zostało pół godziny!

Wychodzi. Rodzice pokornie drepczą za nim. Wyciemnienie.

Scena 2

Mieszkanie Ewy – prawie niezmienione. Ewa jest w widocznej ciąży; przebiera w stosie sukienek i innych ciuchów przeznaczonych na sprzedaż. Niektóre odrzuca, inne pakuje do pojemnej torby. Z boku Bożena wykańcza sukienkę na elektrycznej maszynie do szycia. Marek, podekscytowany, krąży po pokoju.

MAREK Ale słuchajcie dalej – wtedy Wałęsa wskoczył na wózek, ktoś mu dał tubę – i ogłasza, że strajk trwa dalej. Stocznia będzie walczyła dalej dla innych. Część ludzi wyszła, ale większość została. To było trzy dni temu, a teraz w sali BHP siedzi tysiąc ludzi. Nie tylko z Gdańska, tam jest całe Wybrzeże i co dzień przyjeżdżają delegacje z Polski.

EWA (*przerywa mu*) Ale tramwaje wciąż nie chodzą?

MAREK Oczywiście! To nerw strajku. Dopóki tramwaje stoją – ludzie wiedzą, że się trzymamy.

EWA Wy się trzymacie, a ja muszę z torbami drałować piechotą.

MAREK Ewa, proszę cię, proszę – zostaw te ciuchy. Nie trać czasu.

EWA (*twardo*) Jarmark Dominikański jest tylko raz w roku.

MAREK Ale strajk jest tylko raz w życiu! Rzuć to wszystko i chodź z nami!

BOŻENA (*od maszyny*) Ewka, czy przestębnować ten karczek?

EWA Co ty, Bożena, i tak wszystko kupią.

MAREK Ewa... błagam cię, rzuć to. Chodź do stoczni, załatwię ci przepustkę. Jesteś potrzebna, będziesz robiła plakaty...

EWA Daj mi spokój. Nie wierzę, że to się może udać. Będzie tak samo jak zawsze.

MAREK Nie, Ewa, teraz dzieje się coś wielkiego. To się już nie powtórzy w naszym życiu. Zrozum, tam siedzą wszyscy – stoczniovcy, dziennikarze, naukowcy, aktorzy, kupa znajomych.

BOŻENA Tak, a wkrótce dołączy ZOMO i czterech pancernych.

MAREK Może! Ale trzeba ryzykować. Jestem pewien, że to jest większe od nas i pójdzie na cały kraj. Cała Polska będzie inna.

EWA Czyli jeszcze trudniej będzie o tych parę tysięcy miesięcznie? Mareczku, o czym ty mówisz? Od dawna nie mam zamówień, za trzy miesiące rodzę, ty się męczysz w szkole za grosze... Jak przyjdzie dziecko, nie będę mogła szyć. I co! A jak ciebie posadzą? Co z nami będzie?

MAREK Nie posadzą! Musieliby zamknąć pół miasta.

BOŻENA Wiesz co, Marek, ty wstydu nie masz... Ewka w ciąży zasuwa jak traktor, a ty się bawisz w strajki. Dałeś się wyrzucić z uczelni, nie pojechałeś do Japonii. Co ty sobie wyobrażasz? Przecież za chwilę wszystkich was rozpędzą i pozamykają!

MAREK Nie mów tak, Bożena! Nie można się ciągle bać. Zobaczycie, że jeszcze wrócę na uczelnię, tylko niech wreszcie trzasnie, niech pęknie, niech się rozsypie.

EWA Przedtem ja się rozsypię. Mam nadzieję, że będziesz wtedy w domu.

MAREK Ewa...

BOŻENA A czy ten wasz Wałęsa jest przynajmniej przystojny?

MAREK Oj, Bożena, ty zawsze swoje... Ale, ale – wiecie, kto jest w prezydium strajku z Politechniki?

BOŻENA No, kto?

MAREK Jacek Smulski.

BOŻENA Jacek? Ten z twojego roku?

EWA Trudno mi uwierzyć. Zawsze taki ostrożny...

BOŻENA (*zaciekawiona*) Ale jak to się stało?

MAREK Zwyczajnie. Na Politechnice zwołano wiec, Jacek przemawiał, no i wybrano go na delegata. Jest w prezydium, wiesz co to znaczy?

EWA (*stanowczo*) To miejsce się tobie należało! Kiedy ciebie wylewano z pracy, on chował głowę w piasek. A teraz on jest w prezydium, a ty redagujesz jakiś tam biuletyn.

MAREK Ależ, Ewa, tu nie chodzi o funkcje. Ważne, że jesteśmy wszyscy razem. Jest jeszcze Wiktor, pamiętasz go? Jest Sławek i Darek z KNP – wyszedł z więzienia parę dni przed strajkiem. Cały nasz Klub! To wspaniale. A Darek jest blisko Lecha! Ty wiesz, że oni się znali już przedtem – z KNP?

EWA Wkurzyło mnie, że ten Jacek...

MAREK (*śmieje się*) Widzisz? Coś cię w końcu ruszyło. Wczoraj jeden facet, były dyrektor, na krzyż przysięgał, że jest z nami.

BOŻENA Pamiętam tego Jacka, przystojny facet...

MAREK Słuchajcie, dziewczyny, teraz serio. Rzucajcie te szmatki, interesiki i chodźcie jutro ze mną. Przydadcie się.

BOŻENA Ja bym poszła... co? Jak myślisz Ewa?

EWA Jak chcesz, twoja sprawa. Ja muszę zarabiać.

MAREK Ewa, zawsze robiłaś, co chciałaś. Ale dziś posłuchaj mnie!

EWA (*głaszcze go po głowie*) Nie, Mareczku... Nie wierzę, że z tego cokolwiek będzie.

MAREK Ewa! Chodź ze mną! Jesteś moją żoną!

EWA To się ciesz! I daj mi spokój.

BOŻENA Ewka! Co ci szkodzi, przecież można pójść zobaczyć.

EWA (*spokojnie*) Nie.

Zapina pękate torby i niesie je w stronę drzwi. Wyciemnienie.

Scena 3

Były gabinet dyrektora na terenie stoczni. Potworny bałagan – stopy papieru, maszyny do pisania. Na ścianie plakaty czerwonymi literami na białym tle ogłaszające „Solidarność”, obok

„21 x TAK”. Drzwi uchylone, widać przypiętą do grubej dermy kartkę z napisem „Redakcja biuletynu”. Marek, Darek, Sławek, Wiktor, Jarek, Anka, Bożena – potwornie zmęczeni, brudni, mężczyźni nieogoleni – siedzą gdzie popadnie, jedzą grube kanapki z serem, piją mleko z litrowych butelek.

MAREK Przyjdzie, zobaczycie, że przyjdzie. Przecież obiecał.

ANKA Wiecie, czuję jakąś dziwną pustkę. Wiem, że za chwilę wszystko się skończy i jakoś mnie to smuci...

DAREK Babskie gadanie. Porozumienie będzie dziś podpisane i ten majdan zwijamy. Ale to nie koniec, a dopiero początek. Przecież będą związki.

SŁAWEK Ale co my mamy robić?

DAREK To, co robiliśmy. Czyli biuletyn, z czasem gazetę.

SŁAWEK No, dobrze, ale musimy również żyć? Ja nie widziałem żony i chłopaka od tygodnia.

DAREK Oj, nie pieprz, Sławek. Co to ma do rzeczy. Jeszcze dziś będziesz w domu.

ANKA Spokojnie, panowie. Przyjdzie Jacek i wszystko ustalimy. Na pewno prezydium o nas nie zapomni.

Wchodzi energicznie Jacek, zamyka za sobą drzwi. Część zebranych zrywa się z miejsc.

JACEK No, cześć wiara! Fajnie, że czekacie. *(do Anki)* Związek ma już swoją nazwę – Niezależny Samorządny Związek Zawodowy „Solidarność”!

JAREK *(zdumiony)* Co ty? Poważnie?

JACEK *(pokazuje plakat)* Oczywiście również dzięki popularności twego projektu. A teraz siadajcie. Pogadamy.

ANKA Więc podpiszecie porozumienie?

JACEK Na pewno!

WIKTOR Ale co dalej?

JACEK Słuchajcie, to się rozleje na cały kraj. I to szybko. A my musimy być w samym środku.

DAREK No, ty już jesteś.

JACEK To dopiero początek, będą demokratyczne wybory i tak dalej. Ale byliśmy pierwsi...

DAREK *(przerywa)* Nie wszyscy...

JACEK (*stanowczo*) Byliśmy pierwsi tu, w stoczni. I musimy mieć wpływ na rozwój wypadków. Za chwilę będzie się tu pchała cała Polska.

WIKTOR Czy my czasem nie popadamy w przesadny entuzjazm? To, że komuna dzisiaj ustąpiła, nie oznacza, że będzie ustępować zawsze i przed wszystkim.

ANKA Teraz ty chcesz nas straszyć czołgami?

JACEK (*autorytatywnie*) Spokojnie! Rozumiem Wiktora. Ale co mamy zrobić? Wycofać się? Jest związek. Teraz musimy walczyć o to, by „Solidarność” miała realny wpływ na życie społeczne.

DAREK Chyba żartujesz? To ma być program? Trzeba wykorzysta legalność związku i wprowadzić do niego wszystkie struktury opozycyjne. To jest dopiero szansa.

JACEK Robotnicy są jeszcze ciągle nieufni. Korowcy, Nowa Polska – te określenia działają jak straszak...

DAREK Tak, a ja dla nich siedziałem sześć razy!

JACEK (*rozkłada ręce*) Większość ludzi wcale nie chce robić polityki. Większe pensje, świadczenia i cześć...

MAREK A ty chcesz robić politykę?

JACEK No, jakże? Już robię.

MAREK Parę lat temu trzymałeś się od tego z daleka.

DAREK (*z przekąsem*) No, to dość delikatnie powiedziane.

JACEK Jestem pragmatykiem. Wtedy uważałem, że jest jeszcze za wcześnie. Ale teraz nie.

MAREK Nie rozumiem, o czym wy mówicie?

JACEK No jakże?

MAREK Zrobiliśmy już swoje. Cel został osiągnięty i powinniśmy z tego pociągu wysiąść.

DAREK Pieprzysz! Jaki „osiągnięty cel”? Nie po to przez cztery lata się szarpałem, żeby teraz dać spokój!

MAREK Nie mówię o tobie. Ale my wszyscy powinniśmy wracać na uczelnie, do naszej pracy i...

JACEK I zostawić zaczętą robotę innym?

MAREK To nie nasza sprawa. Uważam, że związkiem powinni kierować ludzie z opozycji – na przykład Darek – i autentyczni działacze robotniczy...

JACEK A my nie jesteśmy autentyczni?

MAREK A kto nas nominował do przewodzenia?

JACEK (*ze śmiechem*) Sami się nominowaliśmy! Taki jest czas, stary. To jest rodzaj rewolucji, a rewolucji nie ma bez rewolucjonistów. Uważam, że nasze miejsce jest tutaj.

MAREK Ale czy ty masz jakiś wyraźny program, ideę? Wiesz, czego chcesz? Przecież nigdy nie byłeś działaczem.

JACEK Za to teraz jestem. Cóż, niech każdy robi, co chce.

Cicho wchodzi zarumieniona Ewa, przysiadła obok Bożeny.

WIKTOR Rozumiem problemy Marka. Skończył się pewien ważny etap i teraz musimy decydować. Albo wchodzimy w to całkiem, bez reszty, albo dalej robimy swoje. Ja nie chciałbym rzucać uczelni i habilitacji.

SŁAWEK A ja kliniki...

JAREK Ludzie, co wy gadacie, musimy robić jedno i drugie!

SŁAWEK To się nie da. Przynajmniej dla lekarza jest to niemożliwe.

JACEK Dobrze, posłuchajcie mojej propozycji. Ja przechodzę do pracy w „Solidarności”. Prawdopodobnie będę do wyborów zastępcą Lecha... (*szmer podziwu, Bożena i Anka biją bravo*) ale błagam, to tylko do waszej wiadomości. Wy – nie macie mandatów delegatów, ale możecie pracować w związku etatowo – jako redakcja biuletynu albo biuro prasowe. Chciałbym mieć was obok siebie. Jasne?

ANKA (*gorliwie*) Jasne!

JACEK Szefem zespołu dalej będzie Darek. Kto jeszcze? (*pauza*)

Anka? (*Anka kiwa głową*) Oczywiście, masz świetne pióro. Jarek i Bożena – oprawa plastyczna? (*oboje gorliwie potakują*) Załatwione. Wiktor?

WIKTOR Nie wytrzymam bez tego. Raz kozie śmierć!

JACEK Sławek?

SŁAWEK A ja się zastanowię.

JACEK W porządku. A, Ewa... przepraszam, że cię pominąłem.

EWA No... jeśli znajdziecie dla mnie miejsce? Właściwie dotąd byłam z boku...

JACEK Nie ma sprawy, jesteś w zespole. Marek?

MAREK Nie.

JACEK Naprawdę i na pewno?

MAREK Na pewno i naprawdę.

Ogólny szmer zdziwienia i dezaprobaty.

ANKA Ale dlaczego? Przecież byłeś jednym z pierwszych?

MAREK Robiliśmy ten strajk również po to, żebym ja mógł znowu zająć się fizyką, a Sławek leczyć ludzi. No nie?

JACEK Więc nie ma rozmowy. Obiecuję ci, że wrócisz na uczelnię.

Wpada Stoczniowiec z przepaską na ramieniu.

STOCZNIOWIEC Ej, redakcja, zbierać się... za pół godziny podpisują!!!

JACEK *(wstaje)* No, czas na mnie. Muszę być tam wcześniej.

STOCZNIOWIEC *(dostrzegając go dopiero w tej chwili)* O, Jacek, wcześniej cię nie zauważyłem. *(wyciąga z kieszeni pamiętkową ulotkę z postulatami; prosząco)* Słuchaj, stary, podpisz mi się – napisz, że to dla Wacka! O, widzisz, mam już autograf Lecha i Gwiazdy.

Jacek podpisuje się, klepie Stoczniowca po ramieniu. Wszyscy wstają, zbierają się do wyjścia. Tylko Marek nie rusza się z miejsca.

BOŻENA Jezu, jak się cieszę... Będziemy pracować w Związku! Wszyscy wychodzą, zostaje tylko Marek i Ewa.

EWA Czemu się wycofałeś?

MAREK On mi obiecał pracę na uczelni! Słyszałaś? Jacek mi obiecał, że znowu będę fizykiem! *(śmieje się głośno)*

EWA Nie widzę w tym niczego śmiesznego.

MAREK Ty też się cieszysz, że będziesz pracować w Związku?

EWA *(pewnie)* Tak, bardzo się cieszę.

MAREK Mam nadzieję, że będą wam chociaż dobrze płacili.

Wychodzi, Ewa za nim. Wyciemiennie.

Scena 4

Kawiarnia klubu „Zamek”. Wieczór. Za ladą barman Krzychu. Dyskoteka nieczynna. Szaro i pusto. W kącie – para młodych ludzi nad pustymi szklankami. Na wysokich stołkach siedzą Marek i Wiktor, popijają herbatę.

WIKTOR Wpadasz tu jeszcze czasem?

MAREK Bardzo rzadko.

WIKTOR Ja też. Strasznie tu pusto.

KRZYCHU (*wtrąca się*) Bo alkoholu nie ma. Nic. Nul. Gówno. Nawet piwa nie mogą załatwić.

WIKTOR (*śmieje się*) Kto by to pomyślał...

MAREK Tak, to ostatnia rzecz, jakiej mogliśmy się spodziewać. Brak gorzały – tego nie wymyślił nawet Orwell, u którego niczego nie ma, ale wóda jest.

WIKTOR Jak sobie radzisz?

MAREK W sumie nie najgorzej. Wróciłem na uczelnię, Ewa ciągle w biurze prasowym. Siedzi tam dniami i nocami.

WIKTOR A dziecko?

MAREK Mały jest głównie u starych.

WIKTOR To macie szczęście... A moja znowu będzie rodzić.

MAREK Co ty? To już czwarte?

WIKTOR (*potakuje*) I ostatnie. Przysięgam.

MAREK To ciężko wam.

WIKTOR Delikatnie powiedziane. Wycofałem się z redakcji, wiesz?

MAREK Wiem. Darek też się wycofał.

WIKTOR Ale on miał konflikty z Jackiem, a ja po prostu się nie wyrabiałem. Muszę skończyć habilitację i zarabiać forszę.

MAREK Jak? Jako polonista?

WIKTOR No właśnie. Kumple jeżdżą na saksy. Ale mnie żal, tu jest tak ciekawie.

MAREK Ja bym też nie pojechał, ale to jest jakieś wyjście.

WIKTOR Ty już miałeś kiedyś jechać? Do Japonii chyba?

KRZYCHU (*wtrąca się*) To o czym myśleć? Ja bym spieprzał od razu.

MAREK Do Japonii?

KRZYCHU Do każdej cholery. Przecież to nie ma sensu – tkwić dalej w tym gównie.

Do kawiarni wchodzi Elo, mocno zawiany.

ELO Krzychu, przyjacielu... ratuj! Nigdzie nie ma paliwa! Sprzedaj pół chleba, bo skonam ci na ladzie!

KRZYCHU Spływaj, Elo, nie ma nawet pustej butelki po piwie. Prohibicja się zaczęła.

Elo przysiada na stolku, kiwa się, wyciąga papierosy.

ELO Słuchaj, Krzychu, dam ci paczkę sportów. Bo ja nie palę, ale kupuję, jak są... na wymianę. Daj setę, stary, błagam!

KRZYCHU Żegluj, Elo, do domu masz daleko.

ELO Trafie, gdzie chcę! (*rozgląda się, dostrzega Wiktora*) Kogo ja widzę? Naukowa elita rozpija się po knajpach?

WIKTOR Cześć, Elo.

ELO Choć ty, przyjacielu, poznajesz mnie jeszcze. Oto humanista! Zawsze wiedziałem, że jesteś szlachetny. Chcesz, przeczytam ci swoje nowe wiersze. (*wyciąga z kieszeni plik kartek*)

Najlepszy nazywa się *W kolejce do rzeźnika...* Wszyscy czekamy cierpliwie, żeby kupić jakiś ochłap. (*czka*) A kiedy już przychodzi nasza kolej, oni zmieniają nas w ochłap. Stuk w głowę. I rozbiór. (*czka*) Zaraz wam przeczytam.

KRZYCHU Elo, nie chce ci się susiać?

ELO (*czka*) Nie rozumiem?

KRZYCHU Spływaj do klopa!

ELO (*nagle rozmarzony*) Eeeeech... słuchajcie, niedługo wypływam. Poważnie! (*czka*) Kumpel ma jacht i płyniemy do Grecji. Ja już nigdy nie wrócę. Nigdy. Tu jest za ciemno, żeby pisać wiersze. (*czka, łapie się za usta i zataczając się, biegnie do toalety*)

WIKTOR To był kiedyś dobry poeta. Może jeszcze jest...

MAREK (*poważnie*) Słuchaj, Wiktor, ty jesteś poważny facet – powiedz, co z tego będzie?

WIKTOR Myślę, że może być bardzo źle. Ale ty mnie pytasz? Przecież Ewa jest w samym sercu wydarzeń.

MAREK Wiesz... nie mamy teraz dobrego kontaktu. Właściwie, to nawet rzadko się widzimy. Ona ma mi za złe, że się wycofałem. Mówiła nieraz, że powinienem być na miejscu Jacka.

WIKTOR No, w jakimś sensie ma rację.

KRZYCHU Jasne! Przecież pamiętam, jak tu, w tym miejscu, zgodziłeś się występować na wiecu. Ale to był rok 1978! Inne czasy. Nie dziwiłbym się, gdybyś ty teraz był na świeczniku.

MAREK (*niechętnie*) Gdzie „na świeczniku”? Nie ma czego zazdrościć. Nie wiadomo, czy oni nie użyją siły. Chciałbyś być wtedy w skórze Jacka? Zresztą... nie chcę i nie umiem przewodzić.

KRZYCHU (*tajemniczo*) Wiecie co, panowie... gości nie ma... Przez starą znajomość – znajdę jakąś flaszkę. Napijemy się?

MAREK (*niepewnie*) No... ja chętnie.

WIKTOR Nie, nie – ja dziękuję.

KRZYCHU Co ty, stary, napijmy się!

WIKTOR Powiem otwarcie – nie stać mnie.

KRZYCHU Przecież stawiam! (*wyciąga spod lady butelkę wódki, rozlewa do trzech kieliszków; wypijają*)

MAREK Pewnie zaraz wróci Elo i dopiero będzie kłopot.

KRZYCHU Nie wróci, ja go znam. Prześni w kłopot do rana. *Do baru podchodzi Student.*

STUDENT Poproszę dwie pięćdziesiątki.

KRZYCHU To jest alkohol prywatny.

STUDENT W czynnym lokalu? Nawet teraz są równi i równiejsi?

KRZYCHU Lokal zamknięty. Szlus. Proszę wyjść.

STUDENT No, no – tylko bez chamstwa!

KRZYCHU Właśnie, bez chamstwa! Proszę opuścić lokal! *Do Studenta podchodzi Studentka – blada, chuda.*

STUDENTKA Chodź, Misiu, z cwaniactwem nie wygramy.

STUDENT Napiszę zażalenie do prezesa klubu.

Wychodzą.

KRZYCHU A pisz se, pisz – będzie miał czym tylek wytrzeć.

MAREK (*zażenowany*) No... przesadziłeś, chłopie.

KRZYCHU Pieprzę go i wszystkich pieprzę. Nic mi nie zrobią!

WIKTOR (*surowo*) No, to nie było ładne!

KRZYCHU Ładna to jest dupa mojej dziewczyny! (*konfidencko-nalnie*) A wiecie czemu dziś stawiam? (*triumfalnie*) Bo wyjeżdżam! Spieprzam stąd, aż się będzie kurzyło.

WIKTOR Co, ty?

KRZYCHU Proste! Dostałem paszport!!! (*nalewa sobie kieliszek, wypija*) Po siedmiu, kurwa mać, latach. Nie chciałem

wierzyć. *(ponawia kolejkę)* Siedem lat odmawiali, rozumiecie? Co ja się łapówek napłaciłem... I nic, chuj im w dupę jebany. I nagle... Nikt nie wie. Ale wam powiem. Zresztą już zwijam interes. Dziesiątego jedziemy z Ewką. No, z moją kobietą, znać ją. *(znowu pije)* Spieprzam stąd, bo tu się nie da żyć. Tu można tylko gnić, umierać, pijakom się wysługiwać. Jak dostałem paszport, to padłem na ziemię i głową tłukłem o ścianę. Potem się urąbałem. Potem dałem na mszę. A teraz stawiam. I dobrze jest.

MAREK A czemu ci przedtem odmawiali?

KRZYCHU Chuj ich wie? Pewnie za brata. Wiecie, spieprzył do Efu siedem lat temu.

WIKTOR A gdzie ty jedziesz?

KRZYCHU Jakże? Do niego! Założę bar w Hamburgu. To będzie, chłopaki, dopiero życie!

Otwierają się drzwi, wchodzi Dziewczyna Krzycha. Jest w bardzo zaawansowanej ciąży, idzie z trudem, opatulona w grube futro, rozpięte na brzuchu.

DZIEWCZYNA *(żałośliwie)* Krzychu, znowu pijesz?

KRZYCHU Co ty, Ewka... to chłopaki z „Solidarności”. Musimy się pożegnać.

DZIEWCZYNA Chodź już do domu. Proszę cię, źle się czuję.

KRZYCHU Dobra, spływamy. *(podnosi do góry kieliszek)* Ale mój syn urodzi się już tam!!!

Spełniają toast i zbierają się do wyjścia. Krzychu gasi światła poza jedną lampką nad barem. Wszyscy wychodzą. Z toalety wytacza się Elo. Podchodzi do baru, spija resztki z butelki i kieliszków. Czka.

ELO Co ja tu robię? Kurwa! Co ja tu robię? Tu zaraz będą strzelać. *(pokazuje)* Ta-ta-ta-ta... Wszystkich rozwałą. A mnie potrzeba słońca. Dużo słońca. Ciepła...

Kładzie głowę na barze, zasypia. Wyciemnienie.

GŁOS AUTORA *(w ciemności)* Tak trudno mi zapomnieć to wszystko: wielką salę BHP, ciasny pokój redakcji biuletynu, nawet obskurną kawiarnię klubu „Zamek”. Ale to było, to się

zdarzyło. Czasem muszę to sobie powtarzać głośno, by jeszcze wierzyć: w to, że byliśmy tacy, jacy już nigdy nie będziemy, w to, że mieliśmy nadzieję, plany i ambicje, większe niż świadomość tego, co warto mieć i czego trzeba chcieć. I byli jeszcze wtedy między nami ludzie, których już nie ma. Zamienili swoje marzenia i plany na gorycz i zniechęcenie, nieważny już dostatek w obojętnym kraju i rozpacz tułaczki po obcych miastach. Nie piętnuję ich, wspominam.

Pierwszy – nieoczekiwanie – wyjechał Darek Woźniak, jeszcze latem 1981 roku. Nie mógł się dogadać z Jackiem Smulskim, za mało dla niego radykalnym. Darek trafił aż do Australii – i przepadł jak kamień w wodę. 10 grudnia 1981 roku wyjechał barman „Zamku” Krzychu Wenta, ze swoją dziewczyną Ewą. Otworzyli w Hamburgu mały bar, uczęszczany licznie przez Polaków. I doszli z czasem do niewielkich pieniędzy. Wyjechał również – i to zdziwiło mnie najbardziej – nieszczęśliwy, zapijaczony poeta Elo Zabramski. Koledzy wyciągnęli go 12 grudnia z toalety kolejnego lokalu i wpakowali na jacht, który rzeczywiście odpłynął do Grecji. Część uczestników tej wyprawy wróciła, ale Elo wylądował ostatecznie aż w Wenezueli, jako pisarz prześladowany przez czerwony reżim. Nie wiem, czy jeszcze pisze wiersze...

Tymczasem Marek pracował nad habilitacją, a Ewa, rezygnując z artystycznych ambicji i programowej niezależności, z całym zapamiętaniem poświęciła się pracy dla Związku.

Przerwa

Obraz 3

1981–1983

Scena 1

Mieszkanie rodziców Marka. Z biurka zniknął Lenin, nad drzwiami pojawił się krzyż. Poza tym bez zmian. Matka, Ojciec, Ewa.

MATKA (*placze*) Co teraz z nami będzie, Boże, co będzie?...

OJCIEC Ale ja ciągle nie rozumiem, jak to się stało?

EWA Mało wiem. Trzynastego w nocy obudziła nas Anka. Przyjechała, żeby powiedzieć o aresztowaniach. Uważała, że po nas też przyjdą i powinniśmy się ukryć. Więc pojechałam z nią do jej ciotki. Bez sensu... Wcale po nas nie przyszli.

OJCIEC (*niecierpliwie*) Ale Marek, co z Markiem?

EWA Nie wiem dokładnie. Odwiózł nas do tej ciotki, a potem widocznie pojechał do Związku. Oni tam weszli dopiero nad ranem i Marek zdążył, razem z innymi, zabezpieczyć archiwum. Częściowo je wywieźli. Kiedy ZOMO tam wpadło, było takie zamieszanie, że wielu ludzi prysnęło. Bożena zamknęła się w kuchence i wyszła dopiero koło południa. Nikt jej nie zatrzymał. To ona widziała tam Marka, ale tylko jej mignął...

MATKA (*przez łzy*) I po co on tam poszedł, po co?!...

OJCIEC Uspokój się! Twój syn jest bohaterem.

MATKA Ale co będzie dalej, co będzie?

EWA Chyba nie jest źle. Marek nie był nawet na liście internowanych, zresztą ja też... Pewnie by go puścili po spisaniu, ale on podobno zaczął się stawiać.

MATKA Och, Boże wszechmogący...

OJCIEC (*z dumą*) Moja krew!

MATKA Wiesz, tata tylko czeka, aż po niego przyjdą. W końcu oddał legitymację.

OJCIEC (z *pasją*) Rzuciłem, nie oddałem... rzuciłem im w twarz, bandytom. W końcu tradycja zobowiązuje! A dziadek był w legionach!

MATKA Zobaczysz, że ojca aresztują!

EWA (*niechętnie*) Chyba przesadzacie.

OJCIEC Wszystkich nas zniszczą, czołgami rozjadą. Ale nie będę się ukrywał. Czekam z podniesionym czołem.

MATKA Och, Boże, Boże... syn w więzieniu, ojciec aresztowany.

EWA No, ojciec jeszcze nie jest aresztowany. A Marka widziało w Strzebielinku. Jest internowany.

MATKA Żeby go tylko nie wywieźli...

OJCIEC Trudno, niech wywożą. Nie on pierwszy...

EWA Żeby mu tylko nie zrobili procesu! Na pewno narozrabia i będzie miał... na własne życzenie.

OJCIEC (*oburzony*) Co ty mówisz, Ewa?

EWA Przecież znacie Marka – zawsze się pcha nie tam, gdzie trzeba, i nie wtedy, kiedy trzeba.

OJCIEC Jak możesz tak mówić? Twój mąż jest bohaterem!

EWA Może i tak... ale nie w porę. Od sierpnia siedział cicho, nie działał nawet na uczelni. Pracował, robił habilitację, wiem, wiem... Ale to był czas na działanie! A teraz, kiedy trzeba było się ukryć, przejść do podziemia, on się wystawił – jak kaczką na strzał. To dziecinada.

OJCIEC Więc co miał robić, twoim zdaniem?

EWA (*twardo*) Czekać! Nikt od niego nie wymagał, żeby się narażał. I to dla gestu.

OJCIEC Ależ to obowiązek nas wszystkich!

EWA Tato, słowa cię niosą! Co mamy z takich poświęceń? Teraz, gdy Wałęsa siedzi, większość Komisji Krajowej siedzi... Chwała Bogu, że chociaż w Gdańsku Jacek i Zbyszek w Warszawie zdążyli się ukryć.

MATKA (z *radością*) Więc to prawda? Nie wzięli Jacka?

EWA (z *dumą*) Oczywiście! Jacek wie, co robi. Teraz będzie kolejny etap – walka konspiracyjna. A do tego potrzebni są ludzie. I wszelkie romantyczne samopalenia i reduty Ordona są po prostu bez sensu. Liczy się tylko pragmatyzm.

OJCIEC Co ty? Potępiasz Marka? Własnego męża?

EWA Oczywiście, że go nie potępiam. Ale trudno, żebym była pełna entuzjazmu, skoro dał się zamknąć na własne życzenie.

OJCIEC (z *goryczą*) Nigdy go nie doceniałaś!

MATKA (*równocześnie*) Jak możesz tak mówić? Kiedy on się poświęca?

EWA Nie należy się poświęcać, należy działać skutecznie. Nasza sytuacja zrobiła się fatalna. Z czego będziemy żyli? Marek w internacie, ja bez pracy? Tatę pewnie wyrzucą ze szkoły, skoro oddał legitymację, mama z głodową rentą. Co będzie dalej? Ja się nie dam złamać. Ale co z dzieckiem?

MATKA O Kubusia się nie martw. Wychowam go, choćbyście wszyscy poszli na Syberię.

EWA (*niemal czule*) Wiem. I bardzo ci jestem za to wdzięczna. Ale czuję się fatalnie i musicie to zrozumieć.

OJCIEC Rozumiemy. A jak my się czujemy twoim zdaniem? Tylko dlaczego bluźnisz na Marka?

EWA (*zmęczona*) To nie tak... widzicie... my się już od dawna rozmijamy. Wszystko osobno, wszystko inaczej. Nie rozumiemy się...

MATKA (z *rozpaczą*) Och, Boże, Boże... co to będzie?

EWA (z *trudem*) Nie martwcie się, proszę... obiecuję wam, że nie zrobię niczego przeciwko Markowi. Będę czekała, aż wróci. Ale muszę robić swoje. Nie mogę tylko czekać i tylko płakać. Co będzie potem – zobaczymy...

MATKA Ale Kubusia zostawisz tutaj? Tak chyba będzie lepiej?

EWA Właśnie o to chciałam was prosić.

Wyciemnienie.

Scena 2

Mieszkanie Ewy. Bez zmian. Na stole – napoczęty karton marlboro, prawie pusta butelka whisky, kilka pudełek odżywki dziecięcej. Scena pusta. Otwierają się drzwi, wchodzi Marek. Na ramieniu wypchany worek, zmęczona twarz, długie włosy. Marek chowa do kieszeni klucze, którymi otworzył drzwi, staje w progu,

rozgląda się. Z drzwi kuchennych, po lewej, wychodzi Ewa – w krótkim szlafroku, niedbale przewiązanym paskiem, właściwie półnaga. Potargane włosy, twarz szara, naznaczona zmęczeniem. Trzyma w ręku butelkę ze smoczką, studzi dziecięcą zupkę. Nie dostrzega Marka. Odstawia butelkę na stół. Wolno podchodzi do lustra. Staje przed nim nieruchomo, z wyrazem goryczy w oczach. Marek porusza się. Ewa dostrzega go w rogu lustra. Gwałtownie zakrywa się szlafrokiem, dopiero potem odwraca się.

EWA Wróciłeś?

MAREK Kiedyś musiałem wrócić.

EWA Już prawie wszyscy wrócili.

MAREK Nie lubili mnie w Strzebielinku. I potem, w więzieniu... (Ewa milczy) Cóż, starałem się, jak mogłem, ale w końcu wymyślili amnestię...

EWA (nagle zażenowana) Siadaj... Zaraz się ubiorę.

MAREK Naprawdę nie musisz. Jesteś taka piękna.

EWA (uśmiecha się z przymusem) Dziękuję... Zawsze byłeś miły.

MAREK (siada w fotelu) Czy... (pokazuje butelkę ze smoczką) Kubuś jest tutaj?

EWA Oczywiście. Zobaczysz go, jak się obudzi.

MAREK Śpi?

EWA Trzyletnie dzieci jeszcze śpią po południu.

MAREK (podchodzi wolno do Ewy) To może...

EWA Czemu nie dałeś znać, że wychodzisz?...

MAREK (kładzie rękę na jej ramieniu) Jesteś taka piękna.

EWA (ciągnie) ... przyjechałabym po ciebie...

MAREK (wsuwa dłoń pod szlafrok, gładzi jej piersi) To było jednak trudniejsze, niż myślałem.

EWA (stoi nieruchomo, nie reaguje na pieszczoty; mówi wolno) ... a przynajmniej wiedziałabym...

MAREK (gładzi Ewę po brzuchu, przytula się do jej boku)

Właśnie to było najgorsze. Że bez ciebie...

EWA (kończy) ... czego się spodziewać.

MAREK (równocześnie) Kochana!

Odsuwają się od siebie. Ewa otula się szlafrokiem. Z sąsiedniego pokoju, po prawej, dobiega płacz dziecka i głos Jacka, wołają-

cego Ewę. Marek zdumiony odwraca się w tę stronę. Drzwi otwierają się, staje w nich Jacek, ubrany tylko w slipki, z buci-kiem dziecięcym w ręku. Jacek jest bardzo zmieniony – utył, zapuścił długie włosy, brodę i wąsy. Twarz blada i nalana – widać, że nie wychodził na powietrze. Jacek wchodzi do pokoju mówiąc, i – choć widzi Marka – mechanicznie kończy zaczęte zdanie.

JACEK Ewa! Gdzie jest do cholery... drugi bucik Kubycy?

Pauza. Wszyscy zamierają, mierzą się wzrokiem.

EWA (*przymknijąc*) Zajmę się dzieckiem...

Wychodzi na prawo, wyjmując po drodze bucik z ręki Jacka.

JACEK (*siada ciężko w fotelu*) Wróciłeś?

MAREK (*wciąż stojąc*) Wszyscy mnie o to pytają. Przecież musiałem kiedyś wrócić.

JACEK A ja się wciąż ukrywam.

MAREK Wiem. Wszystko mniej więcej wiedzieliśmy.

JACEK Jestem w Tymczasowej Komisji Krajowej.

MAREK Wiem. Szuka cię cała bezpieka kraju... (*pauza*) A ty się ukrywasz tu... u Ewy?

JACEK No... u was. (*po pauzie*) Musimy pogadać. Poczekaj, zaraz się ubiorę.

MAREK Nie musisz.

Jacek wstaje. W tej samej chwili otwierają się drzwi po prawej.

Wchodzi Ewa, prowadząc za rękę Kubusia. Mały jest zaspany.

EWA No, Kubusiu... tatuś przyjechał. (*mały niepewnie patrzy na dwóch mężczyzn*) Przywitaj się z tatusiem, Kuba! (*równocześnie Ewa podaje szlafrok Jackowi; mały, idąc jakby za jej gestem, dopada Jacka i przytula się do jego nogi*) Wstyd, Kubusiu... (*Ewa odciąga malego za rączkę*) Przecież to jest tata! (*Marek przysiada i wyciąga ręce, Kuba wpada w jego objęcia*)

JACEK (*zażenowany*) Przepraszam... (*wychodzi do łazienki*)

EWA (*stanowczo*) Wiem, że jesteś zaskoczony. Porozmawiamy o wszystkim później. Ale pamiętaj jedno – Jacek ukrywa się tu od niedawna i tylko dlatego, że była wielka wpadka i wszystkie mety się spaliły. A to nie jest złe miejsce, dwa wyjścia, spokojnie, sam wiesz... (*Marek nie reaguje, tuli dziecko, wciąż nie-*

pewne tego, co się dzieje) Wczoraj mieliśmy tu naradę tymczasowej komisji regionu. Siedzieli do rana, dlatego jesteśmy jeszcze w proszku.

MAREK (*wyciąga z torby fantastyczny zamek z zapalek, cierpliwie zbudowany w internacie*) Popatrz, co ci przywiozłem, synuś! Widzisz, jaki piękny zamek? Kiedyś wszyscy będziemy w takim mieszkać.

KUBUŚ (*zachwycony, ściska zamek w małych rączkach*) W Amelyce?

MAREK (*zdziwiony*) Co mówisz, synuś?

KUBUŚ W Amelyce będziemy mieszkali?

MAREK Nie, Kubusiu, w Polsce.

KUBUŚ Czy ty byłeś w Amelyce?

MAREK Nie, synku...

Ale mały już nie słucha, bawi się zamkiem.

EWA Dlaczego mi nie odpowiadasz?

MAREK Witam się z dzieckiem.

EWA A dlaczego nie witasz się ze mną?

MAREK Porozmawiamy później.

Dzwonek do drzwi. Ewa tężeje, podbiega do łazienki, puka ostrzegawczo w szybkę. Potem zakłada łańcuch i ostrożnie otwiera.

ŁĄCZNICZKA (*z za drzwi*) Przyniosłam cielęcinę, czy pani reflektuje?

EWA (*wpuszczając szybko Łączniczkę*) Wolalabym drób. (*zamyka starannie drzwi*)

ŁĄCZNICZKA Czy jest Jacek? Mam coś ważnego. (*dostrzega Marka, cofa się odruchowo*) O, przepraszam.

EWA Nie ma obawy, przecież to mój mąż. Właśnie wrócił z więzienia. Siadaj, Hanka.

ŁĄCZNICZKA (*zdumiona*) Twój mąż? (*siada*) Nie znam...

Z łazienki wychodzi Jacek. Ubrany, odświeżony.

JACEK Cześć, Hanka, co masz dla mnie?

HANKA (*zrywa się*) Myślę, że to ważne. Jest list z Brukseli.

JACEK (*przerywa*) Chodźmy tutaj... (*wyprowadza ją na prawo*)

MAREK A więc tak to wygląda?

EWA Co?

MAREK (*przechadza się po pokoju, pali*) No, to wasze podziemie.

EWA A tobie się nie podoba?

MAREK Nie.

EWA (*zmęczona*) Jest, jak jest. Może będzie inaczej. (*po pauzie*)
Co zamierzasz?

MAREK Nie wiem.

EWA Musisz coś wiedzieć.

MAREK Ale nie wiem... Dlaczego zabrałaś Kubusia od rodziców?

EWA Wiesz – to tak dobrze konspiruje... spacerówka, dziecko.
Jacek nie może wpaść. Cały Gdańsk liczy na niego.

MAREK A rodzice? Co u nich?

EWA (*chmurnie*) No, jakby ci to powiedzieć...

MAREK Więc to prawda? Słyszałem w kiciu, ale nie chciałem
wierzyć.

EWA Niestety, twój stary chciał wstąpić do gdańskiej grupy
inicjatywnej PRON, ale mu to wybiłam z głowy.

MAREK Przecież oddał legitymację.

EWA Twierdzi, że to co innego i że jego lewicowe tradycje...

MAREK Wiem, wiem...

Dzwonek do drzwi, cały rytuał się powtarza, wchodzi Anka.

ANKA (*podeksytowana*) Słyszeliście? Czy już wiecie?

MAREK Co się stało?

ANKA (*mimochodem*) O, cześć Marek, fajnie, że wróciłeś. Po-
dobno w stoczni strajk! Naprawdę. Nareszcie! Gdzie Jacek?

EWA (*pokazuje*) Tam.

Anka szybko wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

MAREK I tak przez cały dzień?

EWA Prawie. Jestem już wykończona.

MAREK Przecież to strasznie niebezpieczne.

EWA Wiem. Ale co mamy robić? (*pauza*) Jacek za trzy dni się
wyprowadza. Ma już nagrane mieszkanie gdzieś w Gdyni, na-
wet ja nie wiem gdzie.

MAREK To dobrze – skoro cały Gdańsk na niego liczy.

EWA Jasne. Ale to jutro, pojutrze. A dziś? Jest jeszcze dziś? (*Marek
wzrusza ramionami*) Nie milcz, proszę cię, tylko nie milcz...
To najgorsze, co możesz zrobić!

MAREK Kiedy ja się czuję, jakby nie było żadnego „dziś”. I tym bardziej „jutro”.

EWA (*dotyka jego dłoni, przyciąga go do siebie*) Kochany, nie smuć się... Przecież to tylko drobiazgi. Ważne jest tylko jutro. (*Marek opada na podłogę u jej stóp. Ewa głaszcze go po głowie*) Jeszcze będzie dobrze, zobaczysz! (*Marek obejmuje jej kolana*) Więc tęskniłeś? MAREK Tak.

EWA To dobrze. (*kładzie głowę Marka na swoich kolanach; mówi cicho, uspokajająco*) Jutro pojedziesz w Tatry, pójdiesz sobie na Szpiglasową i na Rysy... (*Marek przytula się do jej kolan, obejmuje biodra*) Mój chłopiec musi odpocząć, musi wrócić do świata... Ja wiem. Będę na ciebie czekała. Tutaj. Z twoim synem. Sama. Chcesz?

MAREK Tak.

EWA Dom będzie już pusty, żadnych gości, żadnych spotkań. Dobrze?

MAREK Tak.

EWA (*tajemniczo*) A dzisiaj... Chcesz? (*pauza*) Bożena wyjechała. Mam jej klucze. Przenocujemy tam. Chcesz?

MAREK (*z udręką*) Tak.

EWA Pójdziemy zaraz. Dobrze?

MAREK Tak.

Marek przytula się spazmatycznie do Ewy. Nagle Kubuś, zaniepokojony ciszą, porzuca zabawę zamkiem, wyciąga ręce w stronę matki.

KUBUŚ Mamo, ja chcę do babci, ja chcę do babci!

Marek odsuwa się od Ewy. Ewa otula się szczerlnie połami szlafroka, Kubuś przywiera do niej całym ciałem, płacze.

KUBUŚ Do babci! Do babci! Do babci!

Wyciemnienie.

Scena 3

Dawna kawiarnia klubu „Zamek”. Nie należy już do studentów, to teraz zwykły, agencyjny lokal. Ściany pomalowane na żywe kolory, nad barem niewielki neon „Zamek”. Za barem

siedzi, czytając gazetę – barmanka. To dawna sekretarka Kazika, Jadzia. Kilka stolików, w kącie dwaj szepczący coś cicho panowie w średnim wieku, na środku stół, przy którym siedzą Ewa i Bożena. Przy nich znudzony kelner. Ewa studiuje menu.

KELNER To co mam podać?

EWA Przecież nic nie ma...

KELNER (*wzruszając ramionami*) Nie ma tylko czerwonego wina. W ogóle nie ma alkoholu. Może być piwo w puszcze, duńskie.

EWA Tak, po czterysta złotych...

KELNER Czterysta osiemdziesiąt.

BOŻENA Dla mnie tylko kawa.

KELNER Kawy nie ma.

BOŻENA No to herbata. I jakaś pepsi.

KELNER Pepsi nie ma. Może być napój miodowo-truskawkowy.

BOŻENA (*niecierpliwie*) Och, niech będzie.

EWA Dla mnie też.

KELNER Proszę bardzo. (*odchodzi*)

BOŻENA Mam już tego dość. Chciałabym pożyć w normalnym kraju. Gdzie jest wszystko – kawa, wino, pepsi. Pieniądze.

EWA Masz chociaż paczki od Jarka.

BOŻENA Ja chcę Jarka, nie paczki. Ewa... co robić?

EWA Czekać.

BOŻENA Och, pieprzone życie! Miałam męża przez tydzień! Dlaczego on musiał jechać do tego Paryża?

EWA Wszyscy wtedy chcieli jechać.

BOŻENA I wszyscy zostali.

EWA Co mieli zrobić? Tu delegacja „Solidarności”, tam stan wojenny... Nie rozpaczaj, jeszcze do niego pojedziesz.

Kelner podaje napoje. Dziewczyny milkną.

BOŻENA (*po odejściu kelnera; płacząc*) Nie pojedę... wiem, że nie pojedę. Oni mnie nigdy nie puszczą. Już mi trzeci raz odmówili paszportu. Och, Ewa, ty jesteś szczęśliwa!

EWA (*zdziwiona*) Dlaczego?

BOŻENA Marek był w internacie. Możecie wyjechać w każdej chwili.

EWA Kiedy my nie chcemy wyjeżdżać.

BOŻENA Właśnie.. Jaka to niesprawiedliwość!

EWA (*śmieje się*) Podobno byli tacy, którzy podplacali ubecję, żeby ich internowano.

BOŻENA Nie żartuj... Boję się. Jarek mnie zostawi, zobaczysz. Na pewno ma już jakąś babę. Puści mnie w trąbę, tak jak Mariusz ciebie.

EWA (*zła*) Mylisz się. Było inaczej.

BOŻENA Dobra, dobra – tak się mówi. Jeszcze teraz byś za nim poleciała. Och, Ewa, błagam cię, pomóż mi!

EWA Co ja mogę?

BOŻENA Możesz! Kochał się w tobie ten Kazik, no wiesz, ten sekretarz...

EWA (*stanowczo*) Nie będę go o nic prosić!

Jadzia, barmanka, słysząc, że w rozmowie padło imię Kazika, składa gazetę i zaczyna dyskretnie podstuchiwać.

BOŻENA Ewa! Błagam cię, tyle lat się znamy... Niech tylko popchnie moje odwołanie. On jest teraz wysoko, wiele może.

EWA (*zdecydowanie*) Nie. Ty tego nie zrozumiesz, bo nie wiesz, co to zasady. (*Bożena chce jej przerwać, ale Ewa jej nie pozwala*) Puszczalaś się z byle kim... Tak było, nie przerywaj... i wyszłaś za faceta, którego nie jesteś pewna. Twoja sprawa. Ale po co włąziłaś w „Solidarność”? Dla towarzystwa? Narozrabiałaś, a teraz do Paryża, tak?

BOŻENA (*nadspodziewanie twardo*) Tak jak wielu z twoimi zasadami. (*Ewa milczy*) Ewa, czy ty nie wierzysz, że ja Jarka kocham i że tylko to ma znaczenie? Reszta jest bez sensu.

EWA Co jest bez sensu?

BOŻENA To całe podziemie. Tych, którzy nie wyjechali, wyląpią. Wszystkich po kolei. Aresztowali Ankę, Ryśka, Adama. Jacek się jeszcze trzyma, ale co z tego? Tak, jakby go wcale nie było... Ja muszę do Paryża!

EWA Mówiłaś, że do Jarka.

BOŻENA Bo do Jarka.

Jadzia wychodzi zza lady, podchodzi do Ewy i Bożeny.

EWA (*złośliwie*) Zapisz się do nowego związku plastyków, zrób plakat na 1 Maja, może ci dadzą paszport.

BOŻENA (*naiwnie*) Przecież Jarek by mnie zabił.

JADZIA Przepraszam.

EWA (*poznaje Jadzię*) Tak, słucham?

JADZIA Przepraszam, że się wtrącam, ale mówiłyście dość głośno, więc trochę słyszałam. Można?

EWA (*oschle*) Proszę... My się chyba znamy?

JADZIA (*siada*) Tak. Ja byłam kiedyś sekretarką Kazika.

EWA (*chłodno*) No tak, słucham...

JADZIA Widzicie – ja już ten bajzel mam poza sobą. Teraz prowadzę tę kawiarnię na agencji.

EWA (*ironicznie*) No, to nie najgorzej...

JADZIA Tak się zdaje. (*wzdycha*) W tej branży też trzeba mieć układy. Chyba zamknę interes... Ale nie o tym. Widzicie, mój mąż też jest na Zachodzie. W Stanach. Już pięć lat. Miałam do niego jechać na Święta w osiemdziesiątym. No – nie pojechałam. A teraz, zamiast zaproszenia, przysłał mi pozew rozwodowy... Więc dobrze ciebie rozumiem.

Robi gest w stronę Bożeny; lody topnieją, dziewczyny są przejęte.
BOŻENA I co chcesz zrobić?

JADZIA Nie wiem... ale rozwodu mu nie dam. Teraz słuchajcie! Myślę, że mogę ci pomóc. Kazik jest tak wysoko w KW tylko dzięki mnie.

EWA Jak to?

JADZIA Kiedy nastąpiła ta wojna, Kazik się załamał. Włożył do koperty legitymację partyjną, napisał krótki list i wyjechał do rodziców. Ale ja otworzyłam kopertę, legitymację schowałam, napisałam podanie o urlop i dopiero to zaniiosłam do KW.

BOŻENA Niesamowite! I co dalej?

JADZIA Nikt nawet nie zauważył, że on wyjechał – przecież organizacje młodzieżowe zawieszono. Kazik chciał też ratować swoje małżeństwo, ale żona i tak od niego odeszła. Kiedy wrócił, był kompletnie rozbity. I raptem – telefon z KW, proponują mu awans. Kiedy odłożył słuchawkę, wyglądał jak zbity pies. Wtedy otworzyłam szufladę i podałam mu legitymację.

EWA (*wzburzona*) Niesamowite!

JADZIA (*zgaszona*) Kochałam go...

EWA A on?

JADZIA Ukłękł przede mną na podłodze i całował po rękach, i beczał.

EWA A ty?

JADZIA Trzasnęłam drzwiami. I nie widziałam go więcej.

BOŻENA (*zafascynowana*) O, kurcze!

JADZIA Dziwne, co? Miałam jechać do męża, kochałam się w Kaziku, nie wyjechałam, Kazik okazał się gnojkiem. Nie zostało mi nic. Kazik chciał zatrzymać żonę, choć przez cały czas kochał się w Ewie...

EWA (*ponuro*) Nie przesadzasz?

JADZIA Chyba nie. Zanim wykręcił ten numer z legitymacją, usiłował coś zrobić w sprawie twojego męża. Ale zewsząd go spławiali.

BOŻENA Niesamowite!

JADZIA (*nie bez satysfakcji*) Więc jestem pewna, że mi nie odmówi.

BOŻENA Czy ty naprawdę zrobiłabyś to dla mnie?

JADZIA Tak. Zadzwońię do niego, niech tam... Kazik pomoże. A wiecie co, dziewczyny – mam na zapleczu jakieś wino. Chodźcie na kielicha, zapraszam was...

BOŻENA (*z entuzjazmem*) Kapitalnie... I bardzo ci dziękuję!

EWA No... nie wiem...

JADZIA Chodź! Baby z babami zawsze się dogadają...

EWA (*z ociąganiem*) No, dobra.

Idą wszystkie w stronę zaplecza. Panowie z kąta wstali, kierując się do wyjścia po lewej.

PAN I Tracimy czas. One same nie wiedzą, gdzie jest Smulski.

PAN II Ale tej barmance trzeba się bliżej przyjrzeć.

Wychodzą, wyciemnienie.

Scena 4

Gabinet Kazika Stolarskiego. To samo pomieszczenie co w obrazie 1, ale zmienione. Dość staranne wyposażenie – fotele obite skórą, szafa pełna książek, telewizor i odtwarzacz wideo. Na ścianie niewielki portret Lenina i plakat reklamujący PRON.

Późne popołudnie, prawie wieczór, pali się światło. Za biurkiem siedzi Kazik – posiwiały, elegancki. Przegląda jakieś papiery. Otwierają się drzwi, wchodzi Sekretarka.

SEKRETARKA Towarzyszu kierownika, przyszła niejaka... (*patrzy na karteczkę*) Bożena Horst? Czy?...

KAZIK Tak, prosić. I w ogóle – skończymy już na dziś. Jest towarzyszka wolna. Tylko zamknijcie drzwi od sekretariatu, bo ja tu jeszcze trochę zostanę.

SEKRETARKA Dziękuję, towarzyszu, do widzenia.

Sekretarka wychodzi, do gabinetu wsuwa się Bożena. Jest wystrojona i onieśmielona. Kazik udaje, że jej nie dostrzega, pisze coś. Bożena zamyka drzwi za sobą. Kazik podnosi wzrok.

KAZIK A, pani Horst? Proszę siadać. (*nie podnosi się z miejsca, dalej coś notuje. Bożena wolno siada w głębokim fotelu, rozgląda się dokoła. Kazik zamyka akta*) Więc chodzi o paszport, jeśli dobrze pamiętam? Tak?

BOŻENA Tak, ja...

KAZIK Sprawa jest bardzo trudna. Już się zorientowałem. Prawdę powiedziawszy – nie widzę większych szans.

BOŻENA (*przerażona*) Ale jak to... przecież Jadzia...

KAZIK (*stanowczo*) Pani mąż pozostał nielegalnie we Francji. Natychmiast po ogłoszeniu stanu wojennego podjął działalność w strukturach antypolskich. Kontynuuje ją do dziś. Wszystko to fakty!

BOŻENA (*zmartwiała*) Ja wiem, ale...

KAZIK Tu nie ma żadnego ale. Nie skorzystał z amnestii. Udzielał wywiadów wrogim rozgłośniom.

BOŻENA (*przerywa*) Ja wiem, ale to mój mąż!

KAZIK Właśnie! A może pani chce wyjechać do niego jako kurier podziemia?

BOŻENA (*gorliwie*) Ależ skąd! Ja nigdy...

KAZIK Proszę tak nie mówić. Wiemy więcej, niż pani sądzi. Na przykład wiemy, że była pani blisko Smulskiego!

BOŻENA (*niepewnie*) Ale to już dawno.

KAZIK Mówmy krótko! Nie mamy żadnego interesu w tym, żeby panią wypuścić. Żadnego. A musimy mieć jakiś, bo wciąż toczy się walka. Co pani może zaoferować?

BOŻENA Ja... kiedy ja naprawdę... ja nic nie wiem.

KAZIK W porządku. Proszę posłuchać. (*łagodnieje*) Dostanie pani paszport... (*zawiesza głos*) już jutro... Tylko kilka drobnych informacji.

BOŻENA (*przeżażona*) Ja naprawdę nic nie wiem...

KAZIK Każdy z nas coś wie!

BOŻENA Ale nie ja...

KAZIK Chcemy mieć Smulskiego! Wszystkich już mamy, brakuje nam tylko jego. A pani wie, gdzie on jest!

BOŻENA (*żarliwie*) Nie, nie wiem... naprawdę! Czy mogę zapalić?

KAZIK Proszę! (*popycha po blacie biurka popielniczkę i paczkę carmenów; Bożena zapala jednego, zaciąga się głęboko*) A więc – taka jest cena!

BOŻENA (*spokojnie*) Ja muszę wyjechać! (*z pasją*) Muszę! Kto wie, może bym się złamała. Ale naprawdę nic nie wiem.

KAZIK (*łagodnie*) Dobrze... Ale na pewno zna pani kogoś, kto wie? To nam wystarczy.

BOŻENA (*zaciągając się głęboko*) Chyba nie...

KAZIK Na pewno! Chcę wiedzieć.

BOŻENA Nie znam nikogo! Jacek zmienił całą siatkę.

KAZIK (*twardo*) Kto?

Bożena milczy. Kazik wstaje zza biurka, otwiera drzwi gabinetu, pokazuje Bożenie drogę.

BOŻENA (*nie rusza się z miejsca*) Może... może Ewa?

KAZIK (*ostro*) Słucham?

BOŻENA No... Ewa Rabska... Pan ją przecież zna?

Kazik zamyka drzwi, dość ostentacyjnie przekręca zamek, wraca za biurko.

KAZIK (*z westchnieniem*) Widzę, że się nie dogadamy. To na nic. Może pani naprawdę nic nie wie?

BOŻENA (*gorliwie*) Tak, tak, to jest... nie, nie. (*pośpiesznie*) Ale ja się odwdzięczę, naprawdę! Wszystko, co pan chce...

KAZIK Wszystko?...

BOŻENA No... wszystko, co mogę... Ja...

Kazik milczy, Bożena gasi nerwowo papierosa, pąsowieje.

KAZIK Proszę nie kończyć. Czemu pani się żenuje? Jestem zwy-
czajnym człowiekiem. (*Bożena uśmiecha się*) A pani jest piękną
kobietą...

BOŻENA (*wstaje; zdecydowanie*) Teraz?

KAZIK Tak.

BOŻENA Ale... bo...

KAZIK Nikt nam nie przeszkodzi. Zaczynaj!

BOŻENA (*przymilnie*) A ty?

KAZIK Troszkę popatrzę. Jest na co.

BOŻENA (*niepewnie*) No, dobrze...

Zaczyna się rozbierać: zdejmuje rękawiczki, potem pantofle, patrzy zalotnie w stronę Kazika, który uśmiecha się krzywo, w końcu, powoli, rozpina zamek błyskawiczny sukienki, zdejmuje ją przez głowę. Okazuje się, że ma na sobie nieco frywolną bieliznę – pończochy z czerwonymi podwiązkami, jakieś koronki; staniczek i figi są zupełnie symboliczne, ledwie osłaniają jej zgrabne kształty.

BOŻENA No, chodź, chodź już... Nie mogę tak czekać!

KAZIK (*spokojnie*) No, taaak... to by było na tyle... (zły) Tak, wy jesteście liberalni, wy jesteście moralni, wy jesteście jedyni sprawiedliwi! (*wściekły*) A my świnię? Ale puszczać się, pieprzyć, kablować, to ty, dziwko, potrafisz?! (*wstaje zza biurka*) Co, wyobrażałaś sobie, że ja z tobą? (*Bożena stoi, przerażona*) Z taką dziwką, rozjechaną na pokotach? Miał cię, kto chciał, przyznaj się! (*Bożena szarpie bezskutecznie klamkę zamkniętych drzwi*) Ale ty się masz za moralną opozycjonistkę! Po kościołach wystawy robisz!!! A nas macie za nic! A mnie... chociaż ja... (*ze wzruszenia nie może mówić, podchodzi do drzwi, Bożena odskakuje na bok, Kazik przekręca zamek; odzyskuje głos*) Spierdajaj, ale już! (*Bożena stoi pośrodku pokoju, zamknęła oczy, twarz schowała w dłoniach*) No, wywalaj, na co jeszcze czekasz! (*pauza*) A, prawda... (*Kazik wolno wraca za biurko, siada, uspokaja się*) Masz, to dla ciebie...

Dłuższa pauza, Bożena wciąż trwa w bezruchu. Kazik wyjmując z szuflady biurka paszport, przez chwilę obraca go w dłoniach, potem rzuca na podłogę.

BOŻENA (*wkłada sukienkę, podnosi paszport; idzie w stronę drzwi, odwraca się*) Wiem, dlaczego mi to zrobiłeś, wiem!!! (*Kazik milczy*) Bo nie mogłeś tego zrobić Ewie! Tylko dlatego! Jesteś samotny, nieszczęśliwy gówniarz. (*Kazik trwa w bezruchu za swym wyniosłym biurkiem*) Ale nie licz na mnie! Niczego jej nie powtórzę.

Bożena wychodzi. Wyciemnienie.

GŁOS AUTORA I w ten sposób również Bożena Horst wyjechała z Polski. Jarek Danisz – wbrew jej obawom – czekał. Wtopili się szybko w międzynarodowy światek artystycznego Paryża, zrywając dawne, gdańskie więzi. Zwłaszcza o Ewie starała się Bożena – ze skutkiem – zapomnieć. Cóż, do jej wyjazdu doszło w wyjątkowych okolicznościach. Pewnie nie warto ich było wspominać.

Ale czas odlotów trwał. Wyjeżdżali złamani przez życie i rozpieszczeni, głodni sukcesu i nieświadomi tego, co robią. Wyjeżdżali sparaliżowani strachem i porażeni rozpaczą. Wyjeżdżali ci, co jeszcze potrafili stanowić o sobie. Moi rówieśnicy – bo wszyscy jeszcze byliśmy młodzi.

Pustoszało wokół nas coraz bardziej. Chyba jeszcze w 1983 roku po kolejnych aresztowaniach i amnestiach, pełna goryczy i zawodu, wyjechała z Polski bojowa dziennikarka Anka Solarz. Pracuje teraz w redakcji jakiegoś emigracyjnego pisma. Inaczej potoczyły się losy młodziutkiej łączniczki Jacka – Hanki Malewicz. Udało jej się uniknąć kolejnych aresztowań, przyczaiła się. Było to w roku 1984. Poznała wówczas przystojnego Szweda Erica. Ślub wzięli już w Sztokholmie. Teraz Hania ma już dwoje dzieci i nie zajmuje się polityką. Za to Eric często przyjeżdża do Gdańska, jest poważnym businessmanem. Zakłada joint venture.

Wkrótce po Bożenie wyjechał również Kazik Stolarski, tyle że w przeciwnym kierunku. Objął niezbyt eksponowaną posadę w biurze radcy handlowego w Moskwie. Wrócił niedawno, ale zatrzymano go w Warszawie na wysokim, podobno, stanowisku.

Tymczasem Marek wrócił na politechnikę i habilitował się. Został najmłodszym docentem na uczelni. Mniej więcej w tym

samym czasie odezwał się z Kalifornii Mariusz Bromecki, pisząc do Ewy długie listy. Po namyśle Ewa zaczęła odpowiadać. Tak się to potoczyło dalej...

Obraz 4

1987

Scena 1

Mieszkanie Ewy. Straszny nieład, wszędzie porozrzucane części garderoby, zabawki i ubranka dziecięce, książki, niedokończone szkice, rolki brystolu. Na ścianie portret papieża. Ewa zanie dbana, ubrana byle jak, nieumyte włosy. Marek zmęczony.

MAREK (*krąży nerwowo po pokoju*) Ewa, tak nie można! Weź się w garść! (*Ewa bawi się mechanicznie zapalniczką*) Przecież jesteś dobra. (*Ewa wzrusza ramionami*) Ewa! Wszystko się zmieniło, ale musimy żyć! A więc przede wszystkim pracować! EWA (*cicho*) Nie mogę.

MAREK Dlaczego? Nie zapomniałaś chyba, jak się rysuje?

EWA Nic nie rozumiesz... Tyle się wokół stało, wszystko się zmieniło. Moi przyjaciele wyemigrowali. Rozumiesz? Wy-em-i-gro-wa-li!!! Nie ma już niczego, czym żyłam. A ja mam się zachowywać tak, jakby się nic nie stało? Latać po zamówienia i robić plakaty reklamowe?

MAREK Chociażby.

EWA Kiedy nie mogę, naprawdę!

MAREK Ale możesz szyć, robić biżuterię?

EWA To co innego.

MAREK Nie widzę różnicy.

EWA Mogę zarabiać pieniądze, ale nie mogę tworzyć. To jest różnica! (*zła*) Czego chcesz? Latami zarabiałam na dom szyciem i biżuterią. Wtedy jakoś nie protestowałeś?

MAREK Robiłem habilitację.

EWA Przecież ci nie wymawiam. Ale nie mogę... Koniec, blokada. Jestem wypalona i pełna cierpienia. Do pieca ze mną.

MAREK Ewa... nie mów tak! Twoje cierpienie jest tylko odmianą braku woli. A pomijając wszystko inne, masz Kubusia... i mnie. EWA Kubuś i tak woli babcię... Wiem, wiem – to moja wina. A ty... (*po pauzie*) Och, gdyby nam się inaczej ułożyło, nie byłabym teraz w takim stanie.

MAREK (*czule*) Przecież zawsze ci ulegałem. Robiłaś to, co chciałaś. Wytrzymałem dużo... byłeś tylko przy mnie została.

EWA (*z goryczą*) I to właśnie było za mało, Marku! Czemu zawsze milczałeś? Czemu zgadzałeś się na wszystko? Trudno mi było uwierzyć, że ci naprawdę na mnie zależy.

MAREK Co miałem zrobić? Pobić przywódcę podziemia, który w gaciach łąził po mojej sypialni? Donieść na niego?

EWA (*twardo*) Nie! Ale nie wolno ci było milczeć! Po każdej naszej życiowej klęsce popadałeś w depresję i pragnąłeś tylko jednego – żebym natychmiast się z tobą przespała. A jak już to się stało, jechałeś w Tatry. (*Marek milczy*) Nie tak było?

MAREK (*ponuro*) Tylko tam czułem się dobrze.

EWA Nie byłeś dobrym mężem. A ja byłam złą żoną. Trzeba to sobie wreszcie powiedzieć. Za mało się kochaliśmy, za bardzo to wszystko było rozpaczliwe – ślub, dziecko...

MAREK (*przerywa*) Kochałem tylko ciebie.

EWA Wiem. Ale to za mało. Byłam silna, byłam zaborcza, żądałam wszystkiego. A ty, słabeusz, potrafiłeś doskonale się bronić. Byłeś potulny, ale miałeś własny świat. Chodziłeś za mną jak wierny pies, ale myślałeś o fizyce albo Tatrach. Wiedziałeś, że jestem nieszczęśliwa, że uciekam od ciebie... I co? Kamieniałeś, zamykałeś się w sobie, albo w laboratorium. Byłeś gotów wszystko mi wybaczyć, bylebym tylko spała z tobą jak najczęściej. A ja ciebie nienawidziłam za to, że nic cię nie obchodzi... Nic. Gdzieś masz moje rozpacz, trwogi, bunt i uciezki...

MAREK Byłem obezwładniony przygnębieniem, jak sparalizowany...

EWA (*krzyczy*) Ja też byłam nieszczęśliwa!

MAREK Ale...

EWA (*przerywa*) Wiem, co chcesz powiedzieć – że to ja byłam winna. Może. Tylko jakie to ma znaczenie teraz, po latach,

kiedy oboje jesteśmy nieszczęśliwi! I jeszcze – mamy dziecko, a nie mamy pieniędzy i żadnych perspektyw.

MAREK No, przesadzasz...

EWA Nie, Marku, ja nie przesadzam. Z tych wszystkich ciężkich prób ty wyszedłeś obronną ręką. Masz pozycję, robisz karierę. A ja? Ja jestem skończona. Nie mam przyjaciół, nie mogę pracować. Nikt się mną nie interesuje. Nikt! Dla nikogo nie jestem ważna.

MAREK Ewa! Wiesz, że nigdy nie chciałem wyjeżdżać. Ale może to coś zmieni? Chcesz, przyjmę tę propozycję z Toronto? Pojedziemy na rok, potem zobaczymy. Nie my pierwsi w końcu.

EWA I co? Mam być gdzieś tam profesorską żoną, która potrafi się dogadać po angielsku tylko w supersamie? Całe dni z dzieckiem? W czterech ścianach? Nie! *(po pauzie)* Ech, mogłam pojechać dziesięć lat temu z matką!

MAREK *(dotąd krążył po pokoju, teraz siada)* To co będzie z nami?

EWA *(zapala papierosa)* Nie wiem... *(wstaje, teraz ona zaczyna krążyć po pokoju)* Nie wiem... Ale tak dalej nie może być. Jestem w psychicznym dołku, a ty nie potrafisz mi pomóc. Jesteś do niczego. Przy tobie idę w dół.

MAREK Co chcesz zrobić?

EWA Nie wiem! Muszę sama sobie dać czas. Może będziemy razem, może nie – ale nie wtrącaj się, nie przeszkadzaj. Muszę znaleźć przyjazną duszę, muszę zacząć pracować. Chcę zobaczyć się z Jackiem. To dla mnie ważne.

MAREK Przeprowadzę się do rodziców.

EWA Ty znowu myślisz tylko o jednym, o łóżku. A to naprawdę nie o to chodzi!

MAREK Ale jakoś bez tego nie może się obyć.

EWA Dla mnie to nie ma większego znaczenia. Zrozumiem to wreszcie! *(Marek milczy)* Daj mi czas... będę szukała. Bardzo liczę na Jacka, cieszę się, że przyjedzie Mariusz. Tyle lat go nie widziałam! I zrozumiem, błagam cię... to nie chodzi o to, że ja będę sobie wybierała między wami trzema. Ja chcę się tylko na nowo odnaleźć w tym spalonym świecie. Chcę wiedzieć, jak inni sobie radzą z tymi samymi sprawami.

MAREK Ewa! Co ty gadasz! Jaki spalony świat? Skończył się dawno czas euforii i egzaltacji, ale to i tak ciekawy kraj. Płaczemy za to nędzą, ale nareszcie coś się tu zmieniło.

EWA (*wzrusza ramionami*) Dla mnie to jest ziemia jałowa. Muszę szukać swego miejsca.

MAREK Więc rób, co chcesz... Daję ci wolną rękę.

Dzwonek do drzwi, wchodzi Jadzia. Rozpromieniona, odświętna, tańczy jakiś dziki taniec.

JADZIA Co tak siedzicie, jak zamurowani? (*cisza*) Słuchajcie, jestem taka szczęśliwa.

EWA Co się stało?

JADZIA Jadę! Jadę do Chicago! Nareszcie!...

EWA Ale co się stało?

JADZIA Mój mąż napisał. Chce zgody, ściąga mnie do siebie. Za miesiąc wyjeżdżam.

MAREK I zostaniesz?

JADZIA (*entuzjastycznie*) No jasne, na zawsze... Nie cieszycie się? Na zawsze!... Jaka ja jestem szczęśliwa!

Ewa i Marek milczą. Wyciemnienie.

Scena 2

Dawna kawiarnia klubu studenckiego „Zamek” – teraz szpanerski „bar rozrywkowy” pierwszej kategorii, choć nazwa wciąż ta sama; widać właścicielowi żal neonu zainstalowanego niegdyś przez Jadzię. Typowy pseudoluksus roku 1987. Ściany, bar, stoliki – wszystko pomalowane na czerwono. Reklamy zagranicznych trunków i tytoni. Przy jednym ze stolików – Marek, Jacek, Wiktor. Butelka wódki, zakąski, pepsi, kawa. Pustawo, choć przy innych stolikach siedzą nieliczni goście, a wśród nich poznani już wcześniej – Student i Studentka, Stoczniowiec, Panowie w średnim wieku, Kelner, Sekretarka, Kazik Stolarski.

WIKTOR No, to zdrowie! Za nasze spotkanie! (*wypijają po kieliszku*)

JACEK (*kręci głową*) Ależ tu się zmieniło! Nigdy bym nie uwierzył, że to nasz stary „Zamek”.

WIKTOR Wszystko się zmieniło, ale to dobrze. Powinno się zmieniać.

MAREK Tak myślisz?

JACEK A ja nie mogę się przyzwyczaić. Prawie trzy lata się ukrywałem, prawie rok siedziałem. Kilka miesięcy wolności – i znów do pierdła. A teraz – nie rozumiem już tego kraju.

MAREK Czy dlatego tak długo nie miałeś dla nas czasu? Parę miesięcy już minęło, jak wyszedłeś.

JACEK Nie gniewajcie się. Po prostu siedziałem kołkiem w domu, czytałem, pisałem. Mnóstwo ludzi się na mnie obraziło... Nie ważne. Mówcie, co u was? Marek? Kiedy będziesz profesorem?

MAREK (*śmieje się*) No, jeszcze, jeszcze.. Ale sezon miałem udany. Siedziałem w tym roku w Tatrach dwa miesiące! Z pracą też do przodu, choć właściwie nie mam tu warsztatu.

JACEK Czemu nie wyjedziesz? Nie masz zaproszeń?

MAREK Mam, mam... Toronto, tradycyjnie Japonia, Miami. Ale nie chcę teraz wyjeżdżać.

JACEK A ty, Wiktor?

WIKTOR Uśmiejcie się, ale właśnie wybrano mnie dziekanem, u nas...

MAREK Gratulacje!

WIKTOR To nieważne. Jest jeszcze ciągle ciężko – i na uczelni, i w domu – ale (*do Jacka*) to jest jednak inny kraj! Z Sierpnia zostało bardzo dużo i tego nam nie zabiorą. Rzecz w tym, co zdołamy z tego wycisnąć.

JACEK (*niechętnie*) O czym ty mówisz? Czy my mamy firmę komputerową? Albo szklarnię? Co my możemy wyciskać? Jesteśmy byłą inteligencją na aucie. I tyle.

MAREK Przesadzasz. Śledzą cię, rewidują, nie masz pracy?

JACEK No, nie..

MAREK Więc o co chodzi, skoro możesz pracować? Nie jesteś już wiceprzewodniczącym, tylko zwykłym panem Smulskim, ale masz nadal swój zawód i kapitał moralny, który zdobyłeś w ostatnich latach. To bardzo dużo!

WIKTOR Marek ma rację.

JACEK No i co z tego?

MAREK Bardzo dużo. Możesz się włączyć w wiele inicjatyw. Wiktor zakłada właśnie prywatny miesięcznik literacki, ja, z paroma osobami, Towarzystwo Ekologii Społecznej...

JACEK (*niechętnie*) Nie, nie... to już nie dla mnie. Ja się wypaliłem. Dość mam podziemia, niepewności, nocnych konwentykli i pisemek, których nikt nie czyta.

MAREK Nie rozumiałeś. To, co robimy, jest legalne.

JACEK Czy wyście poszaleli? Daliście się kupić?

WIKTOR Ależ nie. My sami to wszystko zakładamy.

JACEK I sądzicie, że wam pozwolą?

WIKTOR Możliwe. Słuchaj, Jacek, to jest naprawdę... inny kraj.

JACEK Ale nie dla mnie. (*po pauzie*) Widzicie – przyszedłem tu dzisiaj, żeby się z wami pożegnać. Wyjeżdżam.

MAREK Jak to? Dokąd?

JACEK Czy to ważne? Ważne, że się wyjeżdża stąd. Stąd do Ameryki, stąd do Holandii, stąd do Kanady – to już wszystko jedno.

MAREK A ty dokąd jedziesz?

JACEK Do Włoch. Będę uczył dzieci.

WIKTOR Chyba żartujesz?

JACEK (*ponuro*) Nie. Będę wykładał fizykę na małym uniwersytecie. W końcu doktorat mam.

WIKTOR Przecież nie znasz włoskiego?

JACEK To co? Fizyki też już zapomniałem.

WIKTOR Odpoczniesz i wrócisz.

JACEK Nie wiem... Nie wykluczam. Ale nie chcę wracać. Zrobiłem tu swoje.

MAREK Mnie się tak wydawało już w Sierpniu.

WIKTOR Jakie „swoje”? Przecież to, co dotąd robiłeś, to jest praca, której nigdy nie można skończyć, nawet w szczęśliwszych krajach niż nasz. (*Jacek milczy*) I tak łatwo rezygnujesz ze wszystkiego? Z Polski?

JACEK (*wypija nerwowo kieliszek, dolewa*) Powiem wam szczerze: takiej Polski mi nie żal.

MAREK Nie rozumiem – jakiej Polski ci nie żal?

JACEK Powiem wam szczerze, co myślę – pomyliliśmy się. Wszyscy się pomyliliśmy. Nie można na tym samym sztanda-

rze, obok siebie pisać „równość” i „wolność”. W rzeczywistości to jest alternatywa – albo „równość”, albo „wolność”. A my, niechcący, sprzedaliśmy wolność... Naszą własną. To jest w tej chwili kraj triumfującego egalitaryzmu. Otworzyliśmy jakąś puszkę Pandory, wyzwalając nadzieje, marzenia, pragnienia, ambicje... Przede wszystkim ekonomiczne. A przecież nie o to chodzi. Tych oczekiwań nie można zaspokoić, bo to jest po prostu biedny kraj!

WIKTOR (*surowo*) Nie rozumiem? Czy to znaczy, że mamy porzucić nadzieję?

JACEK (*zmęczony*) Och, nie wiem... Może tak? Może trzeba się nauczyć żyć z poczuciem tragizmu naszego losu?

MAREK No, ciebie to nie dotyczy, skoro wyjeżdżasz?

JACEK Tak myślisz? A ja się boję, że to mnie dopadnie wszędzie. Bo to również ja się pomyliłem. Po Sierpniu przyjęliśmy w jakiś dziwny sposób język i sposób myślenia czerwonych. Tak jak oni stawialiśmy na klasę robotniczą, wierzyliśmy tylko w nią. A czy coś takiego w ogóle jeszcze istnieje? Wątpię. Między Sierpniem a Grudniem to ich ciśnienie dyktowało rozwój wydarzeń, a my – inteligencja – byliśmy często ubezwłasnowolnieni. I masz – minęło kilka lat a zostaliśmy sami! Oni o niczym nie pamiętają! Nic a nic. Geszefty robią, fuchy, interesy zakładają, dyskoteki, budują się, jeżdżą na saksy!

MAREK Ależ to objaw życia!

JACEK Może, ale myśmy w te masy uwierzyli, wyznaczyliśmy im jakąś niesamowitą rolę.

MAREK Więc jesteś po prostu rozczarowany?

JACEK Jeśli chcesz to tak nazwać... Tu wszyscy wszystkich ściągają za nogi we własne błoto. Nie zrobimy nic sensownego przez najbliższe sto lat. Oni mają rację, choć i tak nic im nie wyjdzie.

WIKTOR Nie rozumiem? Kto ma rację?

JACEK Komuniści! Gdyby przycisnęli tę swoją reformę, doprowadzili do gospodarki rynkowej, wymienialności pieniądza i strategicznego bezrobocia, to może by wygrali z tym pieprzonym egalitaryzmem. Ale oni nie chcą. Albo nie chcą, albo nie mogą.

MAREK Jacek, co ty bredzisz? Egalitaryzm cię w oczy kole? To jest twoja największa bolączka?

WIKTOR To nie jest nowa lekcja historii.

JACEK (*impulsywnie*) Historia! Ja tę lekcję brałem na własnej skórze! Dlatego wyjeżdżam.

MAREK Szkoda.

WIKTOR Oj, tak, ja też jestem cholernie zaskoczony, a jeszcze bardziej rozczarowany.

JACEK Wiem. Ale tu się nie będzie nic działo przez najbliższe dwadzieścia lat. Możecie mnie winić, potępiać. I tak czuję się jak dezertier. Wyjeżdżam pojutrze, a nie załatwiłem tylu spraw, nie zobaczyłem tylu ludzi.

WIKTOR Wiesz, kogo możesz spotkać pod Rzymem? Sławka.

JACEK Tego lekarza? On też wyjechał?

WIKTOR Prawie wszyscy wyjechali... z naszej dawnej paczki. A Sławek Nagórniak siedzi w obozie w Latinie. Z żoną i dziećmi. Już rok.

MAREK (*otrząsa się*) Straszne.

WIKTOR Pisał, że niedługo jadą do Kanady. (*po pauzie*) Przepraszam was na chwilę. (*wstaje, idzie w stronę hallu*)

JACEK Słuchaj, Marek, tak mi ciężko wyjeżdżać. Nie pogadałem z tobą.

MAREK No, вина jest podzielona. Ja też z tobą nie pogadałem.

JACEK Słuchaj, pozdrów ode mnie Ewę, dobrze?

MAREK Czemu sam tego nie zrobisz?

JACEK Już za późno.

MAREK Ewa będzie rozczarowana. Liczyła na ciebie.

JACEK Ja też na siebie liczyłem.

Do stolika wraca Wiktor.

WIKTOR Słuchajcie, nie ma co tu siedzieć. Dzwoniłem do żony, żeby ją uprzedzić i zapraszam do mnie. Zgoda?

Na podium estrady wchodzi konferansjer, jest to dawny discjockey z „Zamku”, mocno już posiwiały i wyliniały.

KONFERANSJER Panie i panowie! Witamy na wyrefinowanym wieczornym programie artystycznym w barze rozrywkowym „Zamek”, którym postaramy się umilić państwu dzisiaj-

szą noc. Jako pierwsza wystąpi nasza ulubienica Sara w swoim erotycznym tańcu orientalnym!

Skąpe oklaski. Wschodnia muzyka, reflektory, wbiega Sara w bardzo skąpym stroju, zaczyna niezgrabnie płasać, rozbiera się.

MAREK No tak, najwyższa pora, żeby stąd spływać.

JACEK Sami widzicie, jaki to kraj – moja matka była przez czterdzieści lat pielęgniarzką i ma parę tysięcy renty. Ale ludzie pracy odpoczywają przy Sarze...

MAREK Czego ty właściwie chcesz, Jacek? Przecież właśnie mówisz jak skrajny egalitarysta.

JACEK Może, może... (*wstawiony*) Wiecie, cieszę się, że mnie rozumiecie. Dla innych będę spalony.

WIKTOR (*kiwa głową*) Pewnie tak. (*pauza*)

MAREK (*wstaje*) Chodźmy już.

Wstają wszyscy. Wyciemnienie.

Scena 3

Mieszkanie rodziców Marka, bez zmian. Marek pakuje plecak. Cicho zamykając za sobą drzwi do bocznego pokoju, wchodzi Ewa.

MAREK Śpi?

EWA Jeszcze nie. Ale mama jest przy nim. Uśpi go.

MAREK Idziesz już?

EWA Tak. Strasznie jestem zmęczona. Odpocznę bez was. To mi dobrze zrobi.

MAREK Mam nadzieję.

EWA Tobie też pomoże ten wyjazd. Zobacysz.

MAREK Czy mam lepszy wybór?

EWA Marku, proszę cię, nie zaczynaj.

MAREK Kiedy siedzę, zmęczony, na Zawracie albo Szpiglasowej, to czuję się dobrze. Jestem sobą.

EWA (*z goryczą*) Tak, tak... wy wszyscy potraficie tylko uciekać. W góry, do Ameryki, do Włoch.

MAREK Wziął cię ten wyjazd Jacka.

EWA (*surowo*) Nigdy mu tego nie daruję.

MAREK Każdy ma prawo wyboru własnego losu.

EWA Ale on nie.

MAREK No, niektórzy również wracają.

EWA Tylko nie wiem po co.

MAREK Wkrótce się dowiesz.

EWA Nie, Marku, to skończone. Chcę się zobaczyć z Mariuszem, ale to skończone. Jemu też nie mogę darować. *(milczą oboje)* No, nieważne. Jedź, odpoczywaj, a po powrocie siądziemy i porozmawiamy poważnie o wszystkim. Zgoda? *(Marek milczy)* Czemu nic nie mówisz?

MAREK *(mechanicznie)* Oczywiście, siądziemy i porozmawiamy...

EWA Kiedy masz pociąg?

MAREK *(patrzy na zegarek)* Za godzinę.

EWA Idę.

Wkłada lekki płaszcz, ściska rękę Marka, odwraca się jeszcze w drzwiach. Wychodzi. Otwierają się boczne drzwi, wchodzi Matka.

MATKA No, Kubuś śpi. Ewa poszła?

MAREK Tak.

MATKA Nie pożegnała się?

MAREK Oj, mam, znasz Ewę od lat.

MATKA Znam, znam. A ty się spiesz, bo nie zdążysz na pociąg.

Otwierają się drzwi z lewej, zagląda przez nie Ojciec.

OJCIEC Ewa już poszła?

MATKA Poszła, poszła... *(Ojciec wchodzi)* Nie przesadzałbyś, w końcu to synowa.

OJCIEC Ona mnie nie toleruje, ja jej.

MATKA Tak, tak – Ewa przesadza. Wszystko jej się nie podoba. Jak tata chciał wstąpić do PRON-u było źle...

MAREK Bo było.

OJCIEC Każdy popełnia błędy.

MATKA Ale jak zaczął działać w radzie diecezjalnej, też jej się nie podobało.

MAREK Dajcie spokój, mówiliśmy o tym dziesiątki razy.

MATKA Ona nie jest dla ciebie, synku, zawsze ci to powtarzałam.

MAREK (*stanowczo*) Czy mama wie, gdzie jest mój śpiwór?

MATKA W pawlaczu.

MAREK To może mama mi przyniesie. Zaraz wyjeżdżam.

Matka wychodzi.

OJCIEC (*uroczyście*) Synu, muszę z tobą poważnie porozmawiać.

MAREK Teraz? Przecież zaraz wyjeżdżam.

OJCIEC Teraz! Bo nigdy nie masz dla mnie czasu.

MAREK Więc słucham?

OJCIEC Synu, uważam, że powinieneś wyjechać.

MAREK Właśnie wyjeżdżam.

OJCIEC Ale z Polski! Na stałe. Powinieneś emigrować.

MAREK (*zdumiony*) Co ty mówisz?

OJCIEC Tak, ja ci to mówię. Rzuć Ewę, nic z tego nie będzie. Kubusia my ci odchowamy, a ty jedź w świat, rób karierę. Tu już nie masz czego szukać.

MAREK (*ze śmiechem*) I ojciec to mówi? A gdzie nasze patriotyczne tradycje, gdzie obowiązki wobec ojczyzny?

OJCIEC Wobec siebie też masz obowiązki. A tutaj nikomu nie jesteś potrzebny.

MAREK Czy tata wie, że nawet papież potępia emigrację?

OJCIEC Wiem, ale z tobą to co innego. Ty się tu marnujesz.

MAREK Pluł ojciec na Jacka, kiedy wyjechał.

OJCIEC To co innego. On był potrzebny, ludzie na niego liczyli. A ty już tu nic nie zdziałasz, zmarnujesz się.

MATKA (*wraca ze śpiworem*) Ona cię zmarnuje.

MAREK (*serio*) Niech tata posłucha – prawie wszyscy już stąd powyjeżdżali. Z mojej dawnej paczki został tylko Wiktor. Różnie im się powodzi, jedni porobili kariery, inni gonią tylko za forszą, jeszcze inni biedują. Jeszcze zaczną wracać... Ale ja nie pojadę. Czuję, że bez względu na to, ile bym zyskał – w ostatecznym rozrachunku i tak bym stracił. To nie jest kwestia ani patriotyzmu, ani strachu. Oni wszyscy powyjeżdżali, bo czuli niedostatek wolności. Nie wiem, czy teraz są szczęśliwi, ale ja i tak, choć nie jestem ani szczęśliwy, ani bogaty, czuję się wolny.

Wolny tu t a j. Dlatego zostanę. I nie mówmy o tym więcej, ojcze.

OJCIEC Gdybyś raz posłuchał spokojnej argumentacji...

MAREK (*stanowczo*) Nie chcę! I muszę już iść, za chwilę mam pociąg. (*czule całuje Matkę w policzek, ściska Ojca; zatrzymuje się w drzwiach*) Pocałujcie ode mnie Kubusia. Do widzenia! Marek wychodzi. Wyciemnienie.

Scena 4

Mieszkanie Ewy. Przy niskim stoliku siedzi Mariusz, siwiejący już, zmęczony – nad szklanką, z papierosem – tak jak w obrazie pierwszym. Na stoliku butelka whisky, rozrzucone zdjęcia, jakieś wycinki. Gra radio. Wchodzi Ewa z plastikowym pojemnikiem w ręku. Wygląda ładnie, jest ożywiona.

EWA No, jest wreszcie lód... (*wysypuje kilka kostek do szklanki, piją*) No i co dalej, opowiadaj...

MARIUSZ Trudno streścić tyle lat... Potem przyszły bardzo złe czasy. Siedziałem ciągle w Nowym Jorku, kiedy tu zaczął się kocioł. Byłem bez grosza, pracowałem fizycznie to tu, to tam. Już myślałem o powrocie. Ale nawinęła się baba... Przykro o tym mówić... Nie ma powodu do dumy. To była taka stuknięta Amerykanka, młoda i kompletnie rozpuszczona. Szlajała się po całych Stanach, puszczając forszę po tatusiu...

EWA Zakochała się w tobie, oczywiście...

MARIUSZ (*krzywi się*) Bo ja wiem... Chyba nie. Mówię ci, że była lekko stuknięta. Potrafiła tylko pić i barłóżyć się. Nimmomanka.

EWA (*ironicznie*) No, to nieźle trafiła.

MARIUSZ (*serio*) Ona też tak myślała. Ale ja miałem po tygodniu dosyć... (*urywa*)

EWA I co dalej?

MARIUSZ Delilah – tak miała na imię, wyobrażasz sobie – zabrała mnie do Kalifornii. Tak było, nie ma co ukrywać. Byłem z nią i żyłem z niej.

EWA Długo?

MARIUSZ Prawie pół roku... (*popija*) Finał tej historii był okropny. Odnalazła ją rodzinka... Mieszkaliśmy w jakimś motelu pod Los Angeles. Pokłóciliśmy się, zabrałem manatki i przeniosłem się do kumpla, Polaka. Ale to była tylko manifestacja, przecież nie miałem grosza. Nad ranem zadzwoniła, błagała, żebym wrócił. Kiedy wszedłem do pokoju, zastałem ją w objęciach kelnera, bambusa...

EWA Okropne.

MARIUSZ Czekaj... tuż za mną wpakowała się jej rodzinka, z lekarzem. Ona zaczęła krzyczeć, że bambus i ja ją gwałcimy! Przymknęli mnie znowu, wyobrazasz sobie?

EWA Staram się.

MARIUSZ Kiedy się wyjaśniło i wyszedłem, nie znalazłem już kumpla Polaka ani swoich rzeczy. Byłem sam, jak palec, w Los Angeles, bez centa. (*milczy chwilę*) Ale jakoś sobie radziłem. Pracowałem dla znanego grafika jako murzyn, za grosze. Ale miałem *job*, i to w zawodzie. Powoli się odkuwałem. Zalałwiłem sobie *green-card*, to takie pozwolenie na pracę, i *social number*... Wiesz, to są sprawy podstawowe, bez tego ciebie nie ma, jesteś poza prawem...

EWA Ale opowiadaj dalej.

MARIUSZ Cały czas myślałem o tobie. Naprawdę. Miałem różne baby, ale bez znaczenia. Wierzysz?

EWA Co za różnica?

MARIUSZ Zresztą miałem stałe wiadomości o tobie.

EWA (*zdziwiona*) Coś takiego. Pewnie od Bożeny?

MARIUSZ Nie, od Jacka. Pisał cały czas, nawet z ukrycia. Więc wszystko wiedziałem, również to, że ci się nie układa.

EWA Nie mówmy teraz o tym. Co było dalej?

MARIUSZ Już wiesz. Jakoś się odkułem.

EWA Ciężką pracą i niczym więcej? Skąd masz galerię, ten dom (*przerzuca zdjęcia*), samochody?

MARIUSZ Poszczyściło mi się.

EWA Słuchaj, Mariusz, chcę wiedzieć wszystko.

MARIUSZ (*śmieje się sztucznie*) Naprawdę nieźle się odkułem ciężką pracą. Prawie nie piłem, zasukałem, nałapałem sporo kontaktów...

EWA (*nieustępliwie*) A potem?

MARIUSZ (*z westchnieniem*) To taka bardzo amerykańska historia, a przy tym przykra i głupia. Krótko mówiąc: miałem romans z kobietą w średnim wieku, przystojną, mądrą... Miała tylko jedną wadę – była mężatką. (*robi pauzę, zapala papierosa*) Wadę, a może zaletę?

EWA Dlaczego?

MARIUSZ Tylko nie pomyśl, że byłem wyrachowany. To był przypadek. No więc jej mąż dowiedział się jakoś o mnie. Chwytał swojego colta, zasadził się na mnie – i postrzelił.

EWA Aha...

MARIUSZ No, tak... Potem się opamiętał... Chciał uniknąć skandalu, procesu, kosztów.

EWA Więc?

MARIUSZ Przystałem na odszkodowanie. To nie była fortuna, mogłem wyciągnąć więcej, ale...

EWA Ile?

MARIUSZ Nikomu o tym nie mówiłem, nawet rodzinie...

EWA Ile?

MARIUSZ Nie powiem... (*śmieje się nieszczerze*) W każdym razie mogę się nie martwić o przeszłość.

EWA (*zamysłona*) Miałeś szczęście.

MARIUSZ Hmm... można to tak nazwać.

EWA Co teraz robisz? Malujesz chociaż?

MARIUSZ No, właściwie nie. Prowadzę galerię... A ty? Pracujesz?

EWA Też nie. Nie mogę. Ale chciałabym zacząć.

MARIUSZ Sama widzisz. To nie takie proste, po dłuższej przerwie. (*Ewa milczy*) Powiedziałem ci wszystko, tak jak chciałaś. I co?

EWA Co „i co”?

MARIUSZ Co z moją propozycją? Przecież twoje małżeństwo się rozsypało. Tu nic nie masz, nic cię nie trzyma! Wyjedź ze mną.

EWA Jeśli tak ci na mnie zależy, czemu nie zostaniesz tu? Ze swoimi dolarami mógłbyś tu działać cuda.

MARIUSZ Albo wszystko stracić, bo czerwoni zablokują konta. Nie, Ewa, to już nie dla mnie. To jest grajdoł, z którym łączą mnie tylko nie najlepsze wspomnienia młodości.

EWA (*trochę ironicznie*) To jest bardzo ciekawy kraj.

MARIUSZ Może... nie wiem. Ja tego nie czuję. Zresztą ja wolę bogaty kraj od ciekawego kraju.

EWA Tu byłbyś jeszcze bogatszy.

MARIUSZ Tak, bo tu wszyscy są biedni. Nie... to mnie nie urządza. Ewa, kochana, ja naprawdę nie mogę tu zostać. Już nie potrafię. Gdybyś wiedziała, jak dobrze jest żyć w kraju, gdzie wszystko działa tak jak trzeba, wszystko jest na swoim miejscu... Dlaczego i ty nie miałabyś tego spróbować? Przyjeźdź, pomieszkaj, zobacz, sama zdecydujesz. Odpoczniesz po tym zamęcie i młynie tutaj, n Kupisz sobie ciuchów. Kubuś pocho-
dzi do dobrej szkoły, naucz się języka.

EWA Więc zapraszasz mnie z dzieckiem?

MARIUSZ No jasne! Ewa, a więc o to chodzi...

EWA (*przerzywa mu*) Nie, nie o to chodzi. Tylko, że Kubuś ma jeszcze ojca.

MARIUSZ Który na wiadomość o moim przyjeździe wybrał się w Tatry.

EWA To może świadczyć o jego wielkiej delikatności.

MARIUSZ Albo o obojętności. Ewa, o czym my mówimy? Spędziliśmy pół nocy w łóżku. Przecież chciałaś tego?

EWA Tak.

MARIUSZ Ja też. Kochaliśmy się.

EWA Kiedyś tak było...

MARIUSZ Spałaś ze mną dziś!

EWA (*z udręką*) Och, Boże, czy to takie ważne...

MARIUSZ A nie?

EWA Dla mnie nie. Słuchaj, Mariusz, zastanowiłam się już. Doceniam twoją propozycję, ale nie pojadę.

MARIUSZ Nawet na próbę, na wakacje?

*Radio nastawione na nocny program Warszawy I zaczyna nada-
wać „Ostatnie wiadomości Muzyki Nocą”.*

MARIUSZ Czemu nie chcesz przyjechać? Przecież to bez sensu! Dwa-trzy miesiące... Niczym nie ryzykujesz.

EWA Nie.

MARIUSZ Ale dlaczego? Wytłumacz!

EWA Bo postanowiłam być dobrą żoną i matką. Chcę, żeby Marek tu wrócił.

MARIUSZ Właśnie dzisiaj to wymyśliłaś, tak?

EWA Tak.

MARIUSZ Po nocy ze mną?

EWA Tak.

MARIUSZ *(zły)* Dziękuję ci bardzo.

EWA *(zmęczona)* Nic nie rozumiesz... Chcę zostać z Markiem, bo chcę być wierna. *(Mariusz usiłuje przerwać, Ewa szybko)* Chcę zostać wierna s o b i e! Moje życie tutaj... przez te dziesięć lat... było naznaczone zdradą – och, może to zresztą zbyt duże słowo – powiedzmy, niewiernością. Nie dochowałam wierności – sobie, zasadom, ideom, mężowi. Zresztą, być może najgorszym rodzajem niewierności jest utrata wiary? *(Mariusz znów usiłuje coś powiedzieć)* I po co ja ci to mówię? Przecież ty najlepiej wiesz, co to niewierność? *(pauza)* Chcę zostać z Markiem, bo wierzę, że odzyskam niewinność... Potrzebuję tego. Chcę odzyskać czystość.

GŁOS SPIKERA RADIOWEGO Jak informuje naczelnik Grupy Tatrzańskiej GOPR Robert Strachocki – przed paroma godzinami, po długotrwałej akcji ratunkowej... *(Ewa nasłuchuje, Mariusz podkręca głoś w radiodbiorniku)* tatrzańscy ratownicy odnaleźli ciało turysty, który nie wrócił z wycieczki na Szpiglasową Przełęcz. Jak się okazało, kolejną ofiarą gór – już dziesiątą w tym roku – jest docent Marek Mirski z Gdańska, znany fizyk średniego pokolenia i taternik. *(po pauzie)* Ze sportu: międzynarodowy mistrz w kick-boxingu Sebastian Pyrdoł wygrał bardzo silnie obsadzone zawody w Saarbrücken, pokonując w finale mistrza Europy Fina Juha Vainalainen. Jak powiedział zwycięzca korespondentowi PAP, poziom zawodów wskazuje na to, iż dystans, jaki mamy stąd do Ameryki, został znacznie zmniejszony...

EWA O, Boże! Wyłącz, proszę cię, wyłącz radio!

Mariusz nie rusza się z miejsca. Zastygł z głową schowaną w dłoniach, z papierosem tłącym się między palcami, nad pustą szklanką. Wyciemnienie. Głos spikera dudni jeszcze przez chwilę

w ciemności rozjaśnionej tylko dwiema smugami światła – jedna wydobywa z mroku Mariusza, druga – postać Ewy, stojącej twarzą do widowni. Głos cichnie, ale smugi światła malują dalej dwie nieruchome postaci dwojga przegranych ludzi.

GŁOS AUTORA I tak się kończy ta historia... Ale tylko ta historia, którą tu opowiedziałem. Nasz zbiorowy los jeszcze się nie wypełnił, jeszcze piszemy swoje biografie i każdy do nich komentarz byłby przedwczesny. Tu i tam porozrzucani, osobni już i pojedynczy, niesiemy przecież cząstkę wspólnego doświadczenia. Może nasze wybory zsumuje czas?

Więc zanim to się stanie, wstrzymajmy się od komentarza. Opowiem tylko fakty... W trzy miesiące po pogrzebie Marka Ewa wyjechała z Kubusiem do Ameryki. Mieszkają teraz razem z Mariuszem w Oceanside koło San Diego. Klimat jest tam dla nas – ludzi północy – ciężki: mordercze upały, rzadkie deszcze. Ludzi wokół mało, jeszcze mniej Polaków. Z tymi nielicznymi Mariusz popija całymi dniami na zapleczu swej galerii sztuki, która jest raczej sklepikiem. Ewa, przez pierwsze miesiące pogrążona w depresji, odzyskała stopniowo równowagę ducha, poświęcając wiele czasu dziecku. Kubuś, choć tęskni rozpaczliwie za babcią i tatusiem, szybko nauczył się angielskiego i poczuł się doskonale w amerykańskiej szkole. Uspokojona Ewa zaczęła pracować. Maluje całymi dniami. Może zrobi karierę, może zacznie wystawiać?

Może na jej wystawy będą przychodzili dawni przyjaciele i znajomi: Jacek Smulski, Bożena Horst, Darek Woźniak, Bartek Chmielewski, Sławek Nagórniak, Krzychu Wenta, Ewa Boćko, Jarek Danisz, Elo Zabramski, Hania Malewicz, Jadzia Soldatkowa i tylu innych – za którymi tęsknię, których zapominam... Może się spotkają, upiją i nad ranem zapytają o to, o co my tutaj też często pytamy: czy jesteśmy szczęśliwi? I czy to, co robimy, jest tym, co chcielibyśmy i co powinniśmy robić?

Kurtyna

(1988)

Spis rzeczy

Podróż do krańca mapy / 5

Wysocki / 67

Stąd do Ameryki / 135

WŁADYSŁAW ZAWISTOWSKI

Urodził się w roku 1954 w Gdańsku. Jest poetą, dramaturgiem, krytykiem literackim i teatralnym, tłumaczem, wydawcą oraz wykładowcą *creative writing* na Uniwersytecie Gdańskim. W latach 1977–1991 pełnił funkcję kierownika literackiego Teatru „Wybrzeże”. Od 1993 do 1996 był prezesem Oddziału Gdańskiego Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Opublikował dotychczas sześć tomów wierszy: *Czyli ja* (1976), *Płonące biblioteki* (1978), *Ptak w sieci dalekopisu* (1980), *Geografia* (1983), *Powitanie jesieni* (1987), *Ciemna niedziela. Wiersze i poematy wybrane* (1993); osiem sztuk teatralnych: *Wieloryb* (1979); *Podróż do krańca mapy* (1980–1996), *Wysocki* (1983), *Stąd do Ameryki* (1988), *Farsa z ograniczoną odpowiedzialnością* (1993), *Było sobie kiedyś miasto* (1994, wg prozy Günтера Grassa), *Żyj, Danielu* (1996), *Historie zakulisowe (według Antoniego Czechowa)* (1999); trzy powieści: *Bardzo długi czerwiec*, *Serce w klatce*, *Gwiazdy spadają w sierpniu* (wszystkie pod pseudonimem Witold Biengo). Jego sztuki i przekłady wystawiano na scenach teatrów w całej Polsce, a także w Teatrze Telewizji. Zawistowski jest również autorem leksykonu *Kto jest kim w „Trylogii” Henryka Sienkiewicza* oraz wielu tekstów krytycznych i publicystycznych. Wspólnie z Jerzym Limonem przekłada dramaty Szekspira (*Trojlus i Kressyda*, *Antoniusz i Kleopatra*) i innych pisarzy elżbietańskich (Middleton, Massinger, Chettle); razem założyli również Fundację Theatrum Gedanense, którą kierują, organizując – między innymi – Gdański Festiwal Szekspirowski. Wspólnie z Anną Czekanowicz Zawistowski był również autorem *Ulicy Kwietnej*, serialu rzeki Radia Gdańsk (1996–1998), a także – już samodzielnie – innych słuchowisk radiowych i programów telewizyjnych.

Podróż do krańca mapy

Tadeusz Nyczek: Kto będzie uważnie śledził perypetie bohaterów tej sztuki, bez trudu znajdzie mnóstwo aluzji do tak zwanych naszych czasów. Bo w końcu po co pisze się sztuki i potem

wystawia w teatrze, który jest tylko tu i teraz? Powikłane dzieje naszej obecnej ojczyźnianej egzystencji dostarczają wszak aż nadto materiału na niejedną zwariowaną czarną komedię. Zawistowski, który nieraz dowiódł innymi swoimi dramatami wyzuczenia na sprawy rodaków, i tu wykazuje bystrą czujność. A jednak jest to sztuka inna od tamtych. Mniej konkretna, za to uniwersalniejsza. Może w tym zwierciadle dostrzeże swoje odbicie los niejednego europejskiego kraju miotanego ustrojowymi przewrotami, szaleństwem psychopatycznych uzdrowicieli i absurdem egzystencji co drugiego zwykłego obywatela.

Wysocki

Tadeusz Nyczek: Prawdopodobnie nie będę odosobniony w opinii, że jest to najlepsza sztuka teatralna, jaką ostatnio w Polsce napisano. [...] Jest to pierwsza chyba powojenna sztuka polska, która o polskim losie i polskiej mitologii wyzwolenczej mówi z taką ostrością i taką bezwzględnością. *Do piachu* Różewicza rozbijała mit moralnego heroizmu ostatniej wojny. Zawistowski odwołał się do jawnej historii, by oczywiście mówić o współczesności.

Stąd do Ameryki

Janusz Majcherek: Dla nas to jest wstrząs, tu się mówi o naszych sprawach, naszym językiem. Nie trzeba uciekać się do wymyślnych metafor, historycznych kostiumów, aluzyjnych przebrań, nie – jest nareszcie prawdziwy świat, prawdziwy, także gdy idzie o jego skłamate legendy. Patrzę na scenę i myślę, że nie dalej niż wczoraj uczestniczyłem w takiej samej rozmowie, piłem tę samą wódkę, histerycznie wspominałem karnawał i tak samo jak ci na scenie piętrowo przeklinałem, popadałem w desperację, lizałem rany. Zawistowski napisał *Stracone złudzenia* naszej generacji, stracone złudzenia, które są zarazem kroniką nadziei, demystyfikacją patosu, odkryciem błazeństwa, zapisem codziennej wytrwałości i codziennej słabości.